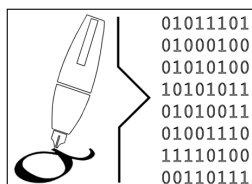


A.J. QUINNELL

CZARNY RÓG

Tłumaczyli: Jan Zakrzewski i Ewa Krasnodębska



Tytuł oryginału:

THE BLACK HORN

Data wydania polskiego: 1997 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

Dla Elsebeth

PROLOG

Myśliwego nie interesowały zwierzęta. Siedział w kucki za skałami około pięciuset metrów od rzeki Zambezi. Po lewej stado antylop schodziło do wody, by przed zachodem słońca zaspokoić pragnienie — młodzież podskakiwała i kręciła się wokół starszych. Po prawej para zebr zmierzała w tym samym kierunku, a za nimi rysowała się posągowa sylwetka samca kudu, strojnego spiralnie zwiniętym porożem.

Oczy myśliwego były utkwione w dużym namiocie w barwach ochronnych ustawionym w cieniu potężnego baobabu. Zerknął szybko na chowające się za horyzontem słońce. Miał nadzieję, że nie będzie musiał tkwić tu jeszcze jednej nocy. Nie modlił się jednak o to do Boga, żadnego bowiem boga nie uznawał.

Karabin stał obok, oparty o skałę, stary *Enfield Envoy L4A1* — ukochana broń snajperów podczas II wojny światowej. Miał jeszcze oryginalny celownik teleskopowy, trzydziestkę dwójkę. Myśliwy wychował się i dorastał z tą bronią.

Znieruchomiał, gdy spostrzegł jakiś ruch płachty przy wejściu do namiotu. Po chwili pojawił się biały mężczyzna potężnej postury o płomiennorudych włosach. Na sobie miał tylko zielone szorty. Podszedł do tlącego się ognia i nogą podrzucił parę polan.

Myśliwy sięgnął po karabin. Patrząc przez lunetę celownika stwierdził, że z pewnością jest to człowiek, którego fotografię miał w tylnej kieszeni spodni. Nie było mowy o pomyłce, mimo że na zdjęciu rude włosy przesłaniał kapelusz.

Myśliwy zajął wygodną pozycję. Plecami oparł się o skałę, łokcie opuścił na kolana, przybierając siedzącą pozycję strzelecką. Zamarł w bezruchu, słysząc czyjś głos. Oderwał oko od celownika i spojrzał na namiot. Wyszła z niego kobieta. Miała na sobie także zielone szorty, i nic więcej. Oko myśliwego powróciło do okularu celownika. Skierował go na kobietę: długie blond włosy i bardzo opalona twarz. Wąska talia, młode jędrne piersi. Uśmiechała się do mężczyzny.

Myśliwy zaklął pod nosem. Powiedziano mu, że mężczyzna będzie sam. Rzucił okiem na zachodzące słońce. Nie ma już czasu na wędrowkę do ukrytego Land-rovera i pytanie przez radio o instrukcje.

Musiał sam podjąć decyzję.

Rudy mężczyzna przykucnął nad ogniskiem i patykiem usiłował przywrócić

mu życie. Kobieta stanęła obok i z lekkim uśmiechem przyglądała się wędrującym antylopom. Myśliwy zabił ją pierwszą. Prawie natychmiast potem oddał drugi strzał. Mężczyzna zdążył się unieść do połowy. Pocisk trafił go w żołądek. Kobieta leżała bez ruchu, mężczyzna wił się na ziemi trzymając oburącz za brzuch. Myśliwy raz jeszcze ściągnął spust, trafiając ofiarę w plecy. Nie strzelał po raz drugi do kobiety. Nie lubił marnować amunicji.

* * *

Jechała bardzo szybko, wiatr rozwiewał jej czarne włosy, równie czarne jak lakier karoserii jej ukochanego sportowego MG. Ze wszystkich posiadanych rzeczy najbardziej ceniła ten samochód, chociaż miał prawie tyle lat, co ona. I, podobnie jak ona, był świetnie utrzymany. W wieku dwudziestu ośmiu lat miała zgrabną sylwetkę młodej dziewczyny, a to dzięki racjonalnemu odżywianiu i gimnastyce. Kwok Ling Fong, wśród przyjaciół znana jako Lucy, bardzo śpieszyła się do domu. Samolot z Tokio wylądował z opóźnieniem i Lucy chciała jeszcze zdążyć na urodziny ojca. Nie było to żadne wielkie przyjęcie. Tylko rodzice i brat. Podobnie jak inne chińskie rodziny, jej była również bardzo zżyta i wolała obchodzić rodzinne święta we własnym gronie. — Przemknęła przez tunel Kowloon — Hongkong nieco powyżej dozwolonej prędkości, a następnie stromymi ulicami zaczęła podążać ku szczytowi wielkiej skały. Cieszyła się z oczekujących ją kilku wolnych dni. Po trzech latach nadal lubiła pracę stewardesy i podróżowanie, niemniej kilka dni wolnego stanowiło miłą odmianę. Zaparkowała wóz tuż obok Hondy ojca, chwyciła z siedzenia podróżną torbę i pobiegła do domu.

Poczuła zapach dymu. Zbliżając się do zamkniętych drzwi gabinetu ojca, dostrzegła, że dym wysączał się właśnie spod nich. Drzwi nie mogła otworzyć, więc pobiegła w kierunku salonu.

I tam ich wszystkich znalazła. Wisieli. W rządku. Nago. Na stropowej belce! Twarze mieli wykrzywione paroksyzmem śmierci. Z piersi ojca jeszcze skapywała krew. Nim zemdląca, jej wzrok zarejestrował ideogram 14K, wycięty czymś ostrym na piersiach wiszących.

KSIEGA PIERWSZA

1

Była stara. Piękna niegdyś twarz emanowała bólem i smutkiem. Podobne do szponów paznokcie zaciskała na oparciu inwalidzkiego wózka, wpatrując się w siedzącego za biurkiem senatora Jamesa S. Graingera. Znajdowali się w gabinecie jego rezydencji w Denver.

Nie odrywając od niej spojrzenia Grainger odparł spokojnym głosem:

— Wiem, co czujesz, Glorio. Upłynęło już pięć lat od śmierci Harriet, a mimo to cierpię, więc dobrze rozumiem co ty możesz odczuwać.

Ptasia, szara twarz starej kobiety wykrzywiła się w grymasie.

— Wiem, że rozumiesz, Jim, i jeśli jest trochę prawdy w plotkach, to nie popuściłeś, nie darowałeś.

Skinął potwierdzająco głową. Puknął parę razy palcami w leżącą przed nim aktówkę i łagodnym, przekonującym głosem powiedział: — Tak, zemściłem się... Ale wiedziałem, gdzie szukać. Jednakże sprawa Carole jest beznadziejna. Wykorzystałem wszystkie doświadczenia w Departamencie Stanu. Rozmawiałem osobiście z naszym ambasadorem w Harrare. Swoją cholę. Zawodowy dyplomata. Prawdziwy profesjonalista. Zimbabwę otrzymuje od nas pokaźną pomoc, więc ambasador miał wszędzie drzwi otwarte. Dotarł do samego Mugabe. Jak wiesz, ich policja nie trafiła na żaden ślad. Nic nie zrabowano. Gwałt wykluczony. Carole i jej przyjaciel obozowali w tym miejscu nad rzeką Zambezi od trzech dni, a więc odpada możliwość, że przypadkowo zaskoczyli jakąś bandę kłusowników. Na nieszczęście tej samej nocy przeszła wielka burza i zmyła jakiegokolwiek ślady. Doskonale jest ci też wiadomo, że z czasów walk o niepodległość w kraju znajdują się dziesiątki tysięcy karabinów... Obawiam się, że nie ma żadnych szans wykrycia sprawcy. Jest mi niezmiernie przykro, Glorio... Znałem Carole od dziecka... Wspaniała dziewczyna. Mogłaś być z niej dumna. — Jim Grainger był twardym człowiekiem. Odnosił sukcesy w interesach i w polityce. Ostry wyraz oczu senatora złagodniał.

— Ciężkich doznałaś ciosów, Glorio. Przed dwoma laty Harry, a teraz jedyne dziecko.

Kobieta jeszcze mocniej zacisnęła palce na oparciach inwalidzkiego wózka.

— I tym razem nie zrezygnuję, Jim. Mam sześćdziesiąt lat i jeszcze nigdy

z niczego przedwcześnie nie zrezygnowałam. Gdyby moje bezużyteczne ciało nie było przykute do tego przekłętego wózka, sama bym tam poleciała, żeby dostać w swoje ręce tego zbrodniarza czy zbrodniarzy.

Senator uczynił pełen współczucia gest, ale nie odpowiedział ani słowem.

Kobieta wzięła głęboki oddech.

— Harry zostawił mi prawdziwą fortunę. Więcej niż mi potrzeba. Bo po co mi miliony, kiedy jestem przykuta do fotela.

Grainger wzruszył ramionami.

— Pomagam ci z dwu powodów, Glorio. Po pierwsze, jest to mój obowiązek senatora-seniora stanu Colorado... skoro należysz do grona moich wyborców. A po drugie... chociaż często ścierałem się z Harrym przy interesach, miałem dla niego głęboki szacunek i zaliczałem go do przyjaciół... A do policzenia moich przyjaciół wystarczą palce jednej ręki.

Obdarzyła go słabiutkim uśmiechem.

— A jeden z palców zarezerwowałeś dla mnie?

Skinął głową.

— Należysz do kobiet, które mówią to, co myślą, nie owijając słów w bawełnę. Ja też tak postępuję. Skłamałbym, gdybym powiedział, że przez te wszystkie lata nasze stosunki układały się bez problemów. Potrafisz być cholernie trudna i nawet obraźliwa. Powiedziałem, że należysz do grona moich wyborców, ale nie próbuj mi wmówić, że w ciągu minionych dwudziestu lat choć raz oddałaś na mnie głos. Nie uwierzę.

— Nie będę ci tego wmawiała. Oczywiście, że na ciebie nigdy nie głosowałam i nie będę głosowała. Na mój gust zawsze byłeś i pozostajesz zbyt na lewo jak na republikanina.

Wzruszył ramionami.

— Jestem, kim jestem, droga Glorio, i dzięki Bogu w Colorado mieszka dość wyborców, którzy we mnie wierzą. — Zbyt temat lekceważącym ruchem ręki. — Wracając do sprawy. Wiem, że gdyby Harry żył, nie zrezygnowałby nigdy i do ostatniego dolara poszukiwałby mordercy czy też morderców Carole. I wiem, że ty jesteś taka sama.

— Jestem taka sama, Jim. Kiedy nasz ambasador w Harrare obwieścił, że dochodzenie znalazło się w ślepych zaułku i nie ma sensu bić dalej głową o mur, postanowiłam wynająć specjalnych ludzi, żeby pojechali na miejsce i wytropili morderców.

Grainger głęboko zainteresowany pochylił się w fotelu.

— Jakich ludzi? — spytał.

Dłonią zasłoniła usta i zakaszła. Suchy kaszel był podobny do darcia papieru. — Twardych ludzi, Jim. Bardzo twardych. Szwagier Harry'ego był komandossem. Zielone Berety. Walczył w Wietnamie. Zachował kontakty z pewnymi ludźmi...

— Boże drogi, najemnicy! — Senator głęboko westchnął.
— No to co?... W każdym razie nie są tani.
Grainger raz jeszcze westchnął.
— Posłuchaj mnie, Glorio, i słuchaj dobrze, bo ja się na tych rzeczach znam. W swoim czasie zapłaciłem frycowe. Po pierwsze, amerykańscy najemnicy nie znają Afryki, tej części Afryki. Zwłaszcza tej. Tylko wyrzucasz pieniądze.
Głos kobiety złodowacza.
— Radzisz mi więc nic nie robić? — Szparkami oczu obserwowała jego twarz. Był głęboko zamyślony.
— Jest jeden człowiek... Amerykanin — powiedział po chwili namysłu. — Też najemnik...
— I zna Afrykę?
— O tak! Zna Afrykę lepiej, niż ty zawartość swojej torebki.
— Ja jak się nazywa?
Senator lekko i z wyraźną satysfakcją wypowiedział jedno słowo: — Creasy.

* * *

Przeszli do ogrodu i wolno okrążali owalny duży basen. Senator pchał inwalidzki wózek. Towarzyszyła im czarna suka rasy doberman.

Grainger wyjaśniał.

— Poznałem Creasy'ego tutaj, u mnie w domu. Było to w jakieś dwa miesiące po śmierci Harriet. Tak, ten przeklęty lot 103 PanAm. Koniec mojego świata nad Lockerbie... — Westchnął. — Któregoś wieczoru wróciłem późno z jakiejś kolacji. Szumiało mi dobrze w głowie. Zostałem odzianego na czarno wielkoluda. Za moim barem, popijał moją najlepszą wódkę! Wódkę, nie whiskey.

Stara kobieta obróciła się w wózku, żeby spojrzeć na Graingera.

— Jak się dostał? Psy, służba, wszystkie alarmy?

Grainger chrząknął rozbawiony.

— Uśpił Jess, uśpił służącego. Wystrzelone z wiatrówki ampułki ze środkiem nasennym. A przed wyjściem udzielił mi kilku rad na temat alarmów.

— Czego chciał?

Senator przeszedł parę kroków w milczeniu.

— Jego żona i córka też leciały rejsem sto trzy — powiedział po chwili. — Szukał zemsty. Przyszedł do mnie zaproponować mi spółkę. Potrzebował na ten cel pieniędzy — sam wyłożył drugą połowę — i kontaktów, jakie miałem w FBI i w kołach rządowych. Wówczas, podobnie jak ty, zamierzałem wynająć jakichś

ludzi... Już w pewnym sensie dałem zaliczkę innemu. Creasy rozszyfrował go jako oszusta i nawet odzyskał prawie całe pieniądze... A później go zabił...

— Chcę o nim wszystko wiedzieć. Mów dalej! — zażądała niecierpliwie kobieta.

— Przede wszystkim skontaktowałem się z FBI. Wiesz, że przewodzę nadzorującej Biuro Komisji Izby Reprezentantów i dyrektorzy FBI gotowi są całować mnie w tyłek. Mieli teczkę Creasy'ego. W wieku siedemnastu lat zaciągnął się do piechoty morskiej, skąd po dwóch latach wyrzucono go za uderzenie oficera. Pojechał do Europy i wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, gdzie otrzymał wyszkolenie spadochroniarza. Walczył w Wietnamie, dostał się do niewoli. Sporo przecierpiał. Przeżył i po powrocie uczestniczył w algierskiej wojnie o niepodległość. Wraz z przyjacielem został najemnikiem. Najpierw w Afryce, następnie na Bliskim Wschodzie i wreszcie w Azji. Ukoronowaniem jego kariery najemnika była służba w Rodezji, czyli dzisiejszym Zimbabwie. Zna świetnie ten kraj.

Kobieta nagle zaciągnęła ręczny hamulec inwalidzkiego fotela. Stanęli obok drewnianej ławki ogrodowej.

— Spocznij, Jim. Chcę widzieć twoją twarz. I mów dalej — poprosiła.

Obrócił fotel ku ławce i usiadł naprzeciwko.

— Napijesz się czegoś zimnego? A może whiskey?

Jej uśmiech był raczej grymasem.

— Z pić whiskey czekam do wieczora. A wówczas potrzebuję co najmniej pół butelki. Stępieć ból i pomaga zasnąć. I co ten Creasy robił, kiedy Rodezja się skończyła i zaczęło Zimbabwe?

— Wszystkiego nie wiem. Podobno dużo pił i wędrował z miejsca na miejsce. Wreszcie dostał pracę we Włoszech jako osobisty ochroniarz córki pewnego przemysłowca. Coś mu nie wyszło, gdyż wdał się w otwartą wojnę z mafijną rodziną. Ale się ustatkował, ożenił i miał córkę. Żona i córka zginęły nad Lockerbie. — Senator spoważniał i zapatrzył się w trawę. Potem podniósł głowę i powiedział do starej kobiety: — Droga Glorio, dobrze ciebie rozumiem i wiem, co czujesz, chociaż nie mieliśmy z Harriet dzieci. Kiedy Harriet zginęła, pomyślałem, że to koniec świata. Zjawił się jednak Creasy i zaspokoił moją żądzę zemsty. Poczułem się lepiej.

— On działa sam? — upewniła się.

Potwierdził ruchem głowy.

— Jest po pięćdziesiątce i jak na swoje lata w doskonałej kondycji. Ale do sprawy Lockerbie dobrał sobie pomocnika. Młodego chłopaka, sierotę. Na imię ma Michael. Wyszkolił go na swoje podobieństwo. Odtąd działają razem. Poza tym Creasy może zawsze dokooptować kogoś ze swych dawnych kumpli, przedziwnych i jednocześnie wspaniałych... Miałem okazję paru poznać. Wszyscy oni ocalili mi w pewnym sensie życie. Wierz mi, że lepszych nie znajdziesz.

Gloria należała do gatunku istot bardzo roztropnych i ostrożnych. O takich ludziach mówi się, że nie kupią pomarańczy, póki jej nie zjedzą.

— A co on robił od czasu Lockerbie? — pytała dalej.

— Szczegółów nie znam, ale słyszałem, że wraz z Michaeliem likwidował europejską szajkę handlarzy żywym towarem. I udało mu się. Podwójnie. Bo ma teraz adoptowaną córkę. Siedemnastolatkę.

— Skąd? Jak to się stało?

— Podobno Creasy i Michael wyrwali ją ze szponów tych handlarzy, kiedy miała trzynaście lat. Uciekła z domu po zgwałceniu jej przez ojczyrna. Wpadła w ręce handlarzy żywym towarem, którzy uzależnili ją od heroiny. Kiedy Creasy ścigał tych przestępców, Michael poddał ją kuracji odwykowej. Po zakończeniu całej sprawy Creasy doszedł do wniosku, że dziewczynki nie można odesłać do rodziny. Nie wiem jak, ale udało mu się oficjalnie ją adoptować.

— Czy ona pracuje z tą parą?

— Nie. Ale podobno z początku chciała. Chciała, żeby ją Creasy wyszkolił, tak jak Michaela. Jednakże po dwu latach nastąpiło załamanie. Opóźniona reakcja. Psychiczny uraz. Kiedy lekarze wyciągnęli ją z tego, oświadczyła, że nie chce mieć nic do czynienia z bronią i przemocą. Odwiedziłem ich ubiegłego lata i powiedziała mi wtedy, że pragnie zostać lekarką. Jest bardzo inteligentna i z powodu przeżyć bardziej dojrzała, niż jakakolwiek inna siedemnastolatka. Załatwiłem jej wstęp na uniwersytet w Denver. Podczas studiów będzie u mnie mieszkała. . . Już niedługo. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu. — Uśmiechnął się.

Stara kobieta kiwała w zamyśleniu głową.

— Będę mniej samotny — dodał Grainger. — I w domu będzie weselej. Trochę młodości się przyda. . .

Gloria Manners jakby nie słyszała tych słów. Intensywnie myślała.

— Gdzie mieszka ten Creasy? — zapytała wreszcie.

— Na jednej ze śródziemnomorskich wysp. Ma dom na wzgórzu. . .

— Jak można się z nim skomunikować?

— Przez telefon. Jeśli chcesz, mogę do niego wieczorem zadzwonić.

Bardzo powoli skinęła głową.

— Zrób to, Jim.

2

Tommy Mo Lau Wong sięgnął po pasemko surowej wołowiny i wrzucił je do rynienki z kipiącym rosółem. Rynienka, niby fosa, okrążała miedziany piecyk. Po paru sekundach jego podwładni uczynili to samo.

Siedzieli w prywatnym gabinecie niewielkiej ekskluzywnej restauracji w dzielnicy Tsimshatsui Hongkongu. Specjalnością restauracji był „chiński kociołek”, co w praktyce oznaczało gotowanie sobie przez klientów, na podanym im piecyku, kawałków rozmaitych mięs, a następnie popijanie ich rosółem z owej rynienki.

Tommy Mo miał buzię cherubina i oczy żarłocznego rekina. Mówił zawsze świszczącym szeptem, ale doskonale go było słychać, nawet z dużej odległości. Zachichotał. Chichot zaczął się od chrząknięcia, a zakończył suchym kaszlem. Podwładni cierpliwie czekali. Rekinie oczy Tommy’ego migotały rozbawieniem.

— Jakież to był głupiec, ten Kwok Ling! — wypowiedział nazwisko z pogardą. — Uważał się za najlepszego lekarza w Hongkongu i całych Chinach tylko dlatego, że studiował w Europie i Ameryce. Co za bezgraniczna pycha i arogancja. — Pochylił się nad stołem, jakby miał zamiar powierzyć swoim ludziom jakiś wielki sekret. — Przez umyślnego przysłał mi jakieś bazgrały, rzekomo naukowe dowody, że róg nosorożca zawiera rakotwórcze substancje. — Znowu zachichotał, a podwładni wraz z nim. — Nasz doktorek tłumaczył, że starsi ludzie kupujący sproszkowane rogi nosorożców, aby poprawić seksualną sprawność, skazują się w rzeczywistości na wcześniejszą śmierć na raka. Co on sobie myślał, że przestanę sprzedawać rogi nosorożców? Że nagle się ulituję nad spragnionymi seksu staruchami, gotowymi płacić za mój proszek sto razy więcej niż za złoto? Do mnie, szefa 14K, przysłać podobne brednie!

Wszyscy roześmieli się jeszcze raz.

3

Ojciec Manuel Zarafa grał w karty. Spojrzał ukradkiem na siedzącą po jego lewej ręce nastolatkę. Właściwie to już prawie dojrzałą kobietę. Miała proste długie, spłowiałe od słońca włosy, opaloną twarz, wydatne kości policzkowe, prosty nos i pełne szerokie usta. Odpowiedziała skromniutkim opuszczeniem oczu. Ale czy przedtem mrugnęła, czy nie? Może to było jedynie odbicie światła? Nie, na pewno się nie mylił! Mrugnęła porozumiewawczo do Michaela właśnie wtedy, kiedy ksiądz Manuel na nią zerkał. Sygnalizowała siedzącemu naprzeciwko partnerowi, że ma atutowego asa. Ksiądz podniósł wzrok na Creasy'ego, który był z kolei jego partnerem.

— Ona ma asa atu — powiedział.

— Być może, być może — zgodził się Creasy. — Z drugiej strony może blefować. — Ukradkiem przesunął dłonią po lewej piersi, jakby strzepywał muchę. Ksiądz zrozumiał: Creasy sygnalizował, że ma damę atu.

Grali w grę znaną tylko mieszkańcom wyspy Gozo. Podczas zimowych miesięcy rybacy i farmerzy spędzali przy niej długie wieczory w miejscowych barach. Gra nazywała się *Bixla*, wszyscy się nią pasjonowali. Istotą było oszukiwanie. Tajnymi znakami informowano partnera o wartości posiadanych kart. Tylko że wszyscy zbyt dobrze się znali i zbyt czujnie siebie obserwowali, by zwykle przechwycenie sygnałów mogło zapewnić przewagę. Blefowano. I to podwójnie, a nawet potrójnie. Blef w blefie, owinięty blefem. Nigdy nie grano o pieniądze, ale zawsze świetnie się bawiono i radowano jak dzieci, kiedy udało się oszukać przeciwnika wyjątkowo chytrym posunięciem.

Ksiądz spojrział z kolei na Michaela, który siedział z miną niewiniątka. Michael miał dwadzieścia kilka lat, krucze włosy i ostre rysy. Wysoki i szczupły, prawie chudy, ale niezwykle silny i niesłychanie sprawny.

— Może Michael to ma — odezwał się ksiądz.

Michael wybuchnął śmiechem i pokazał księdzu dwie z trzech posiadanych kart: walet pik i czwórka karo. Trzecią kartę położył na stole grzbietem do góry.

— Założę się, że ma ją Juliet — burknął Creasy. — No cóż, zagraj króla.

Ksiądz wyszedł królem, Juliet rzuciła blotkę, Creasy zaklął i wyrzucił królową. Michael wstał i podniósł ze stołu kartę. Odślonił ją i rzucił na blat. As!

Ksiądz odepchnął krzesło.

— Oszuści! Tacy młodzi, a tak łgają! — Pogroził palcem Michaelowi. — A teraz przynieś butelkę białego wina. Jeszcze coś chyba zostało w skrzynce, którą ode mnie dostałeś na urodziny. I dwa kieliszki.

— Dał mi ojciec dwanaście butelek na urodziny przed czterema miesiącami. Zostały jeszcze cztery. Z tamtych ośmiu ojciec sam wytrąbił sześć.

— Chyba dobrze liczysz — odparł ksiądz i spokojnie wyszedł na patio.

Creasy patrzył za księdzem przez szparki głęboko osadzonych oczu. Te oczy umiały wszystko ukrywać. Wszelkie uczucia i emocje. Znacznie gorzej maskowała zniszczona twarz i pokiereszowane ciało. Na nich było widać ślady gniewu i zemsty. Wstał i wyszedł za księdzem, niby jego wielki cień. Miał przedziwny chód: pierwsze dotykały ziemi zewnętrzne krawędzie stóp.

Budynek farmy zbudowany był z kamienia i stał na najwyższym punkcie Gozo. Widać stąd było całą wyspę, morze i pobliską wysepkę Comino, a jeszcze dalej kontury wyspy Malty. Tego widoku nigdy nie było dość. Ksiądz i były najemnik siedli na leżakach przy basenie.

Ojciec Zarafa chrząknął z rozbawieniem.

— Jest takie powiedzenie na Gozo: „Prowadź życie, jakbyś grał w *Bixle*, a dojrzale owoce będą ci same wpadały do ręki”. — Wskazał gestem piękną farmę i całą okolicę. — Tobie już chyba wszystkie wpadły.

— Nie zgadzam się z tym powiedzeniem, ojcie — odparł Creasy. — Aby dobrze grać w *Bixle*, trzeba oszukiwać. Aby prowadzić dobre życie, trzeba być uczciwym. W karty można oszukiwać, kiedy jest takie założenie i kiedy nie gra się o pieniądze, i nie robi zakładów. Z tego, co zdołałem się zorientować, jeśli człowiek oszukuje w życiu, to nie spadnie mu na głowę miękki owoc, ale kamień.

— Powinieneś być zostać kaznodzieją, synu — odparł ksiądz wzdychając. — Przy najbliższym niedzielnym kazaniu wykorzystam twoje złote myśli...

Pojawił się Michael, niosąc na tacy butelkę wina w kubku z lodem i dwa kieliszki. Z powagą je napełnił i odszedł. Przez długi czas pili w milczeniu. Dwaj przyjaciele, którym niepotrzebne są słowa, aby się zrozumieć, a zwłaszcza niepotrzebna błaha wymiana słów.

Milczenie przerwał ksiądz.

— W ostatnich tygodniach zauważyłem oznaki znudzenia w twoich oczach...

— Ksiądz widzi zbyt wiele. W istocie gdzieś mnie niesie. A ponieważ Juliet przez cały czas przebywa w klinice i szpitalu na tym kursie pierwszej pomocy, to nie pozostaje mi wiele do roboty. No i w przyszłym tygodniu umyka do Stanów na uniwersytet. Rozważamy z Michaeliem, czy nie wyskoczyć na Daleki Wschód, żeby zobaczyć paru moich dawnych przyjaciół. Moglibyśmy nawet odwiedzić Chiny, skoro tak się otworzyły na świat. — Zerknął z ukosa na księdza. — Przez całe życie pętałem się po świecie, ale kiedy się jedzie z kimś młodym, to ten

świat ogląda się zupełnie inaczej. Pokazuje się jemu, a tym samym widzi innymi oczami. Tak, chyba pojedziemy. Jesteśmy właściwie gotowi.

— Kiedy?

— Może za jakieś dwa tygodnie. Najpierw zatrzymamy się w Brukseli, żeby zobaczyć Blondie i Maxiego oraz paru innych, a stamtąd prosto na Daleki Wschód.

W kuchni zadzwonił telefon i Michael odebrał.

— Creasy! Do ciebie — krzyknął przez drzwi. — Dzwoni Jim Grainger z Denver.

Creasy mruknął zdziwiony i dźwignął się z leżaka.

* * *

Po dziesięciu minutach powrócił zamyślony. Usiadł, wziął kieliszek.

— Zmiana planów — obwieścił. — Wyjeżdżamy jutro na Zachód, a nie na Wschód. — Obrócił się do Juliet, która stanęła właśnie w otwartych drzwiach: — Jutro wszyscy troje lecimy do Denver.

4

Chińskie pogrzeby bywają bardzo wyszukane. Zawodowe płaczki w białych sukniach głośno zawodzą, a im lepiej to czynią, tym więcej im się płaci. Składa się i lepi atrapy domów, mebli, samochodów oraz specjalne pieniądze, by je następnie spalić w świątyni, dzięki czemu towarzyszą one w zaświatach zmarłemu.

Lucy Kwok Ling Fong nie chciała tego wszystkiego. Kazała po prostu spalić ciała ojca, matki i brata. Po kremacji wsypała wszystkie prochy do jednej urny i zawiozła je do starego budynku przy Causeway Bay, gdzie zapłaciła wiele tysięcy dolarów za umieszczenie pojemnika na półce obok tysięcy innych.

Gdy opuszczała budynek, podszedł do niej mężczyzna. Europejczyk o krótkich blond włosach, okrągłej czerwonej i spoconej twarzy. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur z tropiku. Przedstawił się jako główny inspektor Colin Chapman. Przypomniała sobie to nazwisko: Chapman należał do Królewskiej Policji Hongkongu i był szefem departamentu do walki z triadami — przestępczymi gangami. Dopiero teraz wrócił z urlopu.

— Czy mógłbym z panią porozmawiać, panno Kwok? — Mówił z akcentem środkowej Anglii z okolic Yorku. Nie wiadomo dlaczego, bardzo to irytowało Lucy.

— Chyba już wszystko powiedziałam pańskiemu zastępcy, inspektorowi Lau.

— Tak, okazała nam pani wielką pomoc, niemniej byłbym bardzo wdzięczny za kilka dodatkowych minut. . . — Gestem dłoni wskazał herbaciarnię po drugiej stronie ulicy.

Spojrzała na zegarek i westchnęła.

— Dobrze, ale naprawdę tylko kilka minut — zgodziła się.

Lucy zamówiła jaśminową herbatę, inspektor piwo San Miguel.

— Przede wszystkim pragnę złożyć pani moje kondolencje zaczął rozmowę. — To okropna tragedia. . .

Upiła łyczek herbaty i przyjrzała się oficerowi policji. W herbaciarni było gwarno. Rozejrzała się po sporej salce. Chapman był jedynym obcym w lokalu, a nawet chyba w obrębie paru kilometrów kwadratowych. Wzbierała w niej głęboka niechęć do tego cudzoziemca i nie próbowała jej nawet ukrywać.

— To dość dziwne, inspektorze, że na czele tak. . . trudnego departamentu,

zajmującego się... tak delikatnymi sprawami, stoi Anglik. To zupełnie tak, jakby na Sycylię wysłano Niemca, żeby patronował antymafijnym operacjom. Cudzoziemiec nie potrafi pojąć mentalności tych ludzi. — Wskazała dłonią na herbaciarnianych gości. — I tych również nie. Tak, jestem pewna, że zdał pan doskonale egzamin z języka kantońskiego i zadziwia pan barowe girlsy w Wanchai. A propos. Ile pan ma lat?

Nie wydawał się obrażony. Zauważyła, że ma piwne oczy.

— W przyszłym tygodniu skończę trzydzieści pięć. — Z kieszeni marynarki wyjął długopis i szybko coś nakreślił na papierowej serwetce. Spojrzała, przeszły ją zimne ciarki. Patrzyła na sześć chińskich ideogramów napisanych dłonią świetnego kaligrafa. Ciarki ją przeszły, ponieważ nie potrafiła ich odczytać. Spojrzała pytająco w brązowe oczy.

Czytanie chińskiej gazety wymaga znajomości około siedmiuset pięćdziesięciu ideogramów. Absolwent uniwersytetu powinien znać ich trzy tysiące. Lucy Kwok Ling Fong ukończyła Uniwersytet w Hongkongu i była dumna z opanowania ponad czterech tysięcy. Jednakże nie potrafiła odczytać tych sześciu.

— Co one znaczą? — spytała.

— W jakim dialekcie? — odparł tym swoim akcentem.

— W kantońskim. — Uśmiechnęła się blado.

— Nie każdy obcy jest całkowicie głupi — odparł w nieskazitelnym kantońskim.

Jej uśmiech pogłębił się.

— Czy to Konfucjusz? — zapytała.

Pokręcił głową. — Nie. Colin Chapman. — Przeszedł na bezbłędny szanghajski: — A może pani woli rozmowę w dialekcie matczynym?

Głośno się roześmiała, odpowiadając tym razem w mandaryńskim: — Jest pan bardzo przebiegły, inspektorze, ale chyba zgodzi się pan ze mną, że głupim można być w wielu językach. Ostatecznie... papuga zawsze pozostanie papugą.

Tym razem on się uśmiechnął. Po raz pierwszy. Wypił łyk piwa i powiedział po angielsku: — Bardzo słuszna obserwacja, panno Kwok, i trudno mieć do pani pretensję o wątpliwości i niewiarę, że *gueilo* może zrozumieć mentalność triady, ale mam za sobą dziesięcioletnie doświadczenie. Ponad dziesięcioletnie. Ten temat mnie fascynuje i bez fałszywej skromności twierdzę, że jestem jednym z trzech czołowych ekspertów. Na świecie!

— Kim są pozostali dwaj?

— Mój zastępca, inspektor Lau, który szczegółowo panią przesłuchiwał, oraz profesor Cheung Lam To z uniwersytetu w Taipei na Tajwanie.

Patrzyła na serwetkę z sześcioma ideogramami. Postukała w nią długim, lakierowanym na czerwono paznokciem.

— Ile pan zna? — spytała cicho.

— Około osiemdziesięciu tysięcy, ale człowiek nigdy nie przestaje się uczyć.

Znowu się uśmiechnęła.

— Czy mogę pożyczyć pióra?

Podał jej. Napisała coś wzdłuż skraju serwetki i przesunęła ją w stronę inspektora. Spojrzał i odczytał:

Przepraszam bardzo. Zacznijmy od początku.

Odpowiedział uśmiechem, a po chwili namysłu dodał: — Może jednak lepiej w ciszy i spokoju. W moim biurze, po południu. Ale będę potrzebował co najmniej dwu godzin.

— Umowa stoi, inspektorze.

5

Dobermanka powitała Creasy'ego jak starego przyjaciela, mimo że przed paru laty podstępnie ją uśpił. Pomachała mu resztką obciętego ogona i polizała rękę.

Grainger mocno uściskał dłoń Creasy'ego, podobnie powitał Michaela i serdecznie ucałował Juliet w oba policzki, mówiąc do niej: — Witaj, dziewczyno. Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze.

Juliet rozejrzała się po bogatym wystroju holu rezydencji.

Pulchna meksykańska pokojówka czekała, gotowa zająć się bagażem.

— Na pewno będzie mi tu dobrze — odparła.

* * *

Już po pięciu minutach siedzieli nad basenem z koktajlowymi szklankami w rękach. Senator spojrział na zegarek.

— Wasz lot się opóźnił, Gloria za chwilę przyjdzie, więc pokrótce powiem ci, o co chodzi. — Grainger pociągnął łyk lodowatego napoju, poklepał psa i zaczął opowiadać: — Gloria Manners pochodzi z biednej rodziny. Biali farmerzy z południa. Rodzina duża, farma mała. Otrzymała pracę kelnerki w Denver. Restauracja z klasą. Tam poznała Harry'ego, był stałym klientem. Pochodził z dobrej zamożnej rodziny w Colorado. Mieli ziemię, nieruchomości. Byli przeciwni małżeństwu syna z osobą z tak niskiego szczebla drabiny społecznej. Jednakże Harry ożenił się z Glorią wbrew ojcu, który odciął mu dopływ gotówki. Harry zaczął od zera i zbudował okazałą fortunę na handlu nieruchomościami i spekulacją prawami eksploatacji terenów naftowych.

— Zmyślny facet — skomentował Creasy.

— Wspaniały człowiek — potwierdził senator. — Toczyliśmy bitwy o pewne nieruchomości. O tak, nieraz się pozarliśmy. Był twardy, ale uczciwy. Zginął w katastrofie samochodowej przed mniej więcej trzema laty. W tym samym wypadku Gloria doznała poważnych obrażeń. Jest sparaliżowana od pasa w dół, spędza życie na inwalidzkim wózku.

— Jaka to kobieta? — spytał Creasy.

Senator upił parę łyków, by zyskać na czasie.

— Nie byliśmy nigdy w dobrych stosunkach. Szczerze powiem, że zawsze traktowałem ją jako... po prostu wiedźmę, której się poszczyło. Nie lubiłem jej. Od śmierci Harry'ego i utracenia władzy w kończynach zrobiła się jeszcze gorsza... Jest chytra, przebiegła, bezlitosna... ale kochała Harry'ego... A on kochał ją... Więc zarówno ja, jak i pozostali nasi przyjaciele jakoś ją znosiliśmy. Dawniej ze względu na Harry'ego, obecnie ze względu na pamięć po nim.

— Ile ma lat?

— Sześćdziesiąt parę, ale wygląda starzej.

— Majątek?

Senator zastanawiał się przez dłuższą chwilę. — Co najmniej sto milionów dolarów. Pracowała z Harrym, uczestniczyła aktywnie w interesach. Jak już powiedziałem, jest przebiegła i chytra. Twarda. Mieli tylko jedno dziecko. Carole. Wspaniała dziewczyna. Zupełnie inna niż matka. Ale dziwna rzecz: matka i córka były sobie bardzo bliskie. Ciało Carole przywieziono do Denver. Jest pochowana w Denver. Byłem na pogrzebie. Obserwowałem kamienną maskę Glorii. Twarz bez wyrazu. Siedziała martwo w swoim fotelu niczym rzeźba. Chyba jednak od wewnątrz rozsadał ją jakiś piekielny ból... przysięgła sobie, że nie zrezygnuje z pościgu za mordercami córki.

— Jeśli pan tak nie lubi Glorii, to dlaczego jej pan pomaga? — włączył się do rozmowy Michael.

Senator tylko prześlizgnął się wzrokiem po Michaelu, a odpowiedzi udzielił, zwracając się do Creasy'ego: — Z dwu powodów. Po pierwsze, Harry Manners był moim przyjacielem, a Carole to także jego córka. Po drugie, jestem starszym senatorem Colorado, a Gloria jest obywatelką tego stanu. Moim obowiązkiem jest udzielenie jej pomocy.

Przed Creasym leżała otwarta teczka. Niewiele w niej było. Przerzucił szybko kilka kartek.

— Mam kilka dobrych kontaktów w Zimbabwie — zwrócił się do Graingera.

— Jeszcze dziś, tyle lat po uzyskaniu przez ten kraj niepodległości i mimo że spędziłem tam kilka lat jako najemny żołnierz walcząc przeciwko obecnej władzy.

— Przez długą chwilę wpatrywał się w twarz Graingera. — Jakie warunki, Jim?

— spytał.

— Możesz dyktować warunki. Przy jej bogactwie i determinacji, Gloria niczego nie odmówi, by ukarać morderców córki.

Usłyszeli gong przy drzwiach wejściowych, dobermanka mruknęła groźnie. W dwie minuty później pielęgniarka w średnim wieku, szeleszcząc wykrochmalonym bielutkim strojem, wtoczyła na patio Glorię Manners.

Creasy natychmiast zauważył głębokie bruzdy i zmarszczki na twarzy pani Manners, a twarz ta musiała być kiedyś piękna. Mimo upału letniego poranka

nogi miała owinięte grubym czarnym kocem.

Prawie natychmiast utkwiała badawcze spojrzenie w Creasym. Creasy nie odwrócił wzroku, patrzył twardo w jej niebieskie, tragicznie smutne oczy. Zerknęła w stronę Michaela i Juliet, by wreszcie powiedzieć do Graingera: — Przynajmniej wygląda tak, jak się tego spodziewałam. — Potem rzuciła w kierunku pielęgniarki: — Zmykaj, Ruby, i przyjdź dokładnie za pół godziny.

Pielęgniarka szybko zniknęła w głębi domu.

— Napijesz się czegoś zimnego, Glorio? — spytał Grainger.

— Dziękuję, nie. — Nie odrywała spojrzenia od Creasy'ego. Odezwała się doń swoim południowym akcentem: — Słyszałam, że pochodzi pan z Alabamy.

— To było bardzo dawno temu.

— Pomoże mi pan?

— Mogę spróbować.

Grainger westchnął i chciał coś wtrącić, ale Creasy powstrzymał go gestem dłoni.

— Ile to będzie kosztowało? — spytała Gloria.

— Pojęcia nie mam — odparł Creasy. — Chwilowo da mi pani pięćdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich na koszty moje i Michaela. Po to, abyśmy mogli pojechać do Zimbabwe i rozejrzeć się. Jeśli po paru tygodniach zorientujemy się, że nie ma czego szukać, zawiadomię o tym panią i wrócimy do domu.

Gloria Manners przeniosła wzrok na Graingera.

— Przed trzema dniami rozmawiałam z paroma facetami, których mi przysłał szwagier Harry'ego. Zażądali z góry trzystu tysięcy dolarów jako kwoty gwarancyjnej. Ten twój człowiek jest cholernie tani.

Grainger lekko się uśmiechnął.

— Nie biorę pieniędzy za nic, szanowna pani — odparł poważnie Creasy. Puknął palcem w leżącą przed nim teczkę. — Policja w Zimbabwe nie natrafiła na żaden ślad, a przecież musieli się bardzo starać przy tych wszystkich naciskach amerykańskiego ambasadora. Moim zdaniem szansa być może jest, ale bardzo nikła.

— A jeśli pan na coś trafi, wpadnie na ślad?

— Wtedy zacznę wystawiać rachunki. Może się zdarzyć, że potrzebni będą dodatkowi ludzie. Specjaliści w swojej dziedzinie... Być może potrzeba będzie dać łapówkę, zapłacić za informacje...

— Jestem gwarantem rzetelności i uczciwości Creasy'ego, Glorio — odezwał się senator.

Creasy nie spuszczał wzroku z kobiety.

— Jeśli uda mi się stwierdzić, kto jest winien morderstwa, jeśli co do tego nie będzie najmniejszych wątpliwości, to moje honorarium wyniesie pół miliona franków szwajcarskich.

— Nadal tanio — odparła. — Ale co będzie, jeśli się okaże, że winny czy winni mają polityczną albo inną ochronę? Bo widzi pan, panie Creasy, ja domagam się sprawiedliwości, kary, a nie tylko wskazania winnego palcem.

Creasy pochylił się nad stolikiem i ponownie postukując w teczkę powiedział z przekonaniem: — Spójrzmy prawdzie w oczy, proszę pani. Jestem absolutnie przekonany, że córka pani zginęła jedynie dlatego, że akurat była w towarzystwie Cliffa Coppena. On był celem morderców i z ich punktu widzenia śmierć pani córki była przypadkowa.

— To jeszcze gorzej.

— W pełni się zgadzam. Jeśli znajdę sprawców, a będą pod taką ochroną polityczną, że nie uda się postawić ich przed sądem, to ich własnoręcznie zabije. Ale to będzie kosztowało dodatkowy milion franków.

Wokół basenu i w ogrodzie zapadła cisza. Po raz pierwszy zniszczona twarz kobiety ożywiła się. Spojrzała na złoty zegarek na kościstym nadgarstku.

— Jim, jeśli mnie zaprosisz, to chętnie zostanę na lunch — zwróciła się do Graingera.

* * *

Na lunch były zimne mięsa, misa sałaty i dobrze zmrożona butelka Frascati, przyniesiona nad basen przez meksykańską pokojówkę. Creasy powiedział pani Manners, że potrzebna mu będzie maksymalnie szczegółowa historia życia Carole oraz tyle ile da się zgromadzić fotografii. Gloria obiecała przygotować wszystko na późne popołudnie i spytała, kiedy Creasy zamierza lecieć do Afryki.

— Jutro — odparł. — Przez Brukselę, gdzie muszę porozmawiać z przyjacielem.

— Cieszę się. Im prędzej, tym lepiej. Żałuję, że nie mogę lecieć z panem.

— A dlaczego nie może pani? — po raz pierwszy do rozmowy włączyła się Juliet.

Gloria spojrzała zdziwiona i znacząco klepnęła w oparcie fotela.

— Czy to nie oczywiste?

Juliet zaprzeczyła.

— Wcale nie oczywiste. Trafiła pani ze swojego domu do domu pana Graingera. Bez najmniejszego problemu. Ma pani tylko bezwładne nogi.

— Tylko! — prychnęła pani Manners.

— Tylko — powtórzyła Juliet. — Może pani ruszać rękoma, a przede wszystkim głową. A pani fotel inwalidzki to ostatni krzyk nie tyle mody co techniki. Równie dobrze będzie funkcjonował w Zimbabwie, jak w Colorado.

Grainger widział wzbierającą złość w oczach Glorii i powiedział łagodnie: — Wielu rzeczy nie rozumiesz, Julio... Zrozumiesz, kiedy będziesz nieco starsza. — I nagle zobaczył gniew także w oczach dziewczyny.

— Nie potrzebny mi jest nawet dzień dalszego dorastania, aby lepiej wiedzieć, co to znaczy cierpienie. Tak jest, panie Grainger. Zna pan dobrze moją historię.

Zapanowała totalna cisza, którą przerwała Juliet, zwracając się ponownie do starej kobiety: — Pani Manners, powiedziano nam, że pani fortuna wynosi ponad sto milionów dolarów. Wiedzieliśmy o tym jeszcze przed dzisiejszą rozmową. Creasy mógł panią bez trudu naciągnąć na kilka milionów. Ma pani dość pieniędzy, żeby zabrać nawet nie jedną, a dwie pielęgniarki i podróżować pierwszą klasą wraz ze swoim inwalidzkim fotelem u boku. Z tego, co wiem, w Harrare są doskonałe hotele... — Przerwała, by po chwili dodać: — Mogę nie wiedzieć, co to znaczy wychować jedyną córkę, a potem ją stracić, zamordowaną bez powodu, ale wiem, że gdybym była na pani miejscu i dysponowała stoma milionami dolarów, to nie ograniczyłabym się do wynajęcia pary najemników... Chciałabym uczestniczyć w odkrywaniu prawdy, być na miejscu.

Stara kobieta milczała.

Juliet spojrzała na Creasy'ego, dostrzegła jego znaczący wzrok i zamknęła usta.

— To nie jest dobry pomysł — odezwał się do pani Manners. — Juliet zapomina o paru rzeczach. Podróżowanie, nawet pierwszą klasą, przedstawia liczne problemy. Lecimy najpierw do Brukseli i zatrzymujemy się tam na parę dni. Następnie będziemy musieli polecieć do Londynu i tam wziąć samolot do Harrare. Z Londynu do Harrare leci się co najmniej dziesięć godzin. Po paru dniach w Harrare trzeba będzie lecieć do Bulawayo. Nie ma co liczyć na pierwszą klasę. W sumie ponad dwadzieścia cztery godziny lotu plus wiele godzin wyczekiwania w portach lotniczych. Takie podróżowanie jest męczące nawet dla zupełnie zdrowej osoby. Przy nowoczesnych systemach łączności będziemy mogli mieć stały kontakt z panią tu, w Denver.

Gloria Manners długo wpatrywała się w stół. Obrzuciła krótkim spojrzeniem Creasy'ego, a potem Juliet i powiedziała: — Chyba ma pani rację, młoda osobo. — I do Creasy'ego: — Doceniam pańskie argumenty i wiem, że chodzi panu o jeszcze jedno... Wolałby pan nie mieć na karku starej złościcy... Zwłaszcza osoby płacącej rachunki.

Creasy wzruszył ramionami.

— Nie przeszkadza mi osoba płacąca za wyprawę. A nigdy nikomu nie pozwalałam wtrącać się do mojej roboty. Myślałem jedynie o pani wygodzie.

— O to może się pan nie martwić. Juliet miała absolutną rację. Rzeczywiście mógł pan ze mnie wycisnąć parę milionów. Wykorzystam te pieniądze na wyczerpanie samolotu o dużym zasięgu z pełną obsługą kabinową. Zabiorę Ruby, która wie, jak się mną opiekować i co mi jest potrzebne. Proponuję zbiórkę na

lotnisku jutro o dziesiątej rano.

— Zdaży pani wszystko do tego czasu załatwić? Wynająć samolot... i tak dalej? — spytał Creasy?

Odpowiedział za nią Grainger: — Gloria ze wszystkim zdaży... w takiej sytuacji i w tym kraju przemawiają pieniądze.

Kiedy Ruby odprowadziła inwalidzki wózek, Michael zwrócił się do Juliet głosem pełnym wyrzutu: — Aleś się nam przysłużyła!

Juliet patrzyła na Creasy'ego, gotowa wymamrotać słowa przeprosin, ale ten ją powstrzymał.

— Nie ma o czym mówić. Stało się. Prywatny samolot oszczędzi nam wiele czasu, a jej obecność może mieć pewne plusy.

— Na przykład? — zapytał Michael.

— W tej chwili jeszcze nie wiem. Ale co można przewidzieć? Poza tym nie możemy sobie pozwolić na odrzucenie oferty. Nasza skarbonka zrobiła się pusta-wa.

6

Jego twarz wyrażała nieklamane zadowolenie. Widziała to już z daleka i potem, gdy podeszła i podała mu dłoń. Zauważyła też, że i inni mężczyźni wpatrują się w nią. . . Wszyscy mężczyźni w barze. Colin Chapman grzecznie odsunął krzesło, stanął za nim, poczekał, aż Lucy usiądzie, i przysunął je. Podziękowała skinieniem głowy za ten niemalże zapomniany już objaw kurtuazji. Usiadł naprzeciwko niej z tym samym wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy. Gdy pojawił się kelner, zamówiła bananowe *daiquiri*.

— W dzisiejszych czasach rzadko można zobaczyć Chinkę w *czeong-sam*. . . a szkoda, ponieważ jest to jeden z najpiękniejszych kobiecych ubiorów — powiedział.

— Mówiąc prawdę, po raz pierwszy mam je na sobie. W szkole śmiano się z tego, a potem wszystkie ubierałyśmy się w butikach. Dziś rano, kiedy pakowałam rzeczy matki, znalazłam ich kilka. Jestem pewna, że od lat ich nie nosiła. Pasują na mnie jak ulał, a to jest najważniejsze, jeśli idzie o *czeong-sam*.

Z zachwytem patrzył na wysoki mandaryński kołnierz i lejący się niebieski jedwab uwydatniający zgrabną sylwetkę. I pomyślał, że Lucy Kwok jest bardzo praktyczną młodą damą, a kto wie, czy i nie trochę nieczułą. Jej matkę brutalnie zamordowano przed dwoma tygodniami, a ona już dziś nosi jej suknię.

Chyba odczytała jego myśli.

— Może to wydaje się panu dziwne, ale byliśmy sobie bardzo bliskie, ja i matka. Matka z pewnością aprobowałaby włożenie przeze mnie tej sukni. A właściwie to włożyłam ją specjalnie dla pana, w uznaniu dla pańskiego zrozumienia naszej kultury i opanowania tajników naszej mowy. Dlatego także zaproponowałam kolację w tej restauracji. „Dynastia” to wspaniałe miejsce.

Inspektor poczuł się nieco głupio.

— Tak, oczywiście. Słyszałem o tutejszej wspaniałej kuchni, ale nie mógłbym sobie na to pozwolić, nawet przy pensji wyższego oficera policji.

Uśmiechnęła się jak dziecko, które splatało psikusa. — I teraz pan się martwi, że wydział walki z korupcją w policji będzie chciał wszcząć dochodzenie?

— To nie żarty, Lucy — odparł poważnym głosem. — Musisz zrozumieć, że na moim stanowisku muszę być bardzo ostrożny. Gdy tylko otrzymałem dziś

rano twoje zaproszenie, wysłałem faks właśnie do wydziału kontroli wewnętrznej informując, gdzie będę dziś jadł kolację i dlaczego... i że ty płacisz.

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Chyba żartujesz, Colin? — Po raz pierwszy użyła jego imienia i formy „ty”.

— Wcale nie żartuję. Zażądałem nawet potwierdzenia odbioru mego faksu i zgody. Otrzymałem je po dziesięciu minutach.

Kelner podał *daiquiri*, po czym Colin ciągnął dalej: — W triadzie jestem znany jako ich nieprzejednany wróg. W ubiegłym roku udało się im uzyskać numer mojego konta w banku Lloyda w Londynie. Bez mojej wiedzy przelali na to konto trzy miliony tutejszych dolarów. Dolarów Hongkongu. Na szczęście byłem przewidujący. Z chwilą rozpoczęcia pracy w sekcji walki z triadami, przedsięwzięłem specjalne środki ostrożności. Od trzech lat kopie wszystkich moich wyciągów bankowych kont w Londynie i tutaj są automatycznie wysyłane do wydziału kontroli wewnętrznej.

— Jestem zbudowana — odparła. — A jedyna łapówka, jaką ode mnie kiedykolwiek otrzymasz, to przyjaźń... Mam nadzieję, że twój wydział wewnętrznej kontroli nie znajdzie nic złego w moich intencjach. A poza tym okazuje się, że nie jestem bogata. Papa prawie wszystko wydawał na prace badawcze. Nawet o tym nie wiedziałam... Ale dziś wieczorem chcę być ekstrawagancka.

7

Pierwsze śpięcie nastąpiło na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad Atlantykiem. Wynajęty *Gulfstream IV* był samolotem najnowszej generacji. Tuż za kabiną pilotów znajdowały się pomieszczenia załogi, dalej kuchnia i pomieszczenia pomocnicze. Następnie kolejno: jadalnia, salonik, główna kabina sypialna i dwie mniejsze kabiny z trzema kojami każda.

Dwuosobowa obsługa kabin przygotowała wykwintny lunch, po którym Michael i Ruby przeszli do saloniku, gdzie rozpoczęli partyjkę kart. Creasy i Gloria Manners pozostali przy stole jadalnym.

— Jaki program w Brukseli? — spytała Gloria.

— Konsultacje — odparł Creasy. — Mam tam przyjaciela. Maxie MacDonald. Urodził się i wychował w Rodezji. W czasie wojny o niepodległość walczył w wyborowej jednostce Zwiadowców Selousa. Selous był sławnym badaczem Afryki Południowej. Autorem wielu książek, myśliwym. To tak na marginesie... Otóż owi wyborowi zwiadowcy zwalczali organizację, którą myśmy nazywali związkiem terrorystycznym, a druga strona związkiem bojowników walki o niepodległość, i tak się szczęśliwie składa, że Maxie operował na obszarze, gdzie zginęła pani córka. Doskonale zna teren. Chociaż wiem dobrze, jak sobie poradzić w buszu, to jednak w porównaniu z nim jestem w powijakach. Przez kilka miesięcy też byłem przydzielony do Zwiadowców Selousa, ale przebywałem przeważnie po drugiej stronie kraju, w pobliżu granicy z Mozambikiem. Maxie i ja pozostaliśmy przyjaciółmi. Przez wiele lat łączyła nas wspólna praca. Mam dobre kontakty w Zimbabwie, ale on ma lepsze. I ma tam jeszcze rodzinę. Bardzo chcę z nim porozmawiać, zanim polecę do Zimbabwe. Oprócz niego, chcę się spotkać jeszcze z paroma przyjaciółmi, dowiedzieć się co słychać w branży. Bruksela jest w pewnym sensie światowym centrum informacji najemników wszelakiej maści. Może będziemy potrzebowali dodatkowych ludzi, a już na pewno potrzebna nam będzie broń. Zamierzam to wszystko załatwić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

— A co pan zorganizował dla mnie i mojej pielęgniarki?

— Dla pani zamówiłem apartament w hotelu „Amigo”, a dla pielęgniarki osobny pokój tuż obok. Hotel jest pięciogwiazdkowy i cholernie drogi.

— I z tym Maxie spotka się pan w hotelu?

— Nie. Maxie wycofał się z branży. Z żoną i jej młodszą siostrą prowadzi niewielką restaurację. Właściwie bistro. Michael i ja zjemy tam dziś kolację. Opowiem mu, o co chodzi i wysłucham jego sugestii.

Niemalże fizycznie wyczuł falę niechęci płynącą z przeciwnej strony stołu.

— A co ja mam robić? Siedzieć w hotelu i bębnić palcami po oparciu fotela?

— Moja wizyta w bistro ma charakter operacyjny. To część przedsięwzięcia, do którego zostałem zaangażowany. To bardzo ważne spotkanie. Pozwala mi się lepiej przygotować. Ekspertyza i kontakty mojego przyjaciela stanowią istotny element planu.

Reakcja Glorii Manners była natychmiastowa i niespodziewana. Uniosła się lekko w inwalidzkim fotelu.

— Nie chcę być zwykłym obserwatorem i gapiem — warknęła. — Mam inną propozycję. Niech pan zaprosi pana MacDonalda, jego żonę, a jeśli potrzeba to i siostrę żony, na kolację w moim hotelu. Wtedy będę mogła aktywnie uczestniczyć.

Creasy pokręcił głową.

— Nic z tego. Maxie i jego rodzina muszą doglądać interesu. Mają stałą klientelę i nie mogą zamknąć lokalu. Michael i ja idziemy tam późnym wieczorem, kiedy ruch jest już mniejszy i Maxie będzie miał dla nas trochę czasu.

Gloria Manners przycisnęła guzik dzwonka na działowej ścianie kabiny. Gdy po kilku sekundach pojawił się steward, spojrzała na Creasy'ego.

— Będę piła koniak. Czy pan też się czegoś napije?

— Chętnie. Również koniak.

Milczeli do powrotu stewarda z kieliszkami i koniakiem. Gdy steward odszedł, Gloria nachyliła się nad stołem i powiedziała ostrym tonem: — Powinniśmy przeanalizować nasze stosunki.

— Najwyższy czas — odparł.

— Pan pracuje dla mnie.

— I co z tego wynika?

— Kiedy ktoś pracuje dla mnie, to robi to, czego ja chcę.

Creasy uśmiechnął się. Gloria po raz pierwszy zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Przedziwny. Nie sprawiający wrażenia ani radości, ani rozbawienia.

— Droga pani Manners, pracuję chwilowo dla pani, ponieważ tak zdecydowałem. I nawet bardzo przydadzą mi się pieniądze, które ewentualnie od pani otrzymam... ale nie potrzebuję ich aż tak bardzo, aby zgodzić się na wchodzenie mi na głowę. Nigdy nikomu nie pozwoliłem tego robić. Albo będę pracował tak, jak chcę, albo po wylądowaniu w Brukseli powiemy sobie grzecznie „do widzenia”, wróci pani swoim samolotem do Denver i wynajmie gromadę byłych Zielonych Beretów, którzy będą się czuli w Zimbabwie tak, jak ja czułbym się na koktajlu gwiazd filmowych w Hollywood.

Gloria Manners upiła łyżeczek koniaku przypatrując się Creasy'emu znad okularów. — Jim Grainger opowiadał panu o mnie? — spytała.

— Co miał mi opowiadać?

— Że jestem wstrętny babsztyl.

— Nie musiał mi tego mówić.

— Dziękuję za komplement.

— Prosiła się pani o to.

— On mnie bardzo nie lubi. Nigdy nie lubił.

— Dlaczego?

— Może i jest powód. Ale to nie pańska sprawa.

— Nieważne — skwitował Creasy. — Ważne jest pani zachowanie podczas obecnej operacji. Chwilowo płaci mi pani skromną sumę za zorientowanie się, czy istnieją szansę odnalezienia morderców pani córki. Jeśli mamy kontynuować, to musi pani podporządkować się moim regułom i rygorom. I nie będzie pani ingerować w moje metody kontaktowania się z przyjaciółmi i innymi ludźmi. Proszę podjąć decyzję. Już teraz.

Kiedy tak wpatrywali się w siebie ponad stołem, Creasy uświadomił sobie, że nastąpiło zwanie dwóch równie silnych indywidualności.

— Nie lecę po to, żeby sterczeć po apartamentach luksusowych hoteli. . . Chcę uczestniczyć.

— Będzie pani w pełni uczestniczyć, ale na moich warunkach.

— Jakież to warunki?

— Dam pani przykład. Chce pani być przy rozmowie z Maxie, proszę bardzo. Zamówię specjalną limuzynę, która zawiezie panią z hotelu do bistro, gdzie zje pani z nami kolację. Może pani zabrać Ruby.

Nastąpiła kolejna cisza. Wreszcie kobieta skinęła głową.

— Zamówił mi pan apartament w hotelu „Amigo”. Pan i Michael też tam będziecie? — spytała.

— Nie. Ja i Michael zatrzymamy się w burdelu. — Wstał i widząc jej zaszokowanie dodał: — Wyjaśnię pani po przylocie do Brukseli.

Przeszedł do saloniku. Usłyszał jeszcze wołanie pani Manners: — Ruby, chodź, jesteś mi potrzebna!

Pielęgniarka westchnęła i rzuciła karty na środek stołu.

— Czy naprawdę musimy pracować dla takiego okropnego babsztyla? — spytał przyciszonym głosem Michael. — Pół minuty w jej towarzystwie, to o trzydzieści sekund za długo. Co mnie obchodzi, kto zabił jej córkę? A właściwie to gdy się dowiemy, kto, to powinniśmy mu poradzić, żeby załatwił także mamusię.

Creasy przez chwilę przyglądał się uważnie adoptowanemu chłopakowi.

— Są dwa powody, dla których przyjąłem tę propozycję — wyjaśnił spokojnym tonem. — Po pierwsze, poprosił mnie o to Grainger, a to nasz przyjaciel.

Teraz opiekuje się twoją siostrą podczas jej amerykańskich studiów. A drugi powód, to pieniądze. Choć nie jesteśmy jeszcze bez grosza, są nam potrzebne. Nasza ostatnia operacja kosztowała fortunę.

Michael tasował karty. — Powiedziałeś mi kiedyś, że nigdy nie zawrzemy kontraktu z kimś, kto nam się nie będzie podobał.

— To prawda, tak powiedziałem.

— Pani Manners nie podoba mi się.

Creasy zaczął tracić cierpliwość. — I zaledwie po kilku minutach rozmowy z nią wyrobiłeś sobie opinię? — zapytał ostrym tonem.

Michael upierał się dalej. — Wystarczy kilka sekund, żeby wiedzieć, czy się kogoś lubi, czy nie.

— Podobne opinie wyrażają jedynie głupcy. A ja nie lubię z głupcami pracować. To może być fatalne w skutkach. Osobiście nie przepadam za panią Manners, ale to wcale nie oznacza, że jej nie lubię. Zbyt wcześnie na podobne uczucie. Rezerwuję sobie czas na wyrobienie opinii i przeanalizowanie mojego stosunku. Muszę ją lepiej poznać. Ty też postaraj się to zrobić. Jeśli nie chcesz, to po wylądowaniu w Brukseli leć sobie do swojej panienki, a potem wracaj na Gozo. A ja sobie znajdę kogoś umiającego inteligentnie myśleć. Nie będę miał najmniejszych z tym trudności. — Creasy opanował się trochę i zakończył łagodniejszym tonem. — Zaproponowano nam dobre warunki. Z moralnego punktu widzenia sytuacja też jest czysta. Tropimy przecież mordercę.

Michael przez długi czas tasował jeszcze karty, wreszcie wybąkał: — Może to przemawia moje pochodzenie, ale ona mi się naprawdę nie podoba. Może te wszystkie lata ślepego wykonywania rozkazów bez możliwości wyrażenia własnego zdania spowodowały, że nie znoszę takich ludzi jak Gloria Manners.

Creasy zareagował ostro: — Najwyższy czas, żebyś wreszcie przestał użalać się nad sobą. Pozyteczniejsz spędzisz dwie godziny, które nas dzielą od lądowania w Brukseli, zastanawiając się nad tym, co robić dalej. Zostajesz czy wracasz na wyspę. Ani pani Manners, ani ty nie będziecie mi dyktowali co i jak mam robić. Natomiast ja zamierzam tobie dyktować. A ty będziesz słuchał albo zmykaj. — Co powiedziałwszy, odszedł w głąb samolotu.

— Będę słuchał! — usłyszał za sobą głos Michaela. — Będę słuchał, byleś mnie z nią nie zostawiał.

Creasy zatrzymał się. — O, nie! Stawiam jasno sprawę, żeby nie było żadnych niedomówień: jeśli ci każę, będziesz ją codziennie przed śniadaniem całował w tyłek, rozumiano? W przeciwnym wypadku wzywam Millera albo Callarda, żeby cię zastąpili.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Michael skinął głową. — Tak jest, ale czy można by w rękę zamiast w tyłek?

— Pomyślę nad tym — odparł Creasy.

8

Wyraźną wskazówką była zupa z płetwy rekina. Jest to koronne danie każdego chińskiego bankietu i jego jakość stanowi o randze całego przyjęcia. Jeśli zupa z płetwy rekina osiąga epikurejskie szczyty, to można być pewnym, że wszystko, co po niej się pojawi, będzie równie doskonałe. I piekielnie drogie. Tym lepsza jest zupa, im wyższy gatunek płetwy. A to zależy w dużej mierze od jej wielkości. Z największych przyrządza się najwspanialsze danie, nieco kleiste i oślizgłe. Colin Chapman spróbował i lekko skłonił głowę z aprobatą. Lucy Kwok uśmiechnęła się zadowolona.

Rozmawiali.

— Z pewnością rozumiesz nas lepiej niż przeciętny *gueilo*, skoro tak dobrze znasz chińską kulturę. I wiesz na pewno, że jesteśmy bardzo cierpliwi... Chyba należę do wyjątków. Nie lubię zbyt długo czekać. Nie jest ci z pewnością obca inna nasza cecha: kiedy ktoś wyrządzi nam krzywdę, szukamy nie tyle sprawiedliwości, co możliwości zemsty. Ja także chcę zemsty na tych, którzy wymordowali moją rodzinę. Zemsty nie tylko na tych, którzy fizycznie dokonali mordu, ale na zleceniodawcach.

Do stolika podszedł kelner, aby dolać im zupy z rekina.

Colin Chapman zwrócił się do niego po kantońsku: — Jest tak wspaniała, że spożywać mógłbym ją do wschodu słońca, wiem jednak, że czekają nas inne przysmaki...

Kelner zrobił okrągłe oczy i spojrzał na Lucy.

Uśmiechnęła się i w tym samym dialekcie dodała: — I na pustyni znaleźć można diament.

Gdy kelner odszedł, jej twarz znowu spoważniała. Dla uwypuklenia słów uderzała lekko w stół.

— Chcę zemsty na człowieku, który wydał rozkaz.

— Rozkaz wydał Mo Lau Wong — równie dobitnie odpowiedział jej policjant. — Wiesz oczywiście, kto to jest?

— Wiem, kim jest ten sukinsyn — wyrwało jej się. — Jest szefem 14K. Wszyscy o tym wiedzą, ale wspaniała policja Hongkongu nic nie może mu zrobić. Gdyby to były Chiny, zostałby rozstrzelany już przed laty.

Znów pojawił się kelner z następnym daniem. Mięso sporego skorupiaka zwanego popularnie „morskie uszy” w sosie ostrzygowym. Chapman odczekał, aż ich obsłuży i oddali się.

— Masz złe wyobrażenie, Lucy, o tym co dzieje się obecnie w Chinach. Tamtejsze władze wyłapują i karzą śmiercią drobnych handlarzy narkotyków, suterenerów, złodziejasków i małych oszustów, ale nie zabijają wielkich. Takich jak Tommy Mo Lau Wong.

Patrzyła sceptycznie.

Mimo to ciągnął dalej: — Tommy Mo często bywa w Chinach. Ma tam liczne interesy, zwłaszcza w Kantonie i w nowej strefie ekonomicznej. Ma wspaniałą rezydencję osiem kilometrów od Kantonu nad Rzeką Perłową.

— I władze komunistyczne o tym wiedzą? Roześmiał się cynicznie.

— Oczywiście, że wiedzą. Dostały od nas wszystkie informacje. Wolą zamknąć oczy. Chronią go. Czynią to z wielu powodów. Również ze względu na łapówki, które wręcza na prawo i na lewo... Nowy ład ekonomiczny spowodował poważny wzrost korupcji. To już nie Chiny sprzed dwudziestu lat. Dalsze powody udzielania mu poparcia, to sytuacja w Hongkongu. Jeśli w ostatniej fazie negocjacji przed oddaniem Chinom Hongkongu w 1997 roku dojdzie do nieporozumień między rządami brytyjskim i chińskim, to rząd chiński wykorzysta Tommy’ego Mo i jego co najmniej dwadzieścia tysięcy „wyznawców”. Po prostu zagrozi nimi Brytyjczykom. — Wzruszył ramionami. — Nie możemy go aresztować, mimo że istnieją antytriadowe ustawy, ponieważ nie posiadamy żadnych dowodów przeciwko niemu. Dla pozorów prowadzi on proste skromne życie w mieszkaniu na piątym piętrze dużego bloku w Happy Valley. Wykazuje nieduże dochody z firmy handlu ryżem. Nigdy, ale to nigdy, nikt go nie widział na miejscu żadnego kryminalnego przestępstwa. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Oprócz rezydencji pod Kantonem ma willę w Sai Kung na Nowym Terytorium. Oficjalnie tytuł własności znajduje się w rękach firmy taiwańskiej, która, według naszych informacji, jest przykrywką dla działalności 14K. Ta willa to prawdziwa forteca. Otaczające ją ogrody są chronione wysokim murem i najbardziej wyszukаныmi systemami alarmowymi. Chyba tylko Fort Knox ma podobne. Podejrzewamy, że w tej willi odbywają się uroczystości inicjacji nowych członków 14K. Tommy Mo spędza tam sporo czasu, niemniej jego oficjalnym adresem jest marne mieszkanie w Happy Valley. Oczywiście Tommy zatrudnia całą sforę najlepszych adwokatów i księgowych. To znaczy zatrudnia ich jego firma na Tajwanie. Nie ma sposobu dobrania się do niego.

Skończyli z „uszami morskimi”. Lucy skinęła na czuwającego z dala kelnera, który miał zapowiedziane, by podchodzić do stolika tylko na wezwanie. Przyniósł natychmiast pieczoną kurę *lung kong*.

Po skosztowaniu Chapman powiedział: — W życiu nie jadłem podobnie wspaniałego posiłku.

Z roztargnieniem skinęła głową. Myślami była gdzie indziej. Ledwo skubnęła kawałeczek kury.

— Dlaczego nie możecie skłonić do zeznań któregoś z jego ludzi? — zapytała po chwili milczenia. — Tak jak to robią włoscy karabinierzy ze „skruszonymi” mafioso. Udało się im do tego skłonić nawet grube mafijne ryby.

— Od lat tego próbujemy. Obiecywaliśmy im złote góry. Nową tożsamość w dowolnym kraju. Nawet w Australii lub Ameryce Południowej. Nieoficjalnie ci powiem, że mam prawo oferować poważne kwoty za informacje. Tylko pozornie triada jest podobna do mafii, w istocie to zupełnie coś innego. I znacznie groźniejszego.

Lucy zamówiła uprzednio butelkę Le Montrachet, teraz sama dopełniła kieliszki. Stojący nieopodal kelner skrzywił się, jednak nie proszony nie podszedł.

Lucy upiła nieco wina.

— Wiem sporo o triadach, tyle co każdy Chińczyk, ale chylę głowę przed twoją wiedzą na ten temat. Podczas naszej długiej rozmowy w twoim biurze, miałam nawet zamiar trochę cię o to wypytać, ale tak zachłannie zadawałeś mi pytania na temat mnie i mojej rodziny, że nie zdążyłam. Może mi więc teraz coś więcej powiesz o triadach.

— Do takiej kolacji przyjemnie jest śpiewać... Zacznijmy więc od początku...

Mówił bez przerwy przez następne pół godziny. Przede wszystkim wyjaśnił, że triady wzięły początek ze Stowarzyszenia Białego Lotosu w piątym wieku. Miało ono religijne podłoże — buddyzm. Dopiero jednak w tysiąc lat później w Chinach zaczęły rozkwitać liczne stowarzyszenia triad. Ich wspólnym celem było obalenie zniechęconej mandżurskiej dynastii Czing i przywrócenie dynastii Ming. Był to chwalebny patriotyczny cel popierany przez masy. I to patriotyczne zabarwienie „antycudzoziemskie” przetrwało do roku 1912, kiedy to doktor Sun Jatsen ustanowił pierwszą republikę chińską. Do tego właśnie czasu większość mieszkańców kraju traktowała triady z szacunkiem, aspirując do ich członkostwa. Potem obraz się zmienił. Skoro podstawowy cel został spełniony, triady zajęły się działalnością przestępczą, podobnie jak mafia sycylijska, tylko że na większą skalę. Ceremoniał związany z przyjmowaniem nowych członków pozostał mniej więcej taki sam, mając pseudoreligijny charakter ubarwiony dodatkowo akcentami taoizmu. Ale w swoim założeniu ów ceremoniał miał służyć wpojeniu nowym członkom przekonania, że stowarzyszenie, do którego wstępują, jest wszechpotężne i że jakakolwiek próba nieposłuszeństwa, krnąbrności czy chęć wystąpienia z niego skończy się fatalnie dla duszy i ciała. Chodziło o zastraszanie nowego członka. W ciągu następnego pięćdziesięciolecia duże stowarzyszenia uległy rozpadowi, rozdrobnieniu. Niektóre obumarły, inne się rozwinęły. Silniejsze triady podzieliły między siebie cały obszar kolonii Hongkong. Kilka z nich sięgnęło swoimi mackami na obszar południowo-wschodniej Azji, gdzie

znajdowały się duże skupiska chińskie. Różne triady walczyły ze sobą o każdą piędź ziemi, na którą mogły rozciągnąć kontrolę. W krótkim czasie opanowały podziemie gospodarcze w Singapurze, Malezji, Indonezji i na Filipinach. W 1990 roku stały się największą organizacją przestępczą świata. Mają liczne kody rozpoznawcze. Gesty i hasła, które obwieszczają nie tylko przynależność do stowarzyszenia, ale zajmowany szczebel w hierarchii, konkretne stanowisko i pozycję. Triady wdarły się do wielkiego biznesu. Opanowały liczne instytucje finansowe, handel nieruchomościami, budownictwo, kontrakty publiczne. Wiadomo też, że kontrolują liczne instytucje użyteczności publicznej. Przekupują systematycznie urzędników, docierają z łapówkami do policji i sądownictwa. Do tego stopnia kontrolują swoich członków, że ci raczej wolą podjąć się samobójczej misji lub zadać sobie śmierć, niż zdradzić udzielając jakiegokolwiek informacji. Ocenia się, że już w połowie naszego stulecia co szósty chiński mieszkaniec Hongkongu miał związki z triadami. Jedynymi celami triad jest zdobywanie władzy i popełnianie przestępstw wszelkiej natury.

Na twarz Lucy odbijały się na przemian gniew i smutek.

— I z tego wszystkiego wynika, że człowiek, który kazał zabić moją rodzinę, ujdzie wymiarowi sprawiedliwości?

Chapman obierał niespiesznie pomarańczę.

— Zrezygnowałbym z mojego stanowiska, gdybym nie widział jakiejś szansy. Muszę wierzyć w to, co robię. Odnieśliśmy kilka sukcesów. Gdyby moje biuro było całkowicie bezradne, triady już dawno wyrwałyby się spod kontroli, zniknąłby ład i porządek... Będę jednak okrutnie szczery, Lucy. Szansę aresztowania Tommy'ego Mo w związku z zamordowaniem twojej rodziny są bardzo nikłe. Wzrosłyby one, gdyby udało się nam ustalić, że twojego ojca łączyło coś z Tommym Mo. Mówię to, ponieważ sposób dokonania tej zbrodni wskazuje wyraźnie na to, że chodziło o ostrzeżenie innych. Stąd też masz dozór policyjny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I dlatego radzę ci wyemigrować do kraju, gdzie nie ma pokaźnej społeczności chińskiej. — Zauważył zdumienie w jej oczach. — Tak, Lucy, oczywiście, nie zauważyłaś przydzielonej ci ochrony. Moi ludzie to zawodowcy. I bardzo lojalni... A jeśli idzie o emigrację, to naprawdę zastanów się nad tym poważnie...

— Nigdy! — odparła. — To byłaby ucieczka.

— Musisz zrozumieć jedno: mogę cię ochraniać tylko przez pewien czas, ponieważ mam limitowane środki. Powiedzmy, jeszcze przez miesiąc. To dobrze, że postanowiłaś pozostać w domu i nie przenosić się do mieszkania w bloku. Domu jest łatwiej pilnować. Trudniej się do niego zbliżyć, tak, by nie zostać zauważonym.

Obracała kieliszkiem z resztką wina, wpatrując się intensywnie w złoty płyn.

— Nie masz najmniejszych podejrzeń co do motywu? Przecież ojciec nie był w żadnym biznesie. Co 14K może chcieć od naukowca?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Może jednak ty przypominasz sobie jakieś rozmowy z ojcem, matką lub bratem na przestrzeni ostatnich miesięcy? Może w którejś z nich kryje się klucz do zagadki.

— Będę myślała. Z tego wynika, że podczas tego miesiąca będziemy się często spotykali. — Na jej wargach pojawił się leciutki uśmiech.

Colin też się uśmiechnął.

— Niestety tak. Przepraszam za sprawiane kłopoty.

9

Ruby wytoczyła fotel z Glorią bocznym wyjściem i rampą hotelu „Amigo”. Specjalnie skonstruowana limuzyna do przewożenia wózków inwalidzkich już czekała. Szofer opuścił platformę i hydrauliczny podnośnik. Po paru minutach Gloria była już usadowiona z tyłu. Obok niej usiadł Creasy. Ruby zajęła miejsce obok kierowcy i ruszyli zatłoczonymi ulicami.

Creasy zlustrował Glorię i z aprobatą skinął głową. Miała na sobie długą jedwabną suknię w szmaragdowym kolorze i narzucony na ramiona czarny szal. Delikatny makijaż złagodził nieco zacięty wyraz twarzy. Zupełnie nie była teraz podobna do owej kobiety w samolocie, pracującej do starcia. Wkrótce jednak rozwiła wszelkie złudzenia na ten temat.

— Mógłby mi pan łaskawie wyjawić, dlaczegoż to kazał pan Ruby powiedzieć mi, że mam się wystroić na ten wieczór? Jakim prawem dyktuje mi pan, w czym mam iść do jakiegoś tam nędznego bistro?

Creasy obserwował rozświetloną ulicę. Zaczął padać mały deszczyk.

— Droga pani Manners, nie tylko powiedziałem, w czym ma pani iść na dzisiejszą kolację, ale zaraz pani powiem, jak ma się pani zachować.

Prychnęła ostro. — Zatrudnieni przeze mnie ludzie nie będą mnie pouczać na temat zachowania przy stole.

— Droga pani, niech mnie pani uważnie posłucha. Bardzo ubolewam, że straciła pani męża. Ubolewam również z powodu utraty córki. Ubolewam, że jest pani skazana na życie w inwalidzkim wózku. Może mnie pani uważać za swojego najemnika. Formalnie rzecz biorąc nim jestem. Ale! Właśnie jest jedno ale. Chce pani, czy nie chce, od chwili odlotu z Denver ja kieruję operacją. I tylko ja. — Chciała mu przerwać, ale powstrzymał ją gestem dłoni. — Pani Manners, po raz ostatni wyjaśniam, że albo pani wysłucha, co mam do powiedzenia i potem zrobi to, o co poproszę, albo natychmiast zawracamy do hotelu, gdzie będzie pani mogła pożegnać swojego najemnika.

Przez dwie minuty jechali w całkowitej ciszy.

— To byłoby marnowanie pieniędzy — przerwała milczenie Manners.

— Co mianowicie?

— Wynajęłam ten cholerny samolot na dwa tygodnie. Wyobraża pan sobie, ile

to kosztuje?

— Wyobrażam.

— W związku z tym wysłucham, co pan ma mi do powiedzenia, ale niczego nie obiecuję.

— Jedno musi pani obiecać z góry: póki nie skończę, nie przerwie mi pani ani jednym słowem.

Po chwili zastanawiania się skinęła głową. Creasy obrócił się w jej kierunku.

— Nie jedziemy na kolację do żadnego nędznego bistro. Jedziemy na kolację, na którą zaprosiła nas para moich dobrych przyjaciół. Tak się składa, że oboje pracują w swoim własnym bistro, a więc z konieczności tam nas podejmują. Poza tym tak się składa, że potrzebuję rady jednego z tych przyjaciół. Potrzebuje jej, ponieważ może mi ona pomóc w odszukaniu morderców pani córki. Możemy więc nazwać tę kolację „operacyjną”, a podczas każdej operacji wszyscy w niej uczestniczący mają swoje zadanie. Konieczna jest absolutna koordynacja. Pani też jest uczestnikiem tej operacji. Po tych kilku godzinach spędzonych na rozmowach z panią, dochodzę do smutnego wniosku, że pani ma wrażenie, iż wystarczy skinać czarodziejską różdżką, a wydarzy się cud i wszyscy padną plackiem z wrażenia. Są jednak sytuacje, w których pani miliony i różdżka nic nie działają. Dzisiejsza kolacja to właśnie jedna z takich sytuacji. Maxie MacDonald nie wierzy w cuda i różdżki. Musi lubić osobę, której ma pomóc. A jeśli nie lubić, to przynajmniej szanować, i to dotyczy także jego żony, Nicole.

Otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale zobaczywszy jego spojrzenie, szybko zamknęła je z powrotem.

— Jest jeszcze jeden aspekt. Wie pani, że Michael i ja mieszkamy w domu publicznym. Już pani coś nie coś powiedziałem o Blondie, szefowej. Ma około siedemdziesięciu lat, jest z urodzenia Włoszką i nigdy nie była blondynką. Przyjaźnię się z nią od czasu służby w Legii Cudzoziemskiej, to znaczy od ponad dwudziestu pięciu lat. Nie będę wyjaśniał, skąd ta przyjaźń. Żona Maxie, Nicole, pracowała dla Blondie. Wypożyczyłem raz Nicole, bo mi była potrzebna jako przynęta. W Waszyngtonie w osiemdziesiątym dziewiątym. Właśnie do operacji z Jimem Graingerem. Jim wtedy ją właśnie poznał. W operacji uczestniczył również Maxie i wtedy spotkał się z Nicole. Misja była niebezpieczna, jak to często bywa podczas podobnych operacji. Nicole i Maxie zakochali się w sobie. Kiedy wrócili do Europy, Nicole pożegnała się z Blondie, a on zrezygnował z pracy najemnika. Kupili bistro i prowadzą je wraz z młodszą siostrą Nicole. — Przerwał, spojrzął na zegarek i zaczął szybciej mówić. — Dziś po południu spotkała mnie niespodzianka. Zostałem bardzo zaskoczony. Otóż Blondie oświadczyła, że też przyjdzie na kolację u Maxie. Blondie prawie nigdy nie opuszcza swego lokalu, zwłaszcza wieczorami. Zawsze tkwi w swoim „Pappagal”. Ale bardzo lubi Nicole i w pewnym sensie czyni jej zaszczyt. Dlatego ubrała się na dzisiejszy wieczór tak, jakby szła na królewskie przyjęcie. W związku z tym zostawiłem Ruby

wiadomość dla pani o konieczności włożenia wieczorowej sukni. W skrócie sytuacja wygląda następująco: je pani dziś kolację w towarzystwie bajzelmamy. Jeśli ją pani obrazi, to obrazi pani Nicole, a obrażenie Nicole to obrażenie Maxie. Oczywiście, on wysłucha moich pytań i udzieli odpowiedzi, ale ja będę od niego potrzebował jeszcze czegoś.

— Czego? — nie mogła powstrzymać się Gloria.

— Na odpowiedź będzie musiała pani poczekać, aż zorientuję się co do nastroju, w jakim jest Nicole i sam Maxie. Ale i Blondie może być przydatna.

Limuzyna skręciła w boczną ulicę i zatrzymała się przed budynkiem, na którym palił się skromny neon „Chez Maxie”.

— Tak więc, droga pani, dziś wieczorem musi pani pohamować naturalne odruchy — podsumował Creasy. — Żadnych popisów. — Wskazał palcem na wejście. — Za tymi drzwiami spotka pani ludzi, wobec których czarodziejskie różdżki tracą moc.

Wpatrywali się w siebie jak para zapaśników przed zwarciem. A właściwie po.

— Wie pan, która jest już godzina? — spytała.

— Wiem. Około dziesiątej.

— Właśnie. A ja jadam kolację o ósmej. Jestem cholernie głodna. Chodźmy.

* * *

Lokal był niewielki. Panował w nim miły, ciepły nastrój. Wzdłuż jednej ściany ustawiony był długi bar, pod drugą stało osiem stolików przykrytych obrusami w biało-niebieską kratę. Przy stoliku w rogu siedział Michael w towarzystwie starej kobiety ubranej w długą suknię koloru turkusowego. Kobieta była jaskrawo umalowana. Diamenty i złoto lśniły na palcach, przegubach i uszach. Czarne jak smoła włosy były starannie upięte na czubku głowy.. Wąskie wargi niemal płonęły purpurą szminki. W sali znajdowało się jeszcze sześciu gości w różnej fazie spożywania posiłku. Zza lady wyszedł barman i powitał Creasy’ego w przedziwny sposób. Właściwie to obaj mężczyźni przedziwnie się powitali: lewe ręce zarzucili sobie wzajemnie na kark i złożyli krótkie pocałunki na policzkach tuż przy kąciku ust. Następnie Creasy przedstawił gospodarza Glorii. Ją z kolei Nicole i jej młodszej siostrze, Lucette. Ruszyli w stronę stolika, przy którym siedział Michael. Michael wstał i ceremonialnie przedstawił Glorię Blondie.

Przez następne pół godziny Gloria była przyciszona i, o dziwo, jakby skrępowana. Siedziała naprzeciwko Blondie, która odgrywała na przemian rolę ni to *grande dame*, ni to kokietki. Do stołu podawała Lucette i Gloria szybko się zo-

rientowała, że Michaela i Lucette coś łączy. Dziewczyna, ilekroć miała okazję, czy to stawiając, czy zabierając talerze i półmiski, ocierała się o ramię chłopaka.

Na początku rozmowa toczyła się wyłącznie pomiędzy Maxie i Blondie, i ograniczała do pytań i wspominków na temat dawnych przyjaciół i znajomych. Po prawej ręce Glorii siedziała Ruby i chociaż nie uczestniczyła w rozmowie, przez cały czas wlepiała wzrok w Blondie.

W pewnej chwili Blondie w swojej brzmiącej z francuska angielszczyźnie zwróciła się do Glorii: — Creasy powiedział mi wszystko o pani córce. To straszne. Bardzo pani współczuję. Wiem, że ból zostaje na zawsze. Ja też straciłam niegdyś córkę. Tak, ból zostaje, ale z czasem łatwiej go znieść.

— Ile lat miała pani córka? — spytała Gloria.

— Umarła następnego dnia po swych szóstych urodzinach.

— Jedyne dziecko?

— Tak. Nie wiem dlaczego, ale po tej tragedii nie chciałam mieć więcej. . . To były niedobre czasy. Było to tuż po wojnie i we Włoszech byliśmy w niestychanie ciężkiej sytuacji. Czy pani była zawsze bogata, pani Manners?

Creasy pilnie przypatrywał się Glorii.

— Nie. Wiem dobrze, co znaczy być biedną — odpowiedziała.

Zauważył ze zdumieniem, że leciutko się przy tym uśmiechnęła.

Gloria Manners nie skończyła na tym: — Eartha Kitt powiedziała kiedyś: „Byłam bogata, byłam biedna, i wiem, że lepiej jest być bogatą”.

Blondie chrząknęła z rozbawieniem.

Sala opustoszała, zostali sami. Do ich stolika dosiedli się Maxie i Nicole. Lucette zabrała resztę talerzy, ustawiła kieliszki, postawiła na środku stołu butelkę koniaku i podała kawę *expresso*. Nastrój przy stole nagle się zmienił.

— O co chodzi, Creasy? — zapytał Maxie.

— Mamy do rozpracowania morderstwo. Już wiesz, że chodzi o jedyną córkę Glorii. Wydarzyło się to w Zimbabwie. . . W rejonie Cheti.

Creasy zaczął wyjaśniać Glorii: — Jak już wspomniałem w samolocie, Maxie był właściwie jednym z założycieli oddziałów znanych pod nazwą Zwiadowców Selousa. Przez pewien czas należałem do nich w siedemdziesiątym siódmym, ale moim terenem działania był obszar na pograniczu od strony Mozambiku. Powinienem powiedzieć coś więcej na temat Zwiadowców Selousa. Była to elitarna formacja armii rodezyjskiej nazwana imieniem sławnego dziewiętnastowiecznego podróżnika, autora i myśliwego. Ale to już chyba mówiłem. Misją tej formacji było chwywanie terrorystów, czy też bojowników o wolność, jak ich nazywała druga strona, i nakłanianie do współpracy. Przechodzili oni na terytorium Rodezji przez rzekę Zambezi na północno-zachodniej granicy, czyli z Zambii, oraz od wschodu z Mozambiku. Kiedy ich pochwycono i odpowiednio nakłoniono do współpracy, byli wysyłani w teren z naszymi jednostkami udającymi oddziały terrorystyczne. Oddziały te uzbrajano dla niepoznaki w broń chińską lub zdobytą na terrorystach.

Nie muszę chyba dodawać, że Zwiadowców Selousa było niewielu. Dla jasności jednak to mówię. — Uśmiechnął się do Maxie i ciągnął dalej: — Ale kiedy piło się w którymś z licznych barów kontynentu od Harrare do Kapsztadu, to człowiek od co drugiego białego słyszał, że jest Zwiadowcem Selousa. Gdyby to była prawda, można by nimi zawojować całutką Afrykę. W rzeczywistości mogło ich być najwyżej stu. Ot, cała jednostka! To znaczy stu białych. Skauci Selousa urządzali też wyprawy na terrorystyczne ośrodki szkoleniowe w Zambii i Mozambiku. Odnieśli wiele spektakularnych sukcesów. Nie było lepszych od nich tropicieli, potrafili przetrwać w dzikim terenie bez niczego. Do czego zmierzam, pani Manners? Otóż po zakończeniu wojny i ogłoszeniu niepodległości, Skauci Selousa jakby się rozplynęli, zniknęli z powierzchni ziemi. Nie było żadnych fotografii białych zwiadowców, a tym bardziej czarnych. Chyba z zasłoniętymi twarzami. Cała dokumentacja została zniszczona, wszystkie akta personalne. Wielu czarnych byłych zwiadowców zajmuje obecnie wysokie stanowiska w administracji państwowej i w biznesie, chociaż wielu powróciło też do swoich wiosek. Po kilku latach niepodległości czarny rząd opowiedział się zdecydowanie za polityką pojednania. Pogodzenia się i wybaczenia sobie. Tym, którzy walczyli o niepodległość, i tym którzy z nimi walczyli. Stworzono jednolitą spójną armię, w której znalazło się wielu byłych Zwiadowców Selousa. — Creasy zwrócił się teraz bezpośrednio do Maxie: — Policja przeprowadziła dochodzenie, zwłaszcza, że były poważne naciski ze strony amerykańskiego rządu, głównego dostarczyciela pomocy ekonomicznej dla kraju. Carole, córka pani Manners, spędzała kilka dni w terenie ze swoim południowoafrykańskim przyjacielem, znanym zoologiem, który przeprowadzał badania w Dolinie Zimbabwe. Chodziło mu o wpływ nowo powstałego jeziora Kariba na życie dzikiej zwierzyny i ptactwa. Miał trzydzieści pięć lat i był zaprawiony do miejscowych warunków w głuszy i na pustkowiu. Czuł się tak dobrze w terenie, że zrezygnował z lokalnej pomocy i przewodników. Z zasady nie nosił broni.

Maxie mruknął coś pod nosem.

— Co pan powiedział, panie MacDonald? — natychmiast spytała Gloria.

— Zakląłem, pani Manners. Znam takich. Syndrom wybujałej męskości. Idą w busz, w dziki teren, żeby współżyć z naturą. Owszem, wolno to robić, jeśli się jest samemu i akceptuje się ryzyko. Nie wolno tego robić, gdy ma się towarzysza podróży, zwłaszcza dziewczynę z miasta. . . i zwłaszcza nie w tamtej okolicy, gdzie kręcą się uzbrojeni kłusownicy polujący na słonie i nosorożce.

Gloria skinęła głową, ale też wzięła w obronę mężczyznę: — Nie mogę go obarczać odpowiedzialnością. Nazywał się Cliff Coppen. Podczas jego kilkutygodniowego pobytu w Bulawayo Carole zakochała się w nim. Napisała mi w liście, że chciała wybrać się z nim w teren, ale on odmówił ze względu na ryzyko spotkania z kłusownikami. W związku z tym postanowiła sprawić mu niespodziankę. Pojechać do Victoria Falls, wynająć Land-rovera z kierowcą, który zawiózłby ją

do obozowiska... Moja córka była bardzo upartą i przedsiębiorczą kobietą, panie MacDonald... i bardzo piękną. Nie sądzę, aby żyjący w oparach swoich własnych ideałów zoolog potrafił się jej oprzeć.

Maxie lekko się uśmiechnął.

— Widząc panią, wyobrażam sobie córkę. — Zwrócił się do Creasy'ego: — Kłusownicy? — spytał.

— Możliwe, ale wątpliwe. W tej okolicy zostało zaledwie kilka nosorożców. Raport policji Zimbabwe stwierdza ponadto, że zaledwie czterdzieści osiem godzin przed morderstwem przejeżdżał tamtędy patrol. Strażnicy rozmawiali z Cliffem Coppenem i Carole. Wokół obozowiska nie było żadnych śladów opon. Motywem zbrodni nie była kradzież, ponieważ niczego nie ruszono. Ciało odnaleziono dopiero po trzech dniach. Duże opady zmyły wszelkie ślady.

Obaj mężczyźni rozpoczęli fachowy dialog:

— Pocisk?

— 7,62.

— Ile?

— Trzy. Z tej samej broni. Mężczyzna dwa. Brzuch i góra kręgosłupa. Carole jeden w serce.

— Jeden człowiek?

— Wygląda na to.

— Odległość?

— Penetracja wskazuje na czterysta do sześciuset metrów.

— Zawodowiec?

— Raczej tak.

Creasy westchnął i spojrzał na Glorię. Wpatrzona w stół, popijała koniak. Przeniósł wzrok na Maxie.

— Coppen trzymał w ręku patyk z osmalonym końcem. Zabito ich przy ognisku. Prawdopodobnie siedział w kucki i poprawiał ogień. Carole zapewne stała koło niego. Tak to wynika z rysunków zrobionych przez policję. Morderca najpierw zabił ją, ponieważ stała i mogła szybciej zmienić pozycję. Trafienie w serce wskazuje na profesjonalistę. Coppen trafiony został w chwili wstawania. Dlatego pierwsza kula poszła w brzuch. Energia kinetyczna pocisku zakreśliła nim i rzuciła na ziemię. Wskazuje na to kąt penetracji drugiej kuli.

— Morderca nie marnował amunicji — skomentował Maxie. — I żadnych śladów?

— Wszystko zmyła woda.

— Łuski?

— Nie znaleziono.

— Zawodowiec? — zadał po raz drugi to samo pytanie.

— Tak.

Obaj mężczyźni głęboko się zamyśliли. Nicole przyglądała się Glorii, która raz po raz podnosiła do ust kieliszek z koniakiem i zwilżała nim wargi.

Ciszę przerwała Blondie. — W mojej opinii Creasy jest najlepszym żołnierzem, jeśli idzie o efektywność i rezultaty. O lepszym nie słyszałam i chyba takiego nie ma, gdyby nawet szukać na całym świecie. Wiem też, że wyszkolił Michaela na swoje podobieństwo. Zdaję sobie w pełni sprawę, że Creasy nie tylko tu przyjechał, żeby mnie odwiedzić, ale żeby poszperać w głowie Maxie. Jutro rano lecicie do Zimbabwe. Tak sobie myślę, że Creasy byłby ogromnie szczęśliwy, gdyby mógł mieć przy sobie Maxie, bo Maxie jest przecież Rodezyjczykiem. Wiem, że Creasy nie poprosi Maxie, żeby z nim leciał, bo kiedy Maxie żenił się z Nicole, obiecał jej, że rzuci dawną robotę. Ale przed trzema laty sama Nicole chciała, żeby Maxie dopadł i zniszczył pewnych bardzo złych ludzi. No i w ten sposób Creasy zdobył córkę, Juliet. — Blondie patrzyła teraz w oczy Nicole. — Ja znam moją Nicole. Ona kocha swego mężczyznę i jest pewna, że on ją również kocha. Ale jest na tyle mądra, żeby go nie powstrzymywać przed czymś, na co Maxie ma wielką ochotę. . . I co uważa, że powinien zrobić.

Nicole bez namysłu odpowiedziała.

— Mamy dochodzącego barmana. Chętnie się zgodzi pracować w pełnym wymiarze godzin. Maxie nadal ma przyjaciół w Zimbabwe i dalekich kuzynów. Niektórzy go czasami odwiedzają. Więc Maxie powinien ich również odwiedzić. Jeśli ma na to ochotę, to z mojej strony ma pełną aprobatę. — Uśmiechnęła się. — Tak między nami, to przez ostatnie kilka tygodni Maxie strasznie się wierci i nie może sobie znaleźć miejsca. Może jakiś czas w dziczy dobrze mu zrobi.

— Jest panu potrzebny? — Gloria skierowała pytanie do Creasy'ego.

Zamiast niego odpowiedział Maxie: — Creasy nigdy nikogo nie „potrzebuje”. Jest zbyt skromny, żeby się przyznać, że zna teren nie gorzej ode mnie. Słabo natomiast zna okolicę, gdzie dokonano morderstwa. Creasy ma w Zimbabwe przyjaciół, ale ponieważ ja się tam urodziłem, mam ich więcej. . . I więcej kontaktów. Mam tam również dalszą rodzinę. Creasy nigdy by głośno nie powiedział, że mnie potrzebuje, ale jak to określiła Blondie, prawdopodobnie byłby szczęśliwy, mając u boku dawnego kumpla. I być może przyjechał nie tylko zobaczyć się z przyjaciółmi w bistro, ale z jakąś tam nadzieją, że może, kto wie. . . A ponadto Creasy zdaje sobie sprawę, że jeśli mamy trafić na trop mordercy, to trzeba zacząć od szukania nad rzeką Zambezi. . .

Gloria zerknęła na Creasy'ego, który potwierdził skinieniem głowy.

* * *

Gulfstream IV wystartował z lotniska w Brukseli następnego poranka o godzinie dziewiątej.

10

Po czterech dniach Lucy znalazła teczkę.

W ciągu tych czterech dni poznała zakres życiowych zainteresowań i naukowej pracy ojca, szacunek, z jakim odnosili się do niego inni pracujący w tej samej dziedzinie, oraz listę jego międzynarodowych kontaktów. Był nie tylko lekarzem w Guy's Hospital w Londynie, ale i absolwentem Uniwersytetu Johna Hopkinsa w Stanach Zjednoczonych. Specjalizował się jednak w chińskiej medycynie i jej punktami stycznymi z medycyną zachodnią, a także dawnym i obecnym wpływem na nią. Półki w jego bibliotece były od ziemi po sufit wypełnione starymi księgami, a regały okalające ściany laboratorium zastawione flakonami i słojami pełnymi roślin, ziół, płynów oraz zwierzęcych organów i innych składników należących do chińskiej farmakopei. Oszałamiająca była liczba teczek korespondencji z ekspertami i naukowcami z całego świata. Co wieczór pojawiał się Colin Chapman i po pośpiesznej wspólnej kolacji pomagał w przeglądaniu dokumentów. Znając tak doskonale język chiński w piśmie, koncentrował się na korespondencji jej ojca z profesorami i lekarzami z Chin, podczas gdy Lucy przeglądała korespondencję w języku angielskim.

Pierwszego wieczoru, gdy oboje siedzieli za długim stołem zasłanym papierami, przyglądała się policjantowi, który pracował uzbrojony w okulary w grubej rogowej oprawie. Stwierdziła, że bardzo mu w nich do twarzy.

— Jakie to dziwne, żebym ja, Chinka, przeglądała listy angielskie, a ty, *gueilo*, pisane po chińsku — zauważyła.

— Twój ojciec był bardzo uczonym człowiekiem, Lucy — odpowiedział niezwykle poważnie. — Bardziej uczonym od wszystkich, których kiedykolwiek poznałem. Czy on również praktykował jako lekarz?

— Nie. Tylko w rzeczywiście nagłych przypadkach. Wkrótce po ukończeniu studiów u Johna Hopkinsa, zmarł jego ojciec zostawiając mu pokaźną fortunę. Praca naukowa była zawsze marzeniem mojego ojca i wtedy poświęcił się jej, nie mając już potrzeby zarabiania na życie. Powrócił do Hongkongu, kupił ten dom i urządził laboratorium, bibliotekę i gabinet. Dokonał licznych ważnych odkryć i, jak to już wiesz, napisał wiele książek. Był bardzo szczęśliwym człowiekiem. W pracy i w życiu. Ostatnio fascynowała go rola jaką odgrywają makro- i mikro-

elementy w procesie leczenia. Wyniki jego badań wskazywały, że bardzo dużo chińskich medykamentów, używanych już przed tysiącami lat, ma nie tylko intuicyjną, ale także naukową podstawę. — Wskazała na stare biurko w rogu gabinetu. Stał na nim komputer, przeznaczony do pisania i redagowania tekstów. — Właśnie był w połowie książki na ten temat, kiedy został zamordowany. Moim obowiązkiem jest dopilnowanie, aby cała dokumentacja związana z tą książką dotarła do właściwych ludzi, którzy będą kontynuowali rozpoczętą pracę.

Chapman powrócił do przeglądania korespondencji. Lucy postawiła przed sobą kolejne pudło z kartonowymi teczkami. Na pudle była etykieta wypełniona pismem ojca. Po angielsku słowa ROGI NOSOROŻCÓW, a pod spodem objaśnienie po chińsku. Zawartość pudła była dość obfita. Po pół godzinie przeglądania materiałów podniosła nagle głowę i powiedziała: — Chyba na coś trafiłam, Colin!

* * *

— To musi mieć z tym związek — stwierdził po kolejnych trzydziestu minutach Colin. Rozparł się w fotelu, odchylił do tyłu głowę i zaczął mówić jakby do siebie: — Od wielu stuleci Chińczycy są przekonani, że sproszkowany róg nosorożca jest afrodyzjakiem, wpływa na potencję. Sproszkowany róg był zawsze niesłychanie drogi. Kupowali go bogaci starcy, usiłujący zaspokoić młode konkubiny. Ale obecnie, gdy kłusownicy praktycznie wytępilli nosorożce, proszek ten stał się najkosztowniejszą substancją na świecie. Rogi nosorożca są także używane przez mieszkańców Jemenu do zdobienia rękojeści sztyletów. Najlepszy rynek zbytu istnieje jednak w Hongkongu i na Tajwanie. A ten rynek jest kontrolowany przez jedną triadę... 14K!

Colin wyjął zteczki kopię listu pisanego po angielsku. Nosił datę sprzed miesiąca. Zaczął czytać na głos:

Mój drogi Cliff,
mam dla ciebie zdumiewającą wiadomość, którą natychmiast ci przekazuję, ponieważ jesteś ważnym partnerem całego przedsięwzięcia. Przed czterema miesiącami przysłałeś mi pięćdziesiąt gramów rogu czarnego nosorożca i od razu zabrałem się do roboty, odkładając wszystko inne na bok. Dziś o drugiej nad ranem osiągnąłem sukces. W pewnym sensie jest to smutny sukces, bezspornie bowiem stwierdziłem, że kość nie tylko nie zawiera substancji wzmagającej męskość, ale obniża potencję, a także posiada czynnik rakotwórczy he-

tromygloten. Problem polega na tym, że nie wiem, skąd się ten czynnik bierze. Przyszło mi do głowy, że być może zawierają go rośliny lub trawy, którymi żywi się nosorożec. Zanurza róg w trawy czy liście, a w pory rogu dostają się mikroelementy. Co ci będę dalej tłumaczył! Nie mam pojęcia, czym się żywi nosorożec, ale ty to dobrze wiesz. Oczywiście, hetromygloten może być w minerałach znajdujących się w wodzie, którą nosorożce piją, lub po prostu w ziemi, na której żyją.

Colin spojrzął na Lucy, która pilnie słuchała. Czytał dalej:

Zdaję sobie sprawę, że moje odkrycie może mieć istotne konsekwencje. Wyciągnąłem twoje listy i oto w jednym z nich, z 26 ubiegłego miesiąca, piszesz, że walka z kłusownikami jest przegrana, ponieważ nawet usypianie nosorożców i pozbawianie ich rogów jest bezcelowe, gdyż kłusownicy i tak je zabijają, aby ich nie myliły przy tropieniu czarnych nosorożców z rogiem. Jeśliby jednak udało się przekonać moich rodaków, że proszek z rogu jest szkodliwy, obniża impotencję i grozi rakiem, nawet przy spożyciu małych ilości, to wówczas rynek ma ów produkt po prostu przestanie istnieć. Na kampanię w tej sprawie potrzeba będzie jednak dużo pieniędzy, ale mam prawo sądzić, iż pomogą nam światowe organizacje ochrony środowiska, a nawet niektóre zainteresowane rządy. Tymczasem muszę jednak nad całą sprawą jeszcze popracować, no i przygotować akademicki esej dla miesięcznika „Nature”, z którego przedruki ukażą się w popularnej prasie. Mam nadzieję. Obecnie różne dzienniki i tygodniki mają działy popularno-naukowe. Wiesz dobrze, że podobne sprawy wymagają czasu. Minie pół roku, a może i rok, nim o wszystkim dowie się opinia publiczna. Z twego listu wnoszę, że byt nosorożców jest poważnie zagrożony i czasu zostało mało. Mam pewien pomysł, który od razu powinien położyć kres handlowi rogami nosorożców. Zadzwoiłem do starego znajomego, Brytyjczyka, który niedawno przeszedł na emeryturę po latach służby w tutejszej policji, i zapytałem go, która triada kontroluje handel tym właśnie osobliwym artykułem. Po zaczerpnięciu informacji w wydziale walki z triadami powiedział mi, że bez wątplenia 14K, która jest największa, najniebezpieczniejsza i rozciąga swe macki na cały świat. Na jej czele stoi człowiek o nazwisku Tommy Mo Lau Wong.

Colin na chwilę się zamyślił, zaczerpnął głęboki oddech i kontynuował lekturę.

Mam zamiar napisać do tego Tommy'ego Mo i poinformować go o moim odkryciu, a jednocześnie ostrzec, że jeśli natychmiast nie ustanie handel rogami nosorożców, to zainicjuję wielką kampanię prasową. Ów Tommy Mo, jak każdy rozsądny chiński biznesmen, zda sobie sprawę, że posiadane przez niego zapasy oraz znajdujący się już w sieci sprzedaży detalicznej proszek z rogu nosorożca staną się z dnia na dzień bezwartościowe. Gdy otrzyma ode mnie list, to z pewnością szybko się towaru pozbędzie i zaprzestanie się nim na przyszłość interesować. Jeśli to mi się uda, nie będę potrzebował rozpoczynać kosztownej kampanii prasowej, dzięki czemu pieniądze będą mogły pójść na inny cel. Wkrótce ci napiszę, jak mi się udało. Raz jeszcze dziękuję ci za pomoc. Najserdeczniejsze życzenia pomysłowości w pracy.

Kwok Ling Fong.

Chapman spojrział na Lucy.

— Niestety. Twój ojciec, jak większość naukowców, był raczej naiwny, jeśli idzie o postrzeganie otaczającego go świata.

— Chyba tak — odparła. — No i napisał do Tommy'ego Mo, który z miejsca kazał go zamordować i spalić wszelkie dowody. — Zamyśliła się. — I pomyśleć, że straciłam rodzinę przez róg afrykańskiego zwierzęcia.

— No, niezupełnie tak. Chociaż cena jednego grama rogowego proszku jest zupełnie zawrotna, obrót tym artykułem stanowi tylko margines operacji 14K. Trzeba jednak znać mentalność triad. Twój ojciec ośmielił się grozić. Groził samemu Tommy'emu Mo. To wystarczyło, by Tommy kazał go zamordować, wraz z rodziną. Dla członków 14K miało to być przestrogą. — Colin Chapman raz jeszcze wziął do ręki list ojca Lucy i odczytał adres: — Cliff Coppen, Ministerstwo Zasobów Naturalnych i Turystyki, Harrare, Zimbabwe. — Zamyślił się. — W teczce nie ma odpowiedzi na ten list... Jest to nieco dziwne, gdyż temat był ważny... I musiał również pasjonować adresata... Chyba że dzwonił...

— No i co teraz? — spytała Lucy. Chapman spojrział na zegarek.

— Chyba łatwo będzie ustalić osobę tego policjanta, który niedawno przeszedł na emeryturę. Jeśli dzwonił po informacje do mojego biura, to ten fakt jest odnotowany. W dniu, w którym twój ojciec napisał ten list, nie było mnie w Hongkongu. — Ponownie sprawdził czas. — W Zimbabwe jest sześć lub siedem godzin wcześniej. Każę z biura zadzwonić do tego ich ministerstwa zasobów naturalnych i dowiedzieć się, gdzie obecnie przebywa Cliff Coppen i czy dysponuje faksem lub telefonem. Bardzo mnie interesuje, dlaczego nie odpowiedział na list. Chyba że, jak mówiłem, dzwonił. W takim wypadku też chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiali.

— Nie rozumiem, w czym ten Coppen może nam pomóc?

— Ja też nie wiem, ale nie wolno zaniedbać niczego.

Sięgnął po słuchawkę, wystukał numer i wydał kilka poleceń.

— Niedługo do mnie zadzwonią — powiedział po odłożeniu słuchawki. — Co zrobisz z tym domem? Sprzedasz go? Musi być wart fortunę.

Roześmiała się gorzko. — Sprzedam, oczywiście, ale jest obciążony długami hipotecznymi. W odróżnieniu od dziadka, ojciec nie miał głowy do interesów... Nie spekulował, nie grał na giełdzie, nic. Wykształcił brata i mnie, wydawał masę pieniędzy na swoje badania. Niewiele musiało zostać. Jeśli w ogóle jeszcze coś jest...

— Co teraz zrobisz?

— Mam trzy miesiące płatnego urlopu. Po sprzedaniu domu przeprowadzę się najprawdopodobniej do mieszkania w bloku. Zamieszkam z koleżanką z pracy. — Zauważyła niepokój na jego twarzy i szybko dodała: — Znasz mentalność triad, ale jeszcze nie poznałeś mojej. Żaden łobuz, triada czy ktokolwiek inny, nie wystraszy mnie i nie wygoni z miasta. Żaden Tommy Mo czy inny jemu podobny...

Przez następne kilka minut przekonywał ją o ryzyku związanym z pozostaniem w Hongkongu. Przerwał im telefon. Lucy podniosła słuchawkę i po chwili oddała ją Colinowi.

Długo słuchał, od czasu do czasu zadając krótkie pytania. Wreszcie odłożył słuchawkę.

— Zakładając, że list z Hongkongu do Zimbabwe wędruje około siedmiu dni, to mniej więcej wtedy, gdy Cliff Coppen otrzymał list twojego ojca... został zamordowany. Zamordowano jednocześnie jego dziewczynę, Amerykankę, z którą akurat przebywał w obozowisku nad rzeką Zimbabwe. Mam otrzymać pełny raport z dochodzenia przeprowadzonego przez policję Zimbabwe.

— To może być tylko zbieg okoliczności... Afryka to niebezpieczny kontynent.

Colin wzruszył ramionami.

— Nowy Jork jest także niebezpieczny, podobnie jak Rio de Janeiro. Nie wierzę w przypadki i zbiegi okoliczności, gdy chodzi o triady.

11

Gulfstream IV był wyposażony w satelitarny telefon. Maxie MacDonald pierwszy z niego skorzystał. Gdy lecieli nad Alpami, rozmawiał z kuzynem mieszkającym o sto kilometrów od Bulawayo, drugiego co do wielkości miasta Zimbabwe. Używał języka, z którego Gloria nie rozumiała ani słowa.

— Po jakimu on mówi? — spytała Creasy’ego, który siedział za stołem naprzeciwko.

— Ndebele. Jest to język najliczniejszego plemienia w tej części kraju, Matabele.

— Pan zna ten język?

— Rozumiem. Maxie i jego kuzyn znają go świetnie.

— Dlaczego nie mówią po angielsku? Macie przede mną sekrety?

Creasy usiłował nie okazywać irytacji.

— Niczego przed panią nie ukrywamy, pani Manners. Jednakże nie jesteśmy pewni łącza satelitarnego. Jego podsłuch jest stosunkowo łatwy. Maxie rozmawia o potrzebnej nam broni. Nie chcemy tego rozgłaszać.

— O jaką broń chodzi?

— Chyba nie spodziewa się pani, że pójdziemy w dziki teren w poszukiwaniu morderców, uzbrojeni w proce. Potrzebne są nam karabiny i pistolety. Zamierzamy na kilka dni zostawić w Harrare Michaela. Niech powęszy. Umie to robić, a poza tym nikt go tam nie zna. Chociaż Zimbabwe to duży kraj, miasta rządzą się wioskową mentalnością. Zwłaszcza jeśli idzie o białe społeczności. Tak więc zostawiamy Michaela i lecimy do Bulawayo. Na jeden dzień. Potem lecimy do Victoria Falls, miasta leżącego najbliżej terenu, który nas interesuje. Nazwijmy go operacyjnym. W Victoria Falls są dobre hotele. Tam będzie pani baza podczas naszej wyprawy w teren.

— Czego konkretnie będziecie tam szukali?

— Jeszcze nie wiemy. Wszystkie ślady, jakie mógł zostawić morderca czy mordercy, zmyła woda.

— No to po co jechać w teren? Chcecie się pobawić w harcerzyków?

Creasy opanowywał się z wielkim trudem.

— Pani Manners, poza kosztem wynajęcia samolotu ta wyprawa dotychczas

kosztuje panią stosunkowo niewiele. Jeśli nie znajdziemy czegoś w terenie, a Michael nie trafi na coś w Harrare, wracamy do domu.

Gloria wyczuła w jego głosie sarkazm i nastroszyła się.

— Chce pan wracać? Już pan rezygnuje?

Wzruszył ramionami.

— Niech pani pozwoli coś sobie wytłumaczyć: jestem zwykle bardzo wybredny wybierając sobie klienta, dla którego mam pracować. A gdybym miał możliwość, to przestałbym w ogóle pracować. Zakończyłem moją karierę ze skromnym kapitałem, ale zjadły go pewne wydarzenia ostatnich dwu lat. Nie, nie jestem biedny, ale lubię posiadać sporą rezerwę kapitałową. Dlatego też byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym w terenie trafił na coś, co ma związek z zamordowaniem pani córki, wtedy bowiem oczekiwaloby mnie duże honorarium. To samo dotyczy Michaela i Maxie.

— Czy z tego wynika, że gdyby pan nie stracił tamtego kapitału, to nie podjąłby się obecnego zadania?

— Szczerze mówiąc nie wiem. Jim Grainger jest moim przyjacielem. . .

Maxie skończył rozmawiać przez telefon.

— No i co? — spytał Creasy.

— Ian ma wszystko, czego potrzebujemy. Broń licencjonowana, ale jest jeden mały problem. Na przekazanie nam broni musi mieć pisemne zezwolenie policji. Zgodnie z przepisami broń musi znajdować się fizycznie pod jego kontrolą, chyba że policja da zezwolenie. . . W jego sytuacji nie może sobie pozwolić na łamanie prawa.

— Przewidziałem ten problem — odparł Creasy i spojrzał na zegarek. — W Denver świta, wkrótce obudzi się Jim Grainger. Zadzwoń do niego i poproszę, aby wykorzystał swoje kontakty w Departamencie Stanu. Niech polecą ambasadorowi w Harrare pocisnąć raz jeszcze miejscowe władze.

— Okay, jeden problem z głowy, ale jest jeszcze drugi — powiedział Maxie. — Ian potwierdza, że szef policji John Ndlovu to ten sam oficer ZAPU, przeciwko któremu walczyliśmy w latach siedemdziesiątych, i że jest powszechnie szanowany zarówno przez czarnych, jak i białych. Podobno nieprzekupny.

— O czym panowie mówicie? — spytała Gloria.

— ZAPU była jedną z dwu powstańczych zbrojnych organizacji walczących przeciwko armii rodezyjskiej o niepodległość — wyjaśnił Creasy. — Ndlovu był dobrym dowódcą. Działał głównie w górach wschodniej prowincji. Parokrotnie byłem bliski schwymania go, ale wywinął się. Chyba wie wszystko o mnie i o Maxie.

— To niedobrze — stwierdziła Gloria.

— Może już nie ma znaczenia. W Zimbabwe nastąpiło ogólnonarodowe pojednanie między wszystkimi frakcjami.

— Więc będzie współpracować?

Creasy spojrział na przyjaciela, oczekując jego opinii.

— Jeśli otrzyma wyraźne zalecenie od swojego ministra, to prawdopodobnie będzie, aczkolwiek niechętnie — odparł Maxie. — Żaden policjant nie lubi sytuacji, kiedy musi zamknąć dochodzenie, bo trafia głową w mur, aż tu nagle zjawia się bogata kobieta z bandą najemników, by grzebać w sprawie po raz wtóry, i do tego dochodzą jeszcze naciski z góry, by tym najemnikom wydać zezwolenia na pół tuzina karabinów i pistoletów. Jest jednakże pewien plus. Mój kuzyn zna osobiście Ndlovu i jest z nim w dobrych stosunkach, a ponieważ broń należy do kuzyna, czyni sytuację łatwiejszą do przełknięcia dla Ndlovu. . . Zresztą zobaczymy na miejscu. . .

W sąsiedniej kabinie Michael grał w karty z Ruby i przegrywał. Ruby była dobrze po czterdziestce, miała chyba czterdzieści pięć lat. Surowa twarz i miłe spojrzenie.

— Nie ma pani łatwej pracy — zauważył Michael.

— Pani Manners?

— Tak. Nie należy do łatwych pacjentek.

— Znam gorsze — odparła Ruby. — Choć jest ich niewiele.

— Od dawna pani u niej pracuje?

— Jestem u niej szóstą z kolei. Moje poprzedniczki odchodziły po paru dniach, a najwyżej tygodniach. Myślę, że angażując mnie, już zdawała sobie sprawę, że albo się trochę zmieni, albo będzie musiała żyć sama.

— Chce pani powiedzieć, że pani Manners była przedtem jeszcze gorsza?

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

— Chyba tak, teraz jest całkiem znośna. A poza tym warunki i płaca są doskonałe. Jest jeszcze jeden powód, dla którego wytrzymuję. Mam córkę. Jedyne dziecko. Jej ojciec przed laty zniknął. Córka jest teraz na uniwersytecie. Jest mi bardzo bliska, a ja jej. I zdaję sobie sprawę, co bym przeżywała, gdybym ją w podobny sposób straciła gdzieś na drugim końcu świata. — Wyłożyła karty. — Znowu wygrałam. Pan nie uważa, trzeba się lepiej koncentrować.

— To prawda. — Policzył punkty i zapisał.

— W każdym razie bardzo mnie cieszy ta podróż — ciągnęła Ruby. — Przerzywa monotonię, a poza tym nigdy nie byłam w Afryce.

— Ani ja — przyznał Michael. — Też się cieszę.

* * *

Creasy skończył rozmowę telefoniczną z Jimem Graingerem i powiedział do Glorii:

— Zadzwoń do nas jeszcze przed wylądowaniem w Harrare albo wieczorem do hotelu.

Gloria była ciekawa całej rozmowy telefonicznej: — O co on pytał, na co pan odpowiedział, że nie stwarza większych problemów?

Creasy zerknął na Maxiego.

— Pytał, czy mamy z panią wielki kłopot. Naturalne pytanie, prawda?

Zastanowiła się.

— Chyba tak, chyba tak...

12

Kiedy Tommy Mo wszedł do restauracji, znajdujący się tam klienci co prawda nie powstali i nie zaczęli bić pokłonów, ale zamilkli. Tommy w otoczeniu świty przeszedł wzdłuż stolików i zniknął za drzwiami prywatnego gabinetu. W Hongkongu znany był jako Wu Yeh Tao Sza, czyli Nóż Który Nigdy Nie Śpi. Ponieważ restauracja należała do niego, kuchnia i obsługa były świetne. Kierownik lokalu, kelnerzy oraz kucharz należeli do 14K i Tommy Mo mógł mówić bez skrępowania.

Jego pierwszym zastępcą był krępy łysy Szanghajczyk w wieku mniej więcej sześćdziesięciu pięciu lat, który miał przezwisko Szen Suan Tzu, co można przetłumaczyć na Wonny Umysł. Podczas posiłków zajmował zawsze miejsce po lewej ręce Tommy'ego. Gdy podano pierwsze danie, poinformował swego szefa, że policja i inne służby bezpieczeństwa ogłosiły czerwony alarm o godzinie szóstej piętnaście po południu, w piętnaście minut po tym, jak on sam zadzwonił do komendy głównej policji zawiadamiając o grożącym w ciągu najbliższych dwunastu godzin zamachu terrorystycznym na lotnisku lub w porcie morskim. Od informatorów w policji dowiedziano się, że o godzinie siódmej trzydzieści wycofano ochronę spod domu Lucy Kwok Ling Fong, jednak odejście policjantów zbiegło się z przybyciem głównego inspektora policji, Colina Chapmana.

Twarz Tommy'ego Mo stężała, gdy usłyszał to nazwisko. Wymamrotał też kilka przekleństw w rodzimym dialekcie Czui Czou. Wonny Umysł zawiadomił następnie, że natarcie na dom zaplanowano na godzinę dwunastą w nocy, niemniej, jeśli Colin Chapman miałby pozostać dłużej, trzeba będzie opóźnić akcję.

I wtedy referenta spraw spotkała niespodzianka.

— Niech zadecyduje los — powiedział Tommy Mo. — Być może nadszedł czas, żeby on przestał nam przeszkadzać. — W zdaniu tym Tommy Mo nie użył słowa „on”, lecz pogardliwego określenia *Jin Mao*, co można przetłumaczyć jako Pojedynczy Włos z Krocza.

Przez twarz Wonnego Umysłu przemknęło zdumienie.

— Zrobi się wielki hałas — zauważył. — Rząd białych *gueilo* bardzo się denerwuje nawet wtedy, gdy ginie zwykły chiński policjant, ale kiedy to spotka policjanta *gueilo*, wprost szaleje.

— Niech zadecyduje los — powtórzył Tommy Mo. — W dawnych czasach dawaliśmy łapówki policjantom z wydziału do walki z triadami. Tym, którzy dobrze z nami współpracowali. A jeśli popełnione było przestępstwo nie mające nic wspólnego z nami, pomagaliśmy policji pochwycić sprawców. I wtedy ci idioci powołali do życia ten ich ICAC, jakąś tam niezależną komisję do walki z korupcją. Tak to się chyba nazywa. I postawili na jej czele zwariowanego Irlandczyka, który najlepszych policjantów wpakował do więzienia. Mamy przeciwko sobie ludzi, którzy dużo o nas wiedzą. A co najgorsze wiedzą, jak myślimy. Najniebezpieczniejszy z nich to *Jin Mao*. Lepiej od nas włada naszym rodzimym językiem. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy usłyszałem go mówiącego w Czui Czou. Jeszcze nie słyszałem o takim *gueilo*. Tak, on jest bardzo niebezpieczny. Rozważałem długo za i przeciw jego zabiciu. Waga nie przechyla się na żadną ze stron. Niech więc zadecyduje los. Jeśli pozostanie w tym domu po północy, zginie wraz z kobietą.

13

— Zawiadomiłeś Hongkong?

— Oczywiście, psia krew, a coś myślał!

Rolph Becker krzyczał do słuchawki, a jego twarz przybrała cierpiętniczy wyraz. Stał na patio nad ciemnym jeziorem, którego nie potrafił rozświetlić nikły odbłask sierpa księżycy. Przy uchu miał bezprzewodowy telefon. Przed pół godziną Rolph Becker powrócił z cotygodniowej wizyty w Bulawayo. Natychmiast zadzwonił do wspólnika i przekazał mu wiadomość, że zamordowanie Coppena i dziewczyny jest dalekie od pogrzebania w niepamięci, gdyż ze Stanów przybyła prywatnym samolotem matka zamordowanej i to nie sama, ale w towarzystwie trzech wynajętych osobników, z których jednym jest Maxie MacDonald, były Zwiadowca Selousa, znający teren jak własną dłoń i władający narzeczem Ndebele jak rodzimy Matabele. Becker dowiedział się tego wszystkie podczas lunchu w klubie „Bulawayo”. Nic nie mogło wydarzyć się w mieście, by natychmiast wszyscy o tym nie wiedzieli i nie plotkowali.

Usłyszawszy tę wiadomość, wspólnik w Harrare spokojnie pokiwał głową.

— Niech sobie jadą w teren, nic tam nie znajdą... Zwiadowcy Selousa czy nie. — I właśnie wtedy spytał, czy Becker zawiadomił Hongkong. To pytanie bardzo rozzłościło Beckera.

— Popełnione zostały dwa błędy — z goryczą powiedział swojemu rozmówcy. — Pierwszy w Hongkongu, gdzie ten dureń Tommy Mo nie uwzględnił faktu, że dom chińskiego profesora może mieć automatyczny system gaszenia pożaru, a miał, dzięki czemu, jak już teraz wiemy, ocalała większość dokumentów. Błąd drugi został popełniony tu. W żadnym wypadku nie należało zabijać dziewczyny. Gdyby zginął tylko Coppen, nie byłoby prawie żadnego hałasu. Nie miał też rodziny. Sierota. Zabicie kobiety wywołało komplikacje... Zwłaszcza, że miała matkę multimilionerkę.

— Jaką więc przyjmujemy strategię? — spytał wspólnik.

— Przede wszystkim obserwacja poczynań tego MacDonalda i jego przyjaciół — odparł już opanowanym głosem Becker. — I jeśli udadzą się w teren, to twoim zadaniem będzie dopilnowanie, żeby nie wrócili żywi. W rozmowie z Hongkongiem bardzo nalegałem, żeby Tommy Mo zajął się córką profesora Kwoka i żeby

tym razem dopilnował, by gabinet profesora został dokładnie spalony z całą jego zawartością, co należało zrobić od razu. — Becker patrzył na połyskującą powierzchnię jeziora. Głos mu stężał, gdy obwieszczał podjętą decyzję: — Postanowiłem też, że spróbujemy załatwić Glorię Manners, matkę. Ponieważ to ona płaci, więc kiedy ją zabijemy, pozostali wrócą do domu. . . Wiem, że to ryzykowne, ale teraz nie możemy się zatrzymać. Całe życie tu mieszkałem. Widziałem, jak jezioro powstaje i rośnie wraz ze mną. . . Pochodzę z biednej białej rodziny, która była poniżana w Afryce Południowej. Właśnie dlatego, że była biedna. Teraz jestem kimś. . . Ludzie mnie szanują. . . I nikt mi tego nie odbierze, nie pozwolę na to. I nie pozwolę, żeby mnie zamknięto w więzieniu. Nie pozwolę bez względu na to, kto będzie musiał jeszcze umrzeć.

14

Kiedy przyjechał Colin Chapman, Lucy była w ogrodzie. Usadowiona wygodnie na leżaku czytała. Colin zostawił czarne Volvo przed bramą. Pomyślała sobie, że chociaż Colina trudno zaliczyć do mężczyzn przystojnych, to jednak bije z niego męska duma i chwilami pojawia się... Jak to nazwać? Urwisowatość? Właśnie coś takiego.

Patrzyła, jak Colin przechodzi przez ulicę, zbliża się do jakiegoś samochodu, pochyla nad otwartym oknem i mówi coś do kierowcy, który parokrotnie nacisnął klakson. Po minucie zza obu narożników ogrodowego muru pojawili się dwaj mężczyźni i wsiedli do samochodu. Kiedy Colin szedł w stronę bramy jej ogrodu, samochód z policjantami odjechał. Ten lub podobny samochód był zaparkowany w tym miejscu w dzień i w nocy od chwili zbrodni dokonanej na jej rodzinie.

Colin podszedł i pocałował ją lekko w policzek.

— Mamy stan pogotowia — powiedział. — Czyli czerwony alarm. Na lotnisku i w terminalu morskim. Otrzymaliśmy sygnał o prawdopodobieństwie terrorystycznego zamachu, dlatego też musimy ściągać zewsząd agentów ochrony. Między innymi i tych, którzy pilnowali ciebie i twego domu.

Wchodząc z Colinem do domu powiedziała: — Nie szkodzi. Nie jestem niczym celem. Nic mi nie grozi.

— A ja się o ciebie boję — stwierdził. — Dopiero jutro rano będę mógł obsadzić tu posterunki, skąd wniosę, że muszę tu do jutra pozostać. — Znajdowali się już w saloniku. Wyglądał na zażenowanego. — Zabrzmiało to trochę... jak... No, wiesz, co mam na myśli... jakbym całą historię wymyślił po to, żeby u ciebie spędzić noc. Hm... Ale zapewniam cię, że rzeczywiście mamy stan zwiększonego pogotowia, naprawdę grozi zamach i naprawdę boję się o twoje życie.

— Mam dwa pytania, Colin — zapytała z uśmiechem. — Pierwsze: czy gdybym była siedemdziesięcioletnią staruszką, też zaproponowałbyś pozostanie na noc? I drugie: jeśli dziś w nocy triada zamierzała dokonać napaści na ten dom, czy potrafisz mnie ochronić?

— Gdybyś była siedemdziesięciolatką, moja droga, należałbym, aby moi dwaj ludzie tu pozostali, nawet jeśli to miało oznaczać poważne starcie z dyrektorem policji. Będę szczery. Uważam, że jesteś bardzo pociągająca i cenię sobie twoje

towarzystwo i błyskotliwość twego umysłu. Skoro więc już miałem zaproszenie na kolację, pomyślałem sobie, że do powrotu moich ludzi zdrzemnę się na kanapce.

Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

— Czy po kolacji będziesz mi pisał poematy po kantońsku?

Poważnie skinął głową.

— Jeśli tego pragniesz... Nie odpowiedziałem jeszcze na twoje drugie pytanie. Rzecz jasna, że daleko mi do Rambo, ale przeszedłem dobre szkolenie.

— Pokazał jej potężnych rozmiarów pistolet, który miał ukryty pod kurtką. — I wiem, jak się tym posługiwać.

— Zabiłeś już kogoś?

— Jeszcze nie, ale jeśli ktoś będzie próbował wdrzeć się do tego domu, to go zabiję.

— Będę więc spała spokojnie. Czy są jakieś nowe wieści?

— Owszem... Dostałem długi faks od szefa policji w Zimbabwie, tego, który prowadzi sprawę zamordowania Coppena i tej panny Manners. Bardzo, bardzo ciekawy. Opowiem ci o tym przy kolacji.

* * *

Zaskoczyła go bardzo tradycyjnym angielskim przysmakiem — pieczonym jagnięciem. Wiedziała, jak to się przyrządza, gdyż jeden z jej pierwszych przyjaciół był szefem kuchni w eleganckiej hotelowej restauracji na Causeway Bay. Ponieważ widział, że ją to bardzo interesuje, nauczył ją przyrządzania wielu typowych angielskich potraw.

Colin Chapman był wniebowzięty, zwłaszcza, że nie przypieczętował jagnięciny, a miętowy sos okazał się taki, jaki powinien być. Lucy wyjaśniła, że zdecydowała się na kuchnię angielską, bo Colin powinien czasami odpocząć od chińskich specjałów, chociaż w zasadzie bardzo je lubi. Do jagnięcia podała butelkę Chateau Margaux. Skończyli ją tak szybko, że Lucy poszła do kredensu po drugą. Pod koniec kolacji już troszkę kręciło się jej w głowie.

Gdy wniosła kawę, Colin wyciągnął wielostronicowy faks z Zimbabwe. — Wysłał go szef CID, departamentu dochodzeń kryminalnych policji prowincji Matabeleland. Nazywa się John Ndlovu. Nazwisko najmniej ważne. Najważniejsze, że wydaje się być dobrym policjantem, inteligentnym, dobrze formułuje myśli i wnioski.

Wspomina, że jego ministerstwo było mocno naciskane przez amerykański rząd, że z kolei naciskano na niego. Matka zamordowanej dziewczyny okazała

się mieć siłę przebicia i duże wpływy. Ndlovu nic nie znalazł, trafił w pustkę. Żadnego motywu zbrodni, żadnych śladów, broni czy łusek. . . absolutnie nic.

— Twoim zdaniem motyw zbrodni kryje się w korespondencji ojca i istnieje powiązanie z zamordowaniem mojej rodziny? Odpowiedziałeś na ten faks?

Chapman zaprzeczył ruchem głowy, a potem uśmiechnął się szelmowsko.

— Dziś po południu podjąłem decyzję. Jutro, kiedy będziemy już mieli za sobą całą hecę z czerwonym alarmem, ściągnę Tommy'ego Mo na przesłuchanie. Nigdy mu się to jeszcze nie przytrafiło. Decyzję podjąłem po konsultacjach z dyrektorem policji. . . Najwyższy czas, żeby Tommy'emu Mo przypiec piętę.

— Jaki to ma cel? Co nam w efekcie przyniesie?

— Zaboli go! Zrani jego poczucie godności. . . Tommy utraci twarz. Aresztujemy go w restauracji, gdzie zawsze jada. Podejrzewam, że ona do niego należy. Będzie tam pełno ludzi. Wyprowadzą go w kajdankach i tak dalej.

— Po co go upokarzać?

Wypił łyk kawy.

— Oczywiście po jednej nocy w celi będę go musiał wypuścić, ale to go wyprowadzi z równowagi, a kiedy przestępca traci spokój i przestaje się czuć absolutnie bezkarny, to czasami zaczyna postępować bardzo nierozważnie.

— A więc w rzeczywistości nie masz nic przeciwko niemu, poza słabą nadzieją, że on się potknie.

— Słaba nadzieja lepsza ni jej brak.

— A jeśli on nie zrobi nic. . . nierozważnego?

Westchnął i obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

— Musisz lecieć do Zimbabwe. Gdybym mógł, to też bym poleciał. Dzieje się tam coś bardzo ciekawego. — Popukał palcem w faks. — Przyleciała matka zamordowanej dziewczyny, Gloria Manners. Wycarterowanym samolotem. Towarzyszy jej niejaki Creasy, jego syn Michael oraz człowiek o nazwisku Maxie MacDonald. Ndlovu informuje, że to były Zwiadowca Selousa. Była to elitarna jednostka rodezyjska podczas wojny o niepodległość. Ndlovu twierdzi, że Creasy i Maxie MacDonald udają się w busz, w miejsce, w którym dokonano morderstwa.

— Jest szansa, że coś znajdą, na coś natrafia?

— Nie spodziewałbym się, ale pod koniec faksu Ndlovu wspomina, że zapytał Interpol o Creasy'ego i MacDonalda. . . Nie dlatego, by ich podejrzewał o działalność przestępczą, ale od czasu ożywionej aktywności najemników w Afryce w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, Interpol starannie zbiera i analizuje wszystkie informacje dotyczące ich poczynąń. Interpol nawet na tym zarabia, pobierając opłatę za informacje. Są trzy kategorie opłat, w zależności od tego, czy chodzi o jakiś szczegół dotyczący człowieka, czy całą jego dokumentację. — Zaczął czytać końcowy fragment faksu: — Mam skromny budżet, więc użyłem jedynie ogólne dane dotyczące Creasy'ego. Załączam je. Pański budżet

jest prawdopodobnie większy, więc może wydobędzie pan wszystkie dane dotyczące obu mężczyzn. Jeśli pan to uczyni, proszę bardzo przefaksować mi to, co istotne. Będę pana informował o rozwoju wypadków i proszę czynić to samo... I to wszystko. No i wysłałem faks do Interpolu prosząc o pełne informacje o obu panach... Może wiesz, że Interpol tak naprawdę nie jest policją. To jest po prostu wielkie biuro pełne inteligentnych komputerów i jeszcze inteligentniejszych mężczyzn i kobiet, którzy zbierają, zestawiają, porównują i analizują informacje z całego świata, ze wszystkich narodowych policji, a także, jak na przykład w naszym przypadku, z organizacji wywiadowczych poszczególnych krajów. W ciągu godziny otrzymałem wszystko, czego potrzebowałem. Myślę, że powinnaś rzucić na to okiem.

Przeczytała kilka stron. Dostrzegł w jej oczach podniecenie.

— Ha! Ten Creasy to ktoś. Przed paru laty zlikwidował we Włoszech mafijną rodzinę. On planuje operację, MacDonald mu pomaga. — Podniosła ostatnią stronę i głośno przeczytała: — Nie odpowiada modelowi najemnika. Inny profil. Pracuje dla pieniędzy, ale jest wybredny. Klienci muszą mu odpowiadać. Nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek był zamieszany w sprawy o charakterze przestępczym lub dokonywał aktów terroru czy zbędnego okrucieństwa. Wszystko wskazuje na to, że osobiste tragedie utrwaliły w nim głęboką nienawiść do wszelkich przestępczych organizacji i związków.

Gdy skończyła, Colin powiedział z uśmiechem: — Chyba nie ma wątpliwości co do tego, że triady należą do kategorii związków przestępczych. Jednakże z tego, coś mi powiedziała, wnoszę, że nie masz pieniędzy na wynajęcie takiego człowieka i potrzebnego mu zespołu pomocniczego.

— To prawda — przyznała. — Z drugiej strony, jeśli ten Creasy natrafi na coś w Zimbabwie, może się okazać, że to ma powiązanie z wydarzeniami w Hongkongu i będzie ci przydatne.

— Owszem. I dlatego uważam, że powinnaś lecieć do Zimbabwe, i to bez zwłoki. W pewnym sensie jako moja łączniczka. Zadzwońię do Johna Ndlovu i poproszę, żeby ci udzielił potrzebnej pomocy.

Spojrzała na niego ostro.

— Chcesz mnie się stąd pozbyć. Mam jechać do Zimbabwe po to, żeby uniknąć zamachu na moje życie tu, w Hongkongu?

— Oczywiście, że chodzi mi o twoje bezpieczeństwo. Muszę jednak wyznać, że będzie mi ciebie brakowało. Jestem ponadto przekonany, że oba wydarzenia, tu i tam, są ściśle powiązane. I jeśli ten Creasy wpadnie na coś w Zimbabwie, to pomoże nam to w dobraniu się do Tommy'ego Mo. Mój dyrektor nigdy się nie zgodzi posłać kogoś do Zimbabwe na podstawie zwykłego domniemania, więc uważam, że powinnaś polecieć i nawiązać kontakt z tym Creasym i panią Manners.

— Powiedziałaś, że będzie ci mnie brakowało? — spytała, patrząc mu w oczy.

Skinął energicznie głową.

— Spędziłem wiele lat, studiując tajniki chińskiej kultury i języka. Żyję na co dzień wśród chińskich oficerów policji, z wieloma się przyjaźnię. Ale nigdy nie miałem bliższych kontaktów z Chinkami. Nie pętam się po barach Wanchai i Kowloonu. I wydaje mi się, że w ciągu ostatnich kilku dni przekroczyłem jakąś barierę, zawędrowałem na nieznane mi obszary...

— Ja też odczuwam coś bardzo podobnego — odparła. — W Hongkongu nie jest łatwo być nowoczesną chińską kobietą. W naszym środowisku jest wiele uprzedzeń do *gueilo*. Bardzo wielu nazywa was nadal *Sun Ging Fang Gueilos*, Barbarzyńskie Cudzoziemskie Diabły. Nawet w kołach inteligentnych. Kobieta w mojej sytuacji musi wcześniej dokonać wyboru. Jeśli zacznie się zadawać z *gueilo*, będzie uważana przez chińskich mężczyzn za... zakazaną. Na pierwszą w życiu randkę poszłam z Anglikiem. I chociaż była to moja decyzja, czułam się jakoś... głupio. Byłam bardzo skrępowana. — Uśmiechnęła się. — Z tobą nie czuję się skrępowana. Poprzedniego wieczoru w restauracji, kiedy rozmawiałeś z kelnerem w narzeczu Fukien, byłam bardzo dumna. Widziałam szacunek w jego oczach. Masz rację mówiąc, że udało ci się pokonać barierę. Ja też czuję się dobrze w twoim towarzystwie. Zdaję sobie sprawę, że przedstawiam światu nieprawdziwą twarz. Niektórzy moi znajomi nawet się dziwią, że po tak strasznej tragedii nic po sobie nie okazuję, i nie mogą też zrozumieć, że nadal mieszkam w domu, w którym wymordowano mi całą rodzinę. Nikt nie może zrozumieć, że po prostu nie potrafię go opuścić, ponieważ wydaje mi się, że póki tu jestem, towarzyszą mi ich duchy. Znikną dopiero wtedy, kiedy wyjadę. Jednakże przez cały czas czuję, że we mnie wszystko kotłuje się, dygoce, wyje z bólu. Bardzo kochałam moją rodzinę. Mam chwilami wrażenie, że wraz z nimi straciłam część serca. Jakby mi je ktoś wyrwał, wyciął, wyszarpnął. Twoja troska i opieka, twoja przyjaźń to dla mnie wielka rzecz. Nie potrafię nawet wyrazić tego słowami.

I nieuchronny ciąg dalszy nastąpił. Przeszli do saloniku, skąd Colin zadzwonił do biura, aby sprawdzić sytuację związaną ze stanem podwyższonego pogotowia. Powiedziano mu, że nadal trwa. We wczesnych godzinach porannych miał przybyć do portu liniowiec pasażerski „Queen Elisabeth II”, odbywający podróż dookoła świata, i służba kontrwywiadu sugerowała, że to on właśnie może być celem terrorystów.

Usiedli na kanapce i wysłuchali wiadomości sieci CNN. Po tym katalogu światowych katastrof Lucy nastawiła płytę z nagraniami klasycznych utworów, w przeświadczeniu, że mogą sprawić Colinowi przyjemność. Pod koniec „Nokturnu” Szopena siedziała już z głową opartą na jego ramieniu, w stanie emocjonalnego podniecenia i, po raz pierwszy od czasu tragicznych wydarzeń, uspokojona.

Objął ją ramieniem. Pocałowali się. Jej pierwsza myśl była dość przekorna: chociaż Colin znał w mowie i piśmie osiemdziesiąt tysięcy chińskich ideogramów, nie należał do ekspertów w dziedzinie całowania. W pewnym jednak sensie

jego nieporadność była czarująca. Po minucie oderwała usta i aby cokolwiek powiedzieć, stwierdziła, że ładnie pachnie. Okazał zakłopotanie.

— To płyn po goleniu. Rzadko go używam.

— Bardzo przyjemny. Co to jest?

— „Versus” Gianniiego Versace.

— Hmm, drogi... Prezent od kobiety?

Był niesłuchanie zakłopotany.

— Nie... bo właściwie, tak prawdę mówiąc... od dawna nikogo nie znam, kto...

Położyła mu dłoń na policzku.

— Sam to sobie kupiłeś?

— Tak.

— Kiedy?

— Właściwie to... dziś po południu.

Roześmiała się. Ale nie z niego. — Wszystko zaplanowałeś?

— To znaczy... Powiedzmy, że po prostu tak się stało. Ja posmarowałem się „Versace”, a ty nastawiłaś „Nokturn”. A przy „Nokturnie” Szopena człowiek staje się romantyczny...

Przeszli do sypialni. Zachwycił się łóżkiem. Lucy wyjaśniła, że przechodziło z pokolenia na pokolenie. Masywne łoże w mahoniu i hebanie, bogato rzeźbione. Powiedziała mu, że kiedy je przed dwudziestu laty wnoszono, trzeba je było rozebrać i poszczególne części dźwigało po paru robotników, takie jest ciężkie. Nazywaliśmy je łożem opiumowym — dodała.

Gdy się rozbierali, spytał: — Czy będziemy palili opium?

— Zdecydowanie nie. Po pierwsze, nigdy bym nie proponowała opium głównemu inspektorowi policji, a poza tym opium zabija pożądanie.

* * *

Ona przewodziła miłosnej grze. W milczącym zachwycie głaskała dłońmi i oczami jej smukłe ciało, palcami wodził po jedwabistej czarnej kępie między udami.. Z delikatnością nakierowała mu głowę w to miejsce, by je pieścił. Czuła ogarniające ją rozdygotanie. Oddech stawał się krótki i szybki. Zsunęła się niżej i ułatwiła mu wejście w siebie. Po zaledwie paru minutach wygiął się, sprężył i opadł dysząc z ulgą.

Nie była rozczarowana. Instynkt powiedział jej, że minęły tygodnie lub nawet miesiąca od chwili, kiedy kochał się po raz ostatni. Natomiast Colin był wyraźnie skonfundowany. Użyła odpowiednich słów, by go podeprzeć na duchu, po czym

wyślizgnęła się z łóżka, poszła do łazienki, zmoczyła w gorącej wodzie ręczniczki, wróciła i delikatnie obmyła mu genitalia.

Leżeli obok siebie w milczeniu. Tuż przed zaśnięciem usłyszała jego cichutko wypowiedziane słowa: — *En goi me...* „Kocham cię” w narzeczu kantońskim.

Musnęła wargami jego policzek, ale już spał.

Obudziła się po trzech godzinach i położyła głowę na jego piersi, patrząc w półmroku na nocny stolik, na którym położył pistolet w kaburze. Nie mogła sobie wyobrazić Colina strzelającego do kogokolwiek. Nie mogła też sobie wyobrazić Colina jako swojego kochanka, ale nie żałowała tego, co się stało. Tak, trudno jej było wyobrazić sobie siebie w jego ramionach. Nie czuła miłości, ale ciepło. Rano odleci do Zimbabwe. Może już stamtąd nie wróci. Może los przeznaczył dla niej nowe, inne życie. Uśmiechnęła się, myśląc o losie i przeznaczeniu. Parokrotnie poruszali ten temat z Colinem. Colin bardzo interesował się miriadą przesądów i chińskich wierzeń dawnych i dzisiejszych. Wiele na ten temat wiedział i zdawał sobie też sprawę, że potrafią one całkowicie zdominować życie biednych ludzi, i rozumiał to. Natomiast w żaden sposób nie mógł pojąć tego, że ulegają im dzisiejsi doskonale wykształceni Chińczycy. Usiłowała mu wytłumaczyć, że Chińczyk, bez względu na to, jak bardzo jest przepojony zachodnią kulturą, zawsze jest wierny dawnym przesądom. Przecież jej ojciec był wykształconym na Zachodzie naukowcem, ale kiedy budował ten dom, niezależnie od architekta miał eksperta Fung Szui i obaj ściśle ze sobą współpracowali, aby duchom — zarówno domowym, jak i ogrodowym — zapewnić spokój i harmonię bytowania.

Colin wtedy roześmiał się na to i spytał Lucy, czy też w to wszystko wierzy.

— Oczywiście — odparła. — Wierzę, że duchy mają moc decydowania o naszym losie.

* * *

Dziesięć minut po północy z brzękiem rozleciały się szyby. Światło jeszcze się paliło, Lucy miała otwarte oczy. Zobaczyła wielkie czarne jajo szybujące łukiem przez sypialnię. Domyśliła się, że to jest granat, choć granatu nigdy jeszcze nie widziała. Jajo trzepnęło o ścianę, odbiło się, upadło na piękny dywan z Tiensinu i potoczyło się pod hebanowo-mahoniowe łóżko.

Łóżko podskoczyło, wyrzucając Colina w powietrze. Lucy znalazła się na dywanie, przerażona i ogłuszona. Colin się zerwał, był zupełnie nagi, porwał pistolet z nocnego stolika i zaciągnął Lucy za tył przechylnego łóżka, które straciło jedną nogę. W sypialni wybuchły dwa kolejne granaty — jeden zaczepny, który odłamkami poraził Lucy w ramię (usłyszała także głośny jęk z ust Colina), a drugi

fosforowy, który zalał sypialnianą przestrzeń oślepiającą bielą. Lucy przez kilka sekund nic nie widziała, słyszała tylko dalsze eksplozje w różnych częściach domu i pokrzykiwania w dialekcie kantońskim.

Chapman stał w otworze po oknie i strzelał. Drzwi do sypialni rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich ubrany na czarno Chińczyk z pistoletem maszynowym. Słyszając hałas, Colin błyskawicznie padł za łożo. Fosforowy granat jeszcze się jarzył. Oczy Chińczyka wędrowały nerwowo po sypialni, w poszukiwaniu żywego celu.

Pojawiła się druga sylwetka odziana na czarno z wycelowanym automatem. Colin strzelił zza łoża i jeden z napastników padł. Drugi wycofał się na korytarz. Lucy widziała wszystko jak na zamazanej taśmie filmowej: mężczyzna pada, Colin ciska bezużyteczny pusty pistolet za uciekającym, obejmuje ją, dźwiga... Usłyszała ostro wydane polecenie:

— Uciekaj! — Zaciągnął ją do okiennego otworu i po prostu wyrzucił na trawnik. Upadła i potoczyła się po trawie.

Słyszała serię z pistoletu maszynowego. Chyba z sypialni! W pobliżu na trawie leżał Chińczyk w czerni. Trzymał się za brzuch i jęczał. Spojrzała w sypialniany otwór okienny i zobaczyła wykrzywioną bólem twarz Colina. Zdażył jeszcze przenikliwie syknąć „Uciekaj!”, a potem przeszła go seria z broni maszynowej. W ostatniej sekundzie życia poderwał głowę, a potem padł na zasłany odłamkami szkła parapet. Z pleców spływały mu smużki krwi. Słyszała nawoływania w głębi domu i po drugiej stronie ogrodu. Zadziałał instynkt. Kazał jej poderwać się i biec, a potem zatrzymać się przy basenie kąpielowym, gdyż zdała sobie sprawę, że tak wolno biegnąc nigdy nie zdoła umknąć. Tuż obok niej znajdowała się wystająca metr nad trawę kamienna studzienka basenowej pompy i filtrów. Szarpnęła drewnianą klapę. Wślizgnęła się między pompę a okrągły pomarańczowy filtr i zasunęła klapę.

Jeszcze przez dobre dwie minuty słyszała wołania, następnie kilka eksplozji w głębi domu. Wyjrzała przez szparę w klapie. Widziała tylko płomienie, słyszała ich skwierczenie, a potem ryk silników i pisk opon samochodów odjeżdżających spod bramy.

Po dalszych paru minutach przez podobne do przeciągłego grzmotu huczenie ognia przebiło się wycie syren wozów strażackich. Wypchnęła klapę i wygramoliła się na krawężnik basenu. Leżała zupełnie wyczerpana, czuła bolesne pulsowanie zranionej ręki oraz straszliwą nienawiść, która opanowywała każdy zakamarek jej umysłu.

15

Godzinę po ich przybyciu do hotelu „Meikles” zjawił się ambasador, mężczyzna wysoki, siwy, układny. Gloria przyjęła go w saloniku apartamentu. Po paru minutach dołączyli: Creasy, MacDonald i Michael. Creasy natychmiast zauważył zmianę w zachowaniu Glorii: była uprzejma i miła.

Gdy po podaniu kawy kelner wyszedł, ambasador obrzucił uważnym spojrzeniem Creasy’ego.

— Wiem o panu wiele, sporo wie także policja. John Ndlovu mówił mi, że przed laty polowaliście na siebie w górach Mozambiku.

— Tak było — przytaknął Creasy.

— Obecnie John Ndlovu jest bardzo dobrym oficerem policji. I z tego, co słyszałem, uczciwym. — Ambasador zwrócił się z kolei do Glorii: — Mogę panią zapewnić, pani Manners, że przeprowadzone przez niego dochodzenie było bardzo dokładne. Nie można go winić za niewykrycie sprawców.

— Czy zgodzi się nam pomagać? — spytała Gloria.

— Owszem, choć bez entuzjazmu. Żaden policjant nie lubi wtrącania się ludzi z zewnątrz przy takich sprawach jak morderstwo.

— A zezwolenia na broń? — chciał upewnić się Maxie.

Ambasador kwaśno się uśmiechnął.

— Otrzymacie je. Ale to również wymagało... długiego przekonywania. — Spojrzał na Creasy’ego: — Czy nadal ma pan obywatelstwo amerykańskie?

— Nie. Podobnie jak wielu ludzi z Legii Cudzoziemskiej przyjąłem po pięciu latach obywatelstwo francuskie.

— Miło mi to słyszeć, gdyż jako amerykański ambasador wolę, żeby nie było tu włóczących się po kraju najemników z amerykańskimi paszportami. Nawet jeśli mają zezwolenia na broń wydane przez lokalne władze. A pański syn?

— Mam paszport maltański — odparł Michael.

— A ja wymieniłem paszport rodezyjski na brytyjski — pośpieszył z wyjaśnieniem Maxie.

Ambasador był wyraźnie bardzo zadowolony.

— Droga pani Manners, miło by mi było zaprosić panią do rezydencji na kolację, ale słyszę, że spędza pani w Harrare tylko jedną noc, a niestety dziś wie-

czorem czeka mnie obowiązkowy udział w oficjalnym przyjęciu. Jakie ma pani plany na jutro?

W odpowiedzi odezwał się Creasy: — Jutro pani Manners, MacDonald i ja lecimy do Bulawayo. Zostajemy tam bardzo krótko, by pobrać broń, i lecimy dalej do Victoria Falls, gdzie pani Manners i jej pielęgniarka zatrzymają się w hotelu „Azambezi Lodge”, my zaś ruszymy w busz, aby rozejrzeć się w rejonie, gdzie popełniono morderstwo.

— A pański syn?

— Na kilka dni zostanę w Harrare — odpowiedział Michael. — Ostatnio bardzo ciężko pracowałem i należy mi się trochę wolnego. Zwłaszcza wieczorami.

Ambasador pokiwał głową.

— W Harrare nocne życie jest zdumiewająco bogate i różnorodne, niemniej radzę, aby trzymał się pan z daleka od lokali w uboższych dzielnicach. Może tam być niebezpiecznie. W kraju panuje duże bezrobocie, przestępczość niepokojąco wzrasta.

— Dziękuję. Będę o tym pamiętał — odparł Michael.

— Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zajdzie potrzeba. — Ambasador wstał. — Panią również proszę, pani Manners, o skomunikowanie się ze mną, gdyby powstały jakieś problemy i potrzebowała pani pomocy. Proszę się nie wahać. Zdaje sobie sprawę ze smutnego charakteru pani wizyty, ale mam nadzieję, że w Victoria Falls będzie pani mogła trochę się odprężyć. Hotel „Azambezi” doskonale się do tego nadaje. Spokój i cisza. — Spojrzał na zegarek. — Za kilka minut przyjdzie John Ndlovu, więc zostawiam państwa. — Podał Glorii rękę.

Obdarzyła go czarującym uśmiechem.

Ambasador nie oferował dłoni trzem mężczyznom. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem i pożegnał słowami: — Życzę panom szczęścia.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Gloria spojrzała na Creasy’ego z wyrazem triumfu w oczach.

— A więc jednak mam czarodziejską różdżkę, panie Creasy. Ambasador okazał się miły i pomocny.

Creasy coś do siebie mruknął pod nosem, a głośno odparł: — Był miły i pomocny, ponieważ jest etatowym urzędnikiem, a nie prezydenckim politycznym nominantem. Jim Grainger jest wpływowym senatorem, zasiadającym w komisji spraw zagranicznych. Ambasador miał telefon od senatora i dlatego był taki słodziutki. Bez względu na to, jak i co, rezultat jest pozytywny. Bez oficjalnego zezwolenia na broń, musielibyśmy ją nosić nielegalnie, a to mogłoby spowodować komplikacje.

Nim Gloria zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozległo się ciche pukanie. Otworzył Creasy.

John Ndlovu był wysokim, potężnie zbudowanym, czarnym jak heban Afrykaninem. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur, do tego białą koszulę i jakiś

pułkowy krawat. Czarne półbuty świeciły jak lustro. Obaj mężczyźni przyglądali się sobie przez długą chwilę, aż wreszcie Creasy powiedział: — Widziałem oczywiście pańską fotografię i wszędzie bym pana poznał.

Afrykanin skinął głową.

— A ja miałem pana raz na muszce. Odległość była nieco za duża i postanowiłem podejść bliżej. Popełniłem błąd. Udało się panu umknąć i tej samej nocy zabić czterech moich ludzi.

— Cóż, wojna.

Afrykanin wyciągnął rękę.

— Tak, to była wojna. Ale teraz możemy się wreszcie spotkać i wypić drinka, zamiast celować do siebie z karabinów.

Uścisnęli sobie dłonie. Creasy wprowadził Ndlovu do salonu i przedstawił Glorii oraz pozostałym. Po zakończeniu powitalnej ceremonii, Ndlovu spojrział ciekawie na Maxie MacDonalda.

— Jeszcze jeden duch z przeszłości! Odwiedzał już pan ten kraj od chwili uzyskania niepodległości?

— Nie. Wolałem poczekać, aż emocje wystygną.

— W swoim czasie była to rozsądna decyzja... zwłaszcza dla byłego Zwiadowcy Selousa. — Na twarzy policjanta pojawił się półuśmiech. — Ale teraz w istocie emocje wygasły.

Creasy podszedł do barku.

— Co pan pije? — spytał.

Ndlovu opowiedział się za whisky z wodą. Natychmiast też zaczął tłumaczyć, dlaczego jego ludzie nie trafili na ślad morderców córki pani Manners, i wyrażać z tego powodu ubolewanie. Zapewniał, że uczyniono olbrzymi wysiłek i niczego nie zaniedbano. W ostatnich latach jest coraz mniej tego typu zabójstw. Nie ustalono motywu zbrodni. Na nieszczęście deszcze zmyły ślady opon i kroków. Jednakże policja wypożyczyła czterech tropicieli z biura walki z kłusownictwem. Na jeden tydzień. Niczego nie znaleźli, bo nie było już nic do znalezienia. Trudno przypuścić, aby istniała jakaś motywacja polityczna. Nie dokonano też rabunku. Raz jeszcze Ndlovu wyraził swoje ubolewanie i złożył kondolencje.

— W pełni rozumiem sytuację — odparła Gloria Manners. — Zapoznałam się z pańskim raportem i nie mam najmniejszych wątpliwości, że zrobił pan wszystko, co leżało w jego mocy. Pan z kolei zrozumie chyba matkę i nie będzie miał jej za złe, że przyleciała z ekipą obecnych tu panów...

Ndlovu wzruszył ramionami.

— Mój minister prosił mnie, abym okazał pani i jej ludziom dobrą wolę i chęć kooperacji. Protestowałbym, gdyby pojawiła się pani z bandą zwykłych najemników. Często są to po prostu bandziory, ale Creasy i Maxie nie należą do tej kategorii. Na własnej skórze doświadczyłem, że są to świetni tropiciele i umieją żyć w buszu. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa trafienia na coś, czego moi ludzie nie

dostrzegli, to ci dwaj na to z pewnością trafią. W minionych dniach miałem okazję zapoznać się ze wszystkimi danymi dotyczącymi pana MacDonalda. Wiem, że biegle mówi językiem Ndebele i paroma plemiennymi narzeczami. To wielki atut. — Zwrócił się do Creasy'ego: — Kiedy jedziecie do buszu?

— Skąd pan wie, że chcemy tam jechać?

— Nie przyjechaliście na łowienie ryb w jeziorze. — Ndlovu uśmiechnął się i spojrzał na Michaela: — Czy ten młody człowiek coś wie o afrykańskim buszu?

— Odwiedza po raz pierwszy Afrykę — odpowiedział za Michaela Creasy. — Przez kilka dni zostanie w Harrare, żeby się oswoić. Później dołączy do nas w Victoria Falls.

Policjant wyjął z kieszeni wizytówkę. — W razie jakichś problemów proszę do mnie zadzwonić.

Michael podziękował i schował kartonik. Z zewnętrznej kieszeni Ndlovu wyjął plik papierów i podał Creasy'emu.

— Oto czasowe zezwolenia na broń. Prosiłbym, aby nie była widoczna w obrębie miast i osiedli. Zezwolenia są ważne na trzydzieści dni. Mam prawo je przedłużyć, jeśli zajdzie taka konieczność.

Creasy podał dokumenty MacDonaldowi, który je przejrzał i skinął głową.

— Trzydzieści dni to aż nadto. W tym czasie albo na coś trafimy, albo już tu nas nie będzie — powiedział Creasy.

— Mam takie samo zdanie — powiedział policjant. Bardziej oficjalnym tonem obwieścił: — Proszę pozostawać ze mną w kontakcie, informując o postępach, i proszę nie zapominać, że operujecie panowie na podległym mi terytorium. Broń może być użyta jedynie do samoobrony. Jeśli traficie na winnego czy winnych, nie chcę słyszeć o zastępowaniu wymiaru sprawiedliwości.

— Rozumiem — odpowiedział Creasy. — Jedziemy obejrzeć teren i nic więcej.

Ndlovu zwrócił się do Maxie MacDonalda i nieoczekiwanie zaczął szybko mówić w języku, którego nikt z pozostałych nie rozumiał. Tylko Creasy rozpoznał język Ndebele. Maxie potakiwał głową, nie odwracając oczu od twarzy Afrykani-
na, który wyjął z kieszeni jeszcze jeden dokument i wręczył go rozmówcy. Maxie uważnie przeczytał, skinął głową, złożył papier i schował go do tylnej kieszeni.

Z kolei po angielsku Ndlovu zwrócił się do Glorii: — Szanowna pani, mam szczerą nadzieję, że pani ludziom uda się rozwiązać zagadkę, której moi dotychczas nie mogli. — Uścisnął jej rękę, a potem w ten sam sposób pożegnał się z mężczyznami. Od drzwi jeszcze rzucił: — Niech pani do mnie dzwoni, gdyby potrzebna była jakaś pomoc. — Uśmiechnął się krzywo. — I zachęcam do kontaktowania się z ambasadorem, który wiele tu może, jak już zdążyłem zauważyć...

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zniecierpliwiona Gloria zapytała Maxiego: — O czym gaworzyliście w tym małym języku?

Maxie rzucił okiem na Creasy'ego i, pochwyciwszy jego leciutkie skinienie głowy, zaczął mówić: — O dwu sprawach. Ndlovu sugerował, żeby do buszu zabrać trochę złotych suwerenów lub krugerrandów. Najlepiej krugerrandów. Policji nie wolno wypłacać nagród informatorom, ale wobec osób prywatnych nie ma zakazu. To jest bardzo biedny rejon. Ndlovu nadmienił, że bez specjalnego zezwolenia wwóz złota do Zimbabwe jest zakazany, i że on wolałby o tym nic nie wiedzieć.

— No to skąd weźmiemy te suwereny czy krugerrandy? — spytała Gloria. Creasy i Maxie spojrzeli po sobie i Creasy poklepał się po klamrze pasa. — Tacy jak my nigdy nie podróżują bez paru sztuk złota. A te metalowe okucia pasa stanowią wytlumaczenie dla lotniskowych bramek antyterrorystycznych. Mamy dość krugerrandów do przekupienia paru wiosek.

— To była jedna sprawa, o jakiej rozmawiał pan z tym inspektorem, a druga? — nalegała Gloria.

Maxie chwilę się wahał, a potem wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał Creasy'emu, który najpierw sam przeczytał oficjalne pismo. Uśmiechnął się.

— Dowiem się, czy nie? — warknęła pani Manners.

Creasy porozumiał się wzrokiem z MacDonaldem i zaczął wyjaśniać:

— Wydaje się, że wbrew temu, co zakazywał nam Ndlovu, w Zimbabwe stosuje się czasami doraźny wymiar sprawiedliwości. Jako Zwiadowca Selousa Maxie był członkiem rodezyjskich sił zbrojnych. Po wojnie siły zbrojne Rodezji wraz z oddziałami partyzanckimi zostały stopione w jedną organizację wojskową nowego państwa. Maxie nigdy nie prosił o zwolnienie z wojska ani nie został zdemobilizowany. Po prostu rozpułnął się, umknął za granicę. To pismo podpisane przez ministra zasobów naturalnych i turystyki jednocześnie nakazuje i pozwala, by jego wymieniony w nagłówku posiadacz, czyli Maxie, napotkawszy w buszu kłusowników polujących na nosorożce lub słonie, po prostu ich zastrzelił. Ponadto, jeśli trafi na ślady wskazujące, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin kręcili się tam kłusownicy, ma obowiązek tymi śladami podążać przez minimum siedemdziesiąt dwie godziny lub do chwili, kiedy z tropów będzie wynikało, że przekroczyli granicę z Zambią.

— Co to ma znaczyć? — wybuchnęła Gloria. — Mam płacić za tropienie im kłusowników?

Creasy oddał pismo MacDonaldowi.

— Jest mało prawdopodobne, abyśmy w tej okolicy natknęli się na kłusowników. Oni już tamtędy przeszli i wszystko wybili. Poza tym pamiętamy, że naszym podstawowym zadaniem jest tropienie mordercy.

— Święta prawda — potwierdził Maxie. — Niemniej, jeśli zobaczę jakiegoś łobuza kłusownika, to go chętnie ubiję.

16

- Pogrzeb jest jutro.
- O której?
- Czwarta po południu.
- Przyjdę.

Inspektor Lau głęboko westchnął. Siedział przy szpitalnym łóżku, w którym leżała Lucy. — Panno Kwok, przed chwilą rozmawiałem z lekarzem. Chce, żeby pani tu została jeszcze przez kilka dni. Rana nie jest poważna, ale utraciła pani dużo krwi. Doznała też pani poważnego szoku.

Pokręciła głową.

— Niech pan zapomni o szoku. Jestem już znieczulona na szoki. A jeśli idzie o krew, to dokonano transfuzji. Jednej po przyjęciu mnie do szpitala, drugiej dziś rano. Przyjdę na pogrzeb Colina.

Inspektor dostrzegł zdecydowanie w oczach Lucy i zrezygnował z nalegania.

- Byłabym wdzięczna, gdyby przysłał pan po mnie policyjny wóz o trzeciej.
- Sam po panią przyjadę i po pogrzebie odwiozę do szpitala.
- Po pogrzebie jadę na lotnisko.
- A gdzie to się pani wybiera?
- Do Zimbabwe. Polecę do Londynu i stamtąd złapię samolot do Harrare.
- Powinna pani odpocząć jeszcze przez kilka dni. Z drugiej strony, decyzja opuszczenia Hongkongu wydaje mi się słuszna.

Zobaczył gniew w jej spojrzeniu i jego potwierdzenie usłyszał w słowach: — Nie uciekam przed Tommym Mo i jego zbirami. Ustaliłam już przedtem z Colinem, że polecę do Zimbabwe, aby zbadać, co łączy tamtejsze morderstwa z wymordowaniem mojej rodziny. Colin był pewien, że mają związek i prowadzą do Tommy'ego Mo. Czy jest coś nowego od policji w Zimbabwe?

— Dziś rano nadszedł faks. Wczoraj przyleciała pani Manners z ekipą trzech ludzi. John Ndlovu obiecuje, że będzie mnie informował na bieżąco.

Lucy wskazała na telefon przy łóżku.

— Po południu załatwię rezerwacje i zadzwonię do pana. Proszę potem wysłać faks do tego Ndlovu i zawiadomić go o godzinie mego przylotu.

— Dobrze. Czy ma zarezerwować hotel?

— Nie. Zrobią to linie lotnicze. Jako stewardesa mam dużą zniżkę.

Inspektor wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Szpital Matilda stał blisko szczytu góry. Lau widział z okna wieżowce Victorii, a za nimi Kowloon. Docierał tutaj wytłumiony gwar i nieustanny szum jednej z najruchliwszych metropolii świata. Lau zwrócił się do Lucy: — Colin był moim przyjacielem. Nigdy nie mówił dużo, ale dobrze go rozumiałem. Wydaje mi się, że w tym ostatnim okresie, kiedy pracowaliście razem przy porządkowaniu papierów profesora Kwoka, bardzo panią polubił.

Lucy odpowiedziała po długiej chwili milczenia: — Ostatniej nocy wyznał, że mnie kocha, i tak chyba było. Wyrzucił mnie przez okno, żebym uciekała. Mógł wyskoczyć i też próbować ucieczki. Już wystrzelał całą amunicję... Ale został i zginął.

Inspektor Lau powrócił w pobliże łóżka.

— A pani? Też go kochała?

Pokręciła głową. — Chyba nie. Ale bardzo, bardzo go polubiłam. Może miłość przyszłaby potem. Kto to wie? To sprawa przeznaczenia. A może biali zakochują się szybciej niż my?

Inspektor Lau ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się przy nich.

— Colin Chapman wyglądał jak *gueilo*, ale nim nie był — powiedział. — Jego serce, umysł i dusza były rodem z Państwa Środka. A ja teraz chcę mieć serce, umysł i duszę Tommy'ego Mo. Chcę je dostać w swoje ręce. Chcę go mieć w więzieniu lub... w kostnicy.

— Zabiłby go pan sam?

— Nie. Jestem policjantem. Czasami jednak chciałbym nim nie być... Jutro przyjadę po panią o trzeciej, a później odwiozę prosto na lotnisko.

17

Lot do Bulawayo trwał tylko godzinę. *Gulfstream* dotknął pasa lotniska o dziewiątej rano, a potem, prowadzony przez Land-rovera z migającym światłem na dachu, podkołował w ustronny kąt lotniska, daleko od terminalu. Czekał tam wóz policyjny i cywilny Land-rover. Steward opuścił schodki i po paru minutach na pokład samolotu weszli dwaj biali mężczyźni. Jeden w mundurze oficera policji, drugi w stroju typowym dla białych farmerów: szorty khaki, koszula khaki i buty z surowego nabuku. Farmer miał przerzuconą przez ramię potężną brezentową torbę.

Maxie znał obu. Farmer był jego kuzynem, w torbie niósł broń. Chociaż kuzyni nie widzieli się od czternastu lat, typowe dla Rodezyjczyków przywitanie było zdawkowe, jakby spędzili razem poprzedni dzień. Inspektor był mężczyzną po pięćdziesiątce. Serdecznie uściśnął dłoń Maxie.

— Co za niespodzianka! — wykrzyknął MacDonald.

— Wiem o co ci chodzi — odparł inspektor. — Dla mnie też. Postanowiłem spróbować przez rok. Z początku było ciężko, ale wytrzymałem i drugi rok. Potem już się poprawiło, więc zostałem i dalej jestem.

— Jezu! I zrobili cię nawet inspektorem! — Maxie obrócił się do Creasy'ego: — Przedstawiam ci Robina Gilberta. Chodziliśmy do jednej szkoły. — Następnie zaprowadził Gilberta do Glorii, która spędziła godzinny lot z Harrare, czytając lokalną prasę w swojej kabinie.

Po prezentacjach policjant zwrócił się do Creasy'ego: — Z tego, co wiem, lećcie od razu do Victoria Falls, więc załatwmy, co mamy do załatwienia.

Farmer postawił torbę na stole w saloniku i rozsunał zamek błyskawiczny. Creasy wyjął z kieszeni otrzymane od Ndlovu zezwolenia i podał inspektorowi. Gilbert przez dziesięć minut sprawdzał zgodność numerów i typów przyniesionej broni z wymienionymi w zezwoleniach, które wreszcie podpisał zgodnie z wymogami prawa i wręczył z powrotem Creasy'emu.

— Bardzo pana proszę, aby zawsze mieć przy sobie licencję odpowiadającą typowi niesionej w danej chwili broni.

— Będziemy tego przestrzegali — zapewnił go Creasy.

— Boże drogi! — wykrzyknęła Gloria. — Jest was tylko trzech, a tego chyba

wystarczy na wyposażenie małej armii.

— Każdy typ służy do czegoś innego i jest przeznaczony na inną okazję — wyjaśnił Creasy. — To jest na przykład sztucer *Holland and Holland* kalibru 11,56 mm. Można z niego upolować słonia, o ile korzysta się z naboju *Winchester Magnum*. To jest karabin sportowy *Hart Model 2* kalibru 5,6 mm z tłumikiem. Na mniejsze odległości mamy karabiny na nabój pośredni, *Katasznikowy*. Tu mamy pistolety, *Colty M1911*, bardzo skuteczna broń. — Odłożył z powrotem do torby jednego *Katasznikowa* i jeden pistolet, wrzucił dwie towarzyszące licencje i oddał farmerowi. — Proszę to jeszcze przed wieczorem dostarczyć Michaelowi w Har-rare.

Farmer potwierdził skinieniem głowy.

— Będę tam późnym popołudniem. — Zdjął z ramienia drugą mniejszą i bardzo zniszczoną torbę i rzucił MacDonaldowi mówiąc: — *Biltong*. Z młodego kudu.

Oczy obdarowanego aż rozbłysły nieukrywaną radością, gdy otwierał torbę i wyciągał z niej dwukilowy połączony podobny do kawału grubej ciemnej skóry.

— A cóż to takiego? — spytała Gloria.

— Suszone solone mięso — wyjaśnił Creasy. — W Ameryce robi się to głównie z wołowiny, ale tutaj służy do tego dziczyzna. Delikatnie mówiąc smak ma nieco specyficzny, niemniej na tej ilości *biltongu* i na wodzie można przetrwać w buszu przez wiele dni.

Farmer przerzucił przez ramię torbę z dwiema sztukami broni, pożegnał się i wyszedł z samolotu. Inspektor skinął na Creasy'ego i obaj odeszli w głąb kabiny.

— Lecicie od razu do Victoria Falls? — spytał. — Ja też tam się udaję na dwa tygodnie.

— Nagła decyzja Ndlovu?

— Chyba tak. Otrzymałem rozkaz wczoraj wieczorem.

— Żeby mieć na nas oku?

— Chyba nie. To byłaby czysta strata czasu, próbować was upilnować, kiedy będziecie w buszu... Wymknęlibyście się w ciągu minut... Więc to nie o to chodzi. Ndlovu po prostu wie, że przyjaźniłem się z Maxie. Dobrze, żeby miał kogoś takiego jak ja w pobliżu. Maxie będzie bardziej skłonny zaufać mi, niż jakiemuś czarnemu policjantowi, którego nie zna.

— Bardzo prawdopodobne. Zostanie pan więc w Victoria Falls?

— Będę krążył. Między Victoria Falls a Binga. I będę utrzymywał łączność radiową z obiema miejscowościami. Jeśli na coś natraficie, to dajcie mi znać.

— Nie omieszkamy.

Gilbert chwilę się wahał.

— Mógłbym się z wami zabrać? To mi zaoszczędzi cztery godziny jazdy samochodem.

Creasy spojrział w niebo.

— Spytam panią Manners. Ale to trudna i nieobliczalna osoba. Zwłaszcza dziś rano jest w piekielnym humorze.

Creasy wrócił do saloniku, Gilbert za nim. Steward podawał właśnie kawę Glorii. W dalszym ciągu siedziała z nosem w gazecie.

— Pani Manners, inspektor Gilbert również udaje się dziś do Victoria Falls. Otrzymał zadanie sprawdzenia podjętych środków bezpieczeństwa w hotelu „Azambezi Lodge”. Jeśli go zabierzemy do samolotu, to zaoszczędzi cztery godziny jazdy.

Gloria podniosła głowę i przez kilka sekund wpatrywała się w twarz inspektora.

— Proszę bardzo — odparła i zwróciła się do stewarda: — Proszę podać temu panu kawę.

— Powiem pilotowi, że możemy lecieć. — Creasy ruszył w stronę kabiny pilotów, inspektor za nim, i gdy zbliżali się do kabiny pilotów, klepnął go po ramieniu.

— Skąd pan wiedział? — spytał.

— Niby co miałem wiedzieć? — zdziwił się Creasy.

— Że pierwszym poleceniem, jakie mi dał Ndlovu, jest dopilnowanie, żeby pani Manners otrzymała ochronę?

— Nietrudno było się domyślić. Ndlovu bardzo by nie chciał komplikacji, jakie spowodowałyby zamordowanie jeszcze jednej Amerykanki. Zwłaszcza tak znanej i wpływowej. — Creasy otworzył drzwi do kabiny pilotów. — No, wyprawmy to pudło w dalszą drogę.

Awantura wybuchła po piętnastu minutach, kiedy już lecieli nad Matabeleland. Creasy i Robin Gilbert siedzieli w tyle samolotu. Creasy wypytywał policjanta o lokalne warunki, a policjant informował go o ogólnej sytuacji gospodarczej i politycznej oraz o rozmiarach kłusownictwa. Maxie w saloniku pił kawę w towarzystwie Glorii i Ruby. Gloria odcięła i zaczęła żuć kawałek *biltongu*. Bardzo jej nie smakował. Już skończyła czytać gazetę i najwyraźniej się nudziła. Nie interesowały ją widoki rozściełające się poniżej.

— Kiedy idziecie do buszu? — spytała.

— Jutro o świcie — odparł Maxie.

— Kiedy dotrzecie do miejsca popełnienia zbrodni?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak szybko będziemy się posuwać.

— Do diabła, to nie wiecie, jak szybko możecie iść?

— Nie. Może nam to zająć dwa albo nawet trzy dni.

— Dlaczego tak długo?

Maxie westchnął i zaczął wyjaśniać: — Tropienie pochłania dużo czasu. My szukać śladów. Musimy trafić na trop. Wiele zależy od stanu terenu. Czy zie-

nia bardzo wyschła, w jakim kierunku wiał wówczas wiatr, a w jakim wieje obecnie.

Pochyliła się w fotelu.

— DUBY SMALONE! — warknęła. — Przeczytałam wszystkie policyjne raporty. Przez wiele dni przebywali w terenie wykwalifikowani tropiciele i niczego nie znaleźli.

— My nie będziemy szukać śladów sprzed tygodni, pani Manners. Ale świeżych.

— Po co?

— Być może w czasie dokonywania tej zbrodni byli na tym obszarze inni ludzie i teraz wrócili.

— Nie zgadzam się — syknęła Gloria. — I niech pan to sobie dobrze wbije do głowy. Nie zgadzam się na żadne tam polowanie na kłusowników. Nie za moje pieniądze! Pracujecie dla mnie, a nie dla jakiegoś tam ministerstwa zasobów naturalnych!

Napotkała lodowate spojrzenie i usłyszała lodowatą odpowiedź Maxie: — Pani mnie do niczego jeszcze nie wynajęła. Przyjechałem tutaj jedynie za pokrycie kosztów...

Znajdujący się w tyle samolotu Creasy usłyszał podniesione głosy. Wstał i ruszył do saloniku na odsiecz koledze.

— ...płaci pani mój hotel i wyżywienie — ciągnął Maxie. — To wszystko. A kiedy pani księgowy będzie sprawdzał rachunki, to stwierdzi, że barowe rachunki płaciłem z własnej kieszeni. Nawet powiem pani, dlaczego. Przed wielu laty byłem zatrudniony jako myśliwy przez firmę organizującą safari. Mieliśmy wielu amerykańskich klientów, przeważnie bogatych, zdemoralizowanych durniów. Kiedy zawodowi myśliwi wracali z takich wypraw, spotykali się w barach Bulawayo, żeby wymienić się spostrzeżeniami. Mieliśmy dwa standardowe powiedzenia. Albo że „piliśmy ich whisky”, albo „piliśmy własną whisky”. Pierwsze, oznaczało, że klienci byli mili i towarzyscy, drugie, że trafiliśmy na naburmuszonych kretyńców. I niech pani wie, droga pani Manners, że podczas tej całej podróży do tej chwili piję wyłącznie własną whisky. Nie będę udawał, że panią lubię, niemniej bardzo pani współczuję. I na koniec jeszcze jedno: jeśli w buszu wpadnę na trop, zobaczę świeże ślady kłusowników polujących na nosorożce, to pójdę za tymi śladami, czy to się pani podoba, czy nie. A jeśli się pani nie podoba, to mogę wysiąść w Victoria Falls i wrócić do domu.

Kobieta siedziała dumnie wyprostowana. Zobaczyła stojącego tuż obok Creasy'ego.

— Słyszał pan, jak on do mnie mówi?

— Słyszałem. Wyjął mi słowa z ust. — Ruby otworzyła szeroko usta i słuchała zafascynowana. Creasy ciągnął dalej: — Maxie ma absolutną rację. Nie jesteśmy pani sługami. Nie zatrudniliśmy się u pani. Taka była nasza umowa w Denver.

Przyjechaliśmy tylko rozejrzeć się. Jeśli znajdziemy coś, co by uzasadniało kontynuowanie dochodzenia, to dopiero wtedy zacznie nam pani płacić. Mam nadzieję, że na coś trafimy, ponieważ sprawi mi wielką satysfakcję wydawanie pani pieniędzy. Za kilka dni będziemy już wiedzieli: koniec zabawy czy dopiero początek. Do tego czasu bardzo prosimy trzymać nerwy na wodzy, bo w przeciwnym wypadku, nawet jeśli coś znajdziemy, to powiemy „cześć” i pójdziemy pić własną whisky.

18

Mimo klimatyzacji pot spływał mu z twarzy. Na zapchanym parkiecie pary kołysały się w rytmie melodii granej przez ośmioosobową czarną orkiestrę. Nagłośnienie sali zapewniał europejski sprzęt, instrumenty też były profesjonalne, ale muzyka stanowiła czystą emanację duszy Afryki, nie mając nic wspólnego z wypocinami „nowo odkrytych” orkiestr Zimbabwe, podszlifowanymi w studiach londyńskich wytwórni płyt i kaset. Dziewczyna, z którą Michael tańczył, miała na imię Szawi i była Hinduską. Cała społeczność hinduska pozostała w Zimbabwe po ogłoszeniu niepodległości kraju. Szawi była drobna i gibka, miała wielkie świetliste oczy i usta skore do uśmiechu.

Na parkiecie i przy długim białym barze, gdzie podawano tylko piwo i napoje gazowane, widziało się niewiele białych twarzy. Klub mieścił się w jednym z satelitarnych osiedli, dziesięć kilometrów od centrum miasta. Bardzo prosty, niewyszukany lokal. Michael poznał Szawi w dyskotecie hotelu „Sheraton” i bardzo szybko podbiła go swą niesforną niezależnością. Przy drinku wyjaśniła, że pokaźna społeczność hinduska, której obecność zapoczątkowali robotnicy sprowadzeni przez Brytyjczyków do budowy kolei, przez parę pokoleń dorobiła się statusu klasy średniej, zajmując się głównie handlem detalicznym i nieruchomościami. Jej rodzina miała wielki dom odzieżowy i byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że ich córka zadaje się z Europejczykiem, a gdyby był Afrykaninem, to rodzice wprost rwałiby sobie włosy z głowy. Szawi natomiast należała do nowego pokolenia. Urodziła się w tym kraju, do którego jej zdaniem miała taki samo prawo jak wszyscy inni, i wolno jej chodzić, z kim jej się żywnie podoba... Nawet z Maltańczykiem. Michael rozejrzał się po wyrafinowanym wystroju dyskoteki i stwierdził, że lokal pasowałby do każdej stolicy świata. Wtedy właśnie Szawi zaproponowała zmianę miejsca i po dość długim kursie taksówką, i po zapłaceniu pięćdziesięciu centów za wstęp, znaleźli się w klubie „Muszambira” u podnóża gór. Z początku jazgot muzyki niemalże go ogłuszył. Ale tylko z początku.

Michaela zdziwiło, że klientela prawie całkowicie złożona z czarnych, była tak dobrze ubrana. Mężczyźni w garniturach i krawatach, a kobiety w kolorowych, doskonale uszytych sukniach. Szawi wyjaśniła, że po okresie euforii, kiedy to czarni zdobyli prawo chodzenia do niegdyś wyłącznie białych, eleganckich lo-

kali Harrare, zamożni Afrykańczycy doszli do wniosku, że jednak bardziej im odpowiada nieco prymitywniejsza rodzima muzyka i atmosfera takich miejsc jak właśnie „Muszambira Bagamba”. Tam, między swoimi, czują się swobodnie. Nieliczni biali są po prostu tolerowani. Nikt nie zwraca na nich uwagi.

— A ty? — spytał Michael.

Roześmiała się.

— Jestem tutaj wyjątkiem. Prawdziwym eksponatem. Chyba jedyną w historii Hinduską, która przekroczyła próg tego lokalu. Mówię świetnie językiem Szona, nie mam przesądów, a oni to natychmiast wyczuwają. Bywałam tutaj z afrykańskim przyjacielem, którego poznałam na uczelni. Obecnie jest na stypendium naukowym w Londynie.

— Jesteś w nim zakochana?

— O, tak. Ale Londyn jest daleko, a ja mam dopiero dziewiętnaście lat i wiele do zrobienia.

Prawie przez godzinę bez odpoczynku tańczyli pod muzykę zespołu o nazwie „Spółka Czarnych Bez Ograniczonej Odpowiedzialności”, wreszcie Michael poprowadził ją do barowej lady.

— Zasłużyliśmy na zimne piwo, a poza tym chciałbym poznać paru tutejszych bywalców.

Jak wszyscy inni, pili piwo prosto z butelek. Za ladą stał olbrzym z niezmiennym uśmiechem na twarzy, z której lał się pot. Właściciel lokalu. Szawi przedstawiła Michaela. Olbrzym zlustrował obcego od stóp do głów i o coś spytał Szawi w niezrozumiałym języku.

— Nie. Maltańczyk — odpowiedziała po angielsku.

Czarna twarz za ladą wyrażała zdumienie. Szawi zaczęła coś mówić, najprawdopodobniej w języku Szona. Czarny pokiwał głową i wyciągnął do Michaela potężną dłoń, którą niezmiernie delikatnie uścisnął dłoń Michaela.

— Z pańskiego wyglądu sądziłem, że jest pan Grekiem — powiedział po angielsku. — A ja akurat Greków nienawidzę. Zawsze kradną ludziom portfele i kobiety. Nigdy jeszcze nie odwiedzał mnie w lokalu Maltańczyk. Jest pan mile widziany, zwłaszcza w towarzystwie naszej pięknej Szawi. Jest ozdobą tego miejsca.

Wyciągnął z chłodziarki dwie butelki piwa, pochwycił jeden z wielu leżących na ladzie otwieraczy i zerwał kapsle. Głośno postawił przed nimi butelki.

— Na koszt firmy. — Po czym zostawił ich samych, śpiesząc do innych klientów.

Michael spojrzął na Szawi. Nawet teraz, gdy stała przy barze, ciało jej kołysało się w rytm muzyki. Nagle uświadomił sobie, że i on robi to samo. Kiedy jeszcze byli w „Sheratonie” spytała go, po co przyjechał do Zimbabwe. Odpowiedział, że wykorzystuje sześć miesięcy, które mu pozostały do rozpoczęcia studiów na amerykańskim uniwersytecie, i że postanowił zwiedzić Afrykę, której zupełnie nie znał. Przyjrzała mu się bacznie, ale nic nie odpowiedziała.

— Dlaczego kłamałeś? — zapytała nagle.

— Ja?

— Z nikim innym nie rozmawiam. Pytam ciebie, dlaczego kłamałeś?

— Dlaczego miałbym kłamać i niby na jaki temat?

Jej usta nadal się uśmiechały, ale oczy były poważne.

— To jest olbrzymi kraj — odparła. — Ale Harrare jest w pewnym sensie wioską. Każdy wie wszystko. Nie nazywasz się John Grech, ale Michael Creasy. Mieszkaś w apartamencie hotelu „Meikles” i jesteś najemnikiem.

Zachował pokerową twarz i milczał. Z oczu dziewczyny zniknęło wyzwanie, pojawiło się rozbawienie.

— W dyskotecie, gdzie cię poznałam, kiedy poprosiłeś mnie do tańca, siedziałam w grupie znajomych. Jedna z tych znajomych jest hostessą na lotnisku i widziała was, całą waszą grupkę. Mówiła, że przylecieliście luksusowym prywatnym samolotem. Ty, jeszcze dwóch mężczyzn i kobieta w wózku inwalidzkim.

— I ty wiesz, kim oni wszyscy są?

— Oczywiście. Całe Harrare wie, że to matka Amerykanki zamordowanej przed paroma tygodniami. A ten siwy pan z bliznami na twarzy to twój ojciec. Podobno sławny najemnik. Ten drugi mężczyzna jest dobrze tutaj znany. To Rodezyjczyk i były Zwiadowca Selousa. A jego ojciec kupował ubrania w sklepie mojego ojca. Przyjechaliście, żeby szukać morderców tej Amerykanki. Dlatego jestem trochę zdziwiona, że przyszedłeś do tego lokalu, żeby tańczyć z Hinduską.

Pociągnął długi łyk z butelki, spojrział w ciemne oczy dziewczyny i powiedział: — Okay, hostessa z lotniska widziała luksusowy samolot, kobietę w inwalidzkim fotelu i tak dalej, i tak dalej. Okay, miasto plotkarskie, wszyscy wszystko wiedzą. . . Ale powiedz mi, moja mała, skąd ty wiesz tak dokładnie, jak wygląda mój ojciec i że ojciec tego drugiego kupował w sklepie twego ojca? Skąd lotniskowa hostessa знаła cel przyjazdu tej grupy?

— Powiedziałam ci, Harrare to wioska. Może zauważyłeś w grupce moich przyjaciół w dyskotecie takiego elegancko ubranego młodego Afrykanina? To pracownik CIO, Centralnego Biura Wywiadowczego. Oni mają oko na każdego cudzoziemca, który przylatuje do kraju. To on mi powiedział, że ta inwalidka w wózku jest bogata jak Krezus i wynajęła najlepszych na świecie specjalistów, żeby wytropili morderców jej córki.

— A jeśli ten twój przyjaciel z dyskoteki pracuje w wywiadzie, to nie powinien tyle paplać do młodych panienek. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy tutejsze władze obiecały nam współpracę i pomoc.

— To wszystko prawda, tylko że on chciał zrobić na mnie wrażeniem.

Michael się roześmiał.

— Czy wszyscy w tej wiosce kochają się w tobie?

— Oczywiście — odparła poważnie. — Czy nie sądzisz, że jestem piękna i powabna?

— O tak. A również zanadto ciekawa. Czy też pracujesz dla CIO?

— Ja nie, ale możesz być pewien, że nawet w tym lokalu jest wielu informatorów, którzy znać będą twój każdy krok w Harrare. Nie jesteśmy państwem policyjnym, ale wszystkie młode państwa i ich politycy mają chorobliwy stosunek do problemów bezpieczeństwa.

— Z pewnością masz rację, ale zapewniam cię, że nie mamy żadnych wrogich zamiarów — odparł. — Policja naprawdę bardzo się starała, ale do niczego w tej sprawie nie doszła. Trafiła na mur. Cóż więc dziwnego, że bogata kobieta gotowa jest wydać trochę swych pieniędzy, żeby postarać się dowiedzieć, kto zabił jej córkę.

— Tak. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jeśli ona wam płaci, a muszą to być spore pieniądze, to co ty robisz tutaj w Harrare, uganiając się za Hinduskami po nocnych klubach?

Michael odparł lekkim tonem, choć był spięty i czujny:

— Naprawdę nie wiesz? Nie potrafisz odgadnąć?

— Owszem, ale powiem ci, kiedy otrzymam następne zimne piwo.

W klubie było bardzo gorąco i Michael przez cały czas się pocił. Natomiast oliwkowa twarz dziewczyny i jej ramiona wydawały się suchutkie. Miała na sobie bluzkę z bawełnianego szyfonu, pod którą nie nosiła stanika, oraz szerokie jedwabne szmaragdowe spodnie. Proste kruczoczarne włosy sięgały małych krągłych pośladków. Przechyliła głowę i opróżniła połowę butelki. Odstawiła ją i spojrzała przekornie na Michaela.

— Twój ojciec dobrze zna Afrykę. Sprowadził MacDonalda, ponieważ jest najlepszy z najlepszych. W każdym razie tak o nim mówią. Ty jesteś młody i nigdy nie byłeś w Afryce... Więc sobie pomyślałam, że ci ojciec kazał zostać w Harrare i posłuchać plotek, a jeśli zajdzie potrzeba, uwieść parę niewinnych dziewcząt, żeby ci pomogły.

— I jedyne czego się dotychczas dowiedziałem od owych niewiniątek, to, że doskonale wiedzą, co tutaj robię — odparł Michael.

Roześmiała się, ale kiedy zbliżyła swą twarz do jego twarzy powiedziała z powagą: — Musisz bardzo uważać. Ta Amerykanka i jej przyjaciel zostali zabici, ponieważ... wchodziły w grę polityczne i finansowe interesy. I ludzie w to zamieszani bardzo się denerwują słysząc, że twój ojciec i ten MacDonald tu węszą. To może być dla nich bardzo niebezpieczne. Tutaj życie jest znacznie tańsze, niż tam, skąd przyjechałeś. Może cię trafić piorun.

— Piorun?

— Tak. Nie wiedziałeś o tym?

— O czym?

— To jest nawet umieszczone w Księdze Rekordów Guinnessa. W Zimbabwecinie od pioruna więcej ludzi, w stosunku do liczby mieszkańców, niż w jakimkolwiek innym kraju świata. W zeszłym roku zginęło chyba ponad pięćset osób.

— Ty mówisz poważnie?

— Oczywiście. Głównie w buszu, gdzie ludzie mieszkają w drewnianych chatkach, w błocie i nigdy nie słyszeli o piorunochronach.

Uśmiechnął się, ale jej twarz pozostała poważna.

— Podobasz mi się. Polubiłam cię. Jesteś przystojny i inteligentny, dobrze tańczysz. Nie chciałabym, żeby trafił cię piorun.

— Możesz być pewna, Szawi, że wiem wszystko, co potrzeba, o odgromnikach. A teraz przedstaw mnie paru swoim afrykańskim przyjaciołom.

Zaczęła się rozglądać po twarzach skupionych wokół barowej lady. Nagle, poprzez łoskot muzyki, usłyszał, że zakłęła. Patrzyła właśnie na trzech mężczyzn stojących w odległości około dwudziestu metrów. Wszyscy byli w wieku mniej więcej trzydziestu lat, mieli na sobie zielone zamszowe kurtki na białych rozpiętych koszulach, a do tego dzinsy i eleganckie brązowe półbuty. Skierowała wzrok na parkiet, gdzie też kogoś wypatrzyła i znowu zakłęła.

— Kogo tam zobaczyłaś? — spytał.

Głęboko westchnęła.

— Przyjaciela. Głupio się zachowuje. — Wskazała na parkiet. — Ten, który tańczy z tą śliczną dziewczyną w długiej białej sukni. Nie powinien być jej tu przyprowadzać... Jest nie tylko głupi, ale i bezczelny. To arogancja przychodzić z nią właśnie tu.

— Dlaczego?

Głową wskazała grupkę trzech mężczyzn.

— Jeden z nich był jej przyjacielem. Szaleje na jej punkcie. Zupełna obsesja. Przed dwoma tygodniami ten mój przyjaciel mu ją odebrał. Ona jest piękna, ale to straszna suka. Musiała namówić swego nowego chłopaka, żeby z nią tu przyszedł. Wiedziała doskonale, że to rozwścieczy jej byłego przyjaciela. To jest jego teren. Czarny rynek i od czasu do czasu narkotyki. On i jego przyjaciele. Te zielone kurtki to niemalże znak firmowy. Stanowią zgraną, groźną bandę.

Michael dobrze przyjrzał się trójce mężczyzn na końcu długiego baru, a potem tancerzowi z dziewczyną w białej sukni. Była w istocie piękna, wysoka, z szyją gazeli. Włosy miała przetykane różnobarwnymi koralikami, po których prześlizgiwało się światło. Tańczyła jak marzenie. Czarna jak heban twarz i ramiona, i ta biała suknia. Jej partner także był wysoki, miał na sobie rozchełstaną prawie do pępka koszulę, granatowe spodnie i białe skórzane półbuty, na przegubie złoty zegarek, a na szyi złoty łańcuch.

— Ten twój przyjaciel z dziewczyną też pracuje na czarnym rynku? — spytał Michael.

— Nie, studiuje na uniwersytecie. Ma bogatego ojca... Ale dziś wieczorem ojciec nic mu nie pomoże.

Michael rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu klubu. W jednym końcu znajdowała się estrada. Na sali było co najmniej czterysta osób: na parkiecie, przy

barze i po kątach.

— Twój przyjaciel nie ma tu żadnego wsparcia? Nikogo? — dopytywał się Michael.

— Absolutnie nikogo. Nawet nie jest z plemienia Szona. . . To Manika z Mutare w pobliżu mozambijskiej granicy. Nikt tu nie stanie po jego stronie i nie weźmie go w obronę. Tu nikt nigdy nie pomoże obcemu przeciwko swoim.

— A on? — Michael wskazał palcem olbrzyma za barową ladą.

Szawi pokręciła głową.

— On tu nie chce mieć żadnych kłopotów. Tamci go dopadną, kiedy wyjdzie z lokalu.

— Co mu zrobią?

— Może go nie zabiją, ale prawie. Kiedy chodzi o kobietę, to masakruje się twarz i okalecza przyrodzenie.

— Oni będą uzbrojeni?

— Nie. Nawet nie będą mieli noży. Zabiorą stąd kilką pustych butelek i po ich obtłuczeniu zabiorą się do roboty. Co się stanie na dworze, to już nikogo tu nie obchodzi. Byle poza lokalem.

Na twarzy dziewczyny rysował się niepokój, a nawet strach. Michael zdawał sobie sprawę, że w pewnym sensie wykorzystał dziewczynę. Udzieliła mu jednej bardzo cennej informacji: że każdy, kto tu coś znaczy, wie dobrze, że przyleciała drużyna najemników i zna jej zamierzenia. Michael pomyślał sobie, że Szawi ma w sobie coś, co pozwala jej wszędzie wetknąć nos i wszystko słyszeć.

— Zależy ci na tym chłopaku? — spytał.

— O, tak. To długa historia. Kiedyś, kiedy byłam bardzo mała, pomógł mi. Nigdy nie był moim kochankiem i nigdy nim nie będzie, ale jest dobrym przyjacielem. Spróbuję zadzwonić po pomoc.

— Myślisz, że ci się uda?

— Wątpię, bo jego przyjaciele mogą się bać pojawić na tym terenie. Ale muszę spróbować.

Michael podjął decyzję.

— Chcesz, żebym pomógł twojemu przyjacielowi? — Patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Powtórzył pytanie: — Czy chcesz, żebym ja mu pomógł?

Przyglądał się tym trzem w zielonych zamszowych kurtkach. Następnie objął spojrzeniem setki czarnych twarzy na sali.

— Jestem biały. Powiedz mi, czy jeśli załatwię tę trójkę, to czy ci wszyscy pozostali mnie nie zlinczują?

— Nie. Mimo że to ich teren, ten gang jest bardzo niepopularny. Nikt się nie obrazi, że obcy dobrał się im do skóry. Nawet jeśli tym obcym jest biały.

Michael spojrział na parkiet. Szawi stała blisko niego, czuł ciepło jej ramienia.

— Powiedz mi, jeśli byś teraz weszła na parkiet i przemówiła do swojego przyjaciela, to czy on zrobi to, co mu powiesz?

Szawi patrzyła w zamyśleniu na tańczącą parę. Dziewczyna w białej sukni obróciła się tyłem do swego eks-przyjaciela i prowokacyjnie kręciła tyłeczkiem, rozsmakowana w sytuacji.

— Teraz zrobi wszystko, co mu powiem. Nawet stąd widzę, że jest wystraszony i pluje sobie w brodę, że dał się tu zwabić.

Michael zerknął znowu na trzech mężczyzn w kurtkach.

— A ten nasz kierowca taksówki? Powiedziałem mu, żeby czekał na rogu. Sądziś, że czeka?

— Z pewnością. Dałeś mu dziesięć dolarów. Gotów jest teraz czekać przez tydzień. Ale co ty możesz zrobić? Może i jesteś silny, ale ich jest trzech — zauważyła Szawi. — Poza tym mój przyjaciel nie potrafi walczyć. Wiele ci nie pomoże.

Michael lekko się uśmiechnął.

— Na miłość boską, niech mi tylko nie próbuje pomagać. Masz mu to wyraźnie powiedzieć. Niech nie próbuje.

— Jesteś uzbrojony?

Czuł pod pachą miły dotyk kabury z *Coltem 1911*, ale odpowiedział: — Nie, nie mam broni. — Pochylił się do ucha dziewczyny i wydał jej szczegółowe instrukcje.

Kiedy skończył, spojrzała na niego okrągłymi oczami.

— Powinam się teraz martwić i bać o ciebie, ale mam przedziwne uczucie, że jest to niepotrzebne, że raczej powinam bać się ciebie...

— I jedno, i drugie niepotrzebne. Teraz idź i powiedz mu to.

Gdy Szawi odeszła, Michael skinął na właściciela. Gdy olbrzym podszedł i przyjął wyciągniętą dłoń, Michael powiedział: — Bardzo miły ma pan klub, doskonały zespół i dobre zimne piwo. Jeśli kiedykolwiek zawita pan na moją wyspę, proszę o mnie pytać. Będzie pan moim gościem.

Murzyn szeroko się uśmiechnął.

— Na pewno to zrobię. Ale jeszcze nie w przyszłym tygodniu.

Michael puścił trzymaną dłoń i spojrzał w kierunku trzech mężczyzn. Obserwowali parkiet. W rękach trzymali brunatne butelki piwa. Na parkiecie Szawi gorączkowo szeptała do ucha swemu przyjacielowi, trzymając go za ramię. Chłopak wyglądał na bardzo przestraszonego, potakiwał i zerkał to na Michaela, to na tych trzech w zielonych kurtkach.

Czarnoskóra piękność stała z boku, z założonymi rękami. Było widać, że rozsada ją wściekłość.

Michael wymacał kieszonkę pod swym szerokim pasem, odsunął zamek błyskawiczny i wyłuskał trzy złote krugerrandy. Kątem oka dostrzegł Szawi, idącą wraz z przyjacielem ku wyjściu.

Dziewczyna w białej sukni coś do niego wołała, chcąc przekrzyczeć muzykę. Ale jej były partner nawet się nie odwrócił. Kiedy minął Michaela, ten poszedł za nim. Niemalże jednocześnie ruszyli trzej mężczyźni w zielonych kurtkach. Michael dopadł drzwi tuż przed nimi. Wąskie drzwi prowadziły na podwórko, na którym goście parkowali samochody. Szawi i jej przyjaciel byli już w odległości parunastu metrów. Szawi ciągnęła go za rękę, bo chłopak zaczął się nagle opierać. Michael zaklął pod nosem, a następnie tkwiąc we framudze drzwi obrócił się ku napierającej trójce. W jego otwartej dłoni załśniły krugerrandy.

— Wiem, że to nielegalne, ale jestem turystą, zabrakło mi pieniędzy i muszę zmienić. Może panowie są zainteresowani? — zapytał.

Na widok złota zabłyśły im oczy, a ich przywódca, ściskający kurczowo butelkę po piwie, krzyknął, nie przestając się przepychać: — Niech pan tu poczeka! Zaraz wrócę, tylko załatwię drobną sprawę.

I były to jego ostatnie chwilowo słowa. Michael wpakował mu pięść w brzuch z taką siłą, że ofiara straciła zdolność oddychania. Nie miało to nic wspólnego ze szlachetną sztuką walki wręcz, należało raczej do kategorii metod bijatyk ulicznych. Ale było skuteczne. Mężczyzna zgął się w pół i w drodze ku ziemi natrafił na rozpedzone już lewe kolano Michaela. Odbił się i wpadł w ramiona jednego ze swoich partnerów. Drugi z nich postanowił jakoś zareagować na powstałą sytuację. Rozbił butelkę na framudze drzwi i, trzymając w ręku szyjkę, rzucił się na wroga. Michael był pierwszy, dając mu mocnego kopniaka w przyrodzenie. Mężczyzna wrzasnął, upuścił szkło, chcąc osłonić bolące miejsce, dostał jednak cios w szczękę, który wyłączył go na stałe z czynnego uczestnictwa w dalszych działaniach. W tym czasie drugi partner usiłował się wyswobodzić spod ciężaru zmasakrowanego wodza. Michael kopnął go w głowę, mężczyzna legł, przeraźliwie jęcząc. Cała trójka została załatwiona w niespełna dziesięć sekund.

W odległości jakichś dwudziestu metrów Szawi i jej przyjaciel stali jak skamieniali. Michael rzucił trzy złote krugerrandy między leżące na ziemi ciała i ruszył w stronę wpatrzonych w niego pary.

— Chodźmy poszukać innego lokalu — zaproponował.

19

Creasy siedział w kucki na brzegu rzeki Sebengwe, trzymając gotowy do strzału karabin. Maxie przechodził przez rzekę, woda sięgała mu piersi, karabin trzymał wysoko nad głową. Creasy obserwował pilnie przeciwległy brzeg, czy nie pojawia się tam jakiś krokodyl. Był to już trzeci dzień ich wędrówki. Przebrnęli przez rzeki Gwaai i Mlibizi, a ta była ostatnia przed czekającą ich jeszcze drogą nad Zambezi, na miejsce zbrodni. Dotychczasowa wędrówka sprawiła Creasy'emu dużą satysfakcję. Podczas wojny służył głównie na granicy mozambijskiej, na Wyżynie Wschodniej, gdzie topografia miejscami przypominała do złudzenia północną Europę z jej górami, lasami i strumieniami pełnymi pstrągów. Zwierzyny było niewiele. Jednakże przez minione trzy dni szli przez prawdziwą Afrykę, gdzie teren był falisty ze sporadycznymi wybrzuszeniami bazaltowych skał. Sucha ziemia Kalahari pozwalała tu i ówdzie przetrwać lasom niskich drzew mopani między połaciami traw i niskich krzewów buszu, doliny rzek natomiast porośnięte były wiecznie zielonymi hebanami i baobabami.

Maxie znał ten teren jak własną kieszeń i właśnie z powodu swobody, z jaką się poruszał, i czujności, jaką wykazywał, Creasy zdobył się na dość nietypową decyzję. Gdy przed trzema dniami wysiedli z Land-rovera i pożegnali odjeżdżającego nim kierowcę, Creasy klepnął MacDonalda lekko po plecach.

— Słuchaj, Maxie, od piętnastu lat uczestniczysz w moich różnych przedsięwzięciach. Zawsze dowodziłem ja, a ty słuchałeś. Tym razem będzie inaczej. To twoja ziemia i ty dowodzisz.

— Dobra jest — mruknął zadowolony Maxie. — I nie musisz do mnie nawet mówić „tak jest, proszę pana”, chyba że znajdziemy się w jakimś bardzo szacownym towarzystwie.

Creasy dał mu żartobliwego kopniaka i ruszyli w busz.

Chociaż nie spodziewali się trafić na cokolwiek przed dojściem na miejsce zbrodni, Maxie prawie przez cały czas miał oczy wlepione w ziemię. Creasy natomiast obejmował wzrokiem horyzont.

Zabrali ze sobą trzy karabiny: 30.06 dalekiego zasięgu, *Katasznikowa* na wypadek, gdyby trafili na kłusowników, oraz lekki jedno-strzałowy karabinek *Hart* kalibru 0,22 cala z tłumikiem do polowania na drobną zwierzynę, ale tylko w przy-

padku, gdyby nic nie wpadło w sidła.

Dotychczas nie mieli okazji skorzystać z *Harta*. Przez pierwsze dwa wieczory Maxie zastawiał sidła na śladach w pobliżu brzegu rzeki. Były bardzo proste: nagięta gałąź przywiązana do uformowanych w katapultę patyków, wetkniętych w ziemię i zabezpieczonych przetyczką, połączonych z kolei ze splecioną z traw pętlą. Lekkie stąpnięcie powodowało wyrwanie przetyczki i nagięta gałąź powracała do pierwotnego położenia wraz z zaciskającą się pętlą. Pierwszego wieczoru złapali w ten sposób jelonka, drugiego — małą antylopę. Oprócz broni palnej mieli noże myśliwskie i wiele metrów mocnego sznura, którym się owinęli w pasie. Mięso było twarde i silnie pachnące. Miałoby znacznie lepszy smak, gdyby je można było przez kilka dni przewietrzyć i podsuszyć, niemniej kiedy obgryzali upieczone nad ogniskiem potężne kawały, wydawało im się, że jedzą najwspanialszy posiłek życia.

Zwierzyny było pełno. Antylopy, zebry, żyrafy, czasami gdzieś daleko migał nawet bawół afrykański. Pojawiały się też prześliczne kudu o skręconych spiralnie rogach i majestatycznych łbach. Raz wyminęli stado słoni z małymi, a poprzedniego popołudnia trafili na dość rzadkie ślady — nosorożca, który prawie całkowicie już w tej okolicy wyginał, powybijany przez kłusowników. Po godzinie zobaczyli samo zwierzę. Maxie wyjaśnił, że Ministerstwo Zasobów postanowiło poobcinać nosorożcom rogi, żeby je ocalić. Była to próba zniechęcenia kłusowników przenikających z Zambii. Na nosorożce polowano wyłącznie dla rogu.

— No i co? Nic to nie pomogło. Dalej je zabijają. — Maxie wzruszył ramionami.

— Dlaczego? Skoro nie mają handlowej wartości?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby nie musieli w przyszłości tracić czasu na tropienie zwierzęcia pozbawionego rogu — nosorożca trzeba tropić przez kilka dni, żeby go dopaść. A po drugie, ich zleceniodawcy płacą im tyle samo za nosorożca bez rogu, co z rogiem.

— A po jakiego diabła to robią?

— Właśnie! Diabelnie prosty powód. Jeszcze przed pięciu laty w Zimbabwie było ponad dwa tysiące czarnych nosorożców. Dziś zostało ich około trzystu pięćdziesięciu, z których połowa znajduje się na dobrze chronionej ziemi prywatnej. Ludzie, którzy płacą kłusownikom, mają duże zapasy kłów nosorożców i sprzedają je w małych ilościach, żeby utrzymać astronomicznie wysokie ceny. Ich celem jest całkowite wytępienie czarnego nosorożca. W dniu, kiedy to się stanie, wartość zapasów podwoi się albo potroi. Na Dalekim Wschodzie dziesięć gramów proszku z rogu nosorożca będzie więcej warte niż dziewięciokaratowy diament czystej wody. Ocenia się, że te sukinsyny zgromadziły tony rogów. Chodzi więc o dziesiątki milionów dolarów. . . Tak, mój drogi, rachunek ekonomiczny. . .

Creasy spojrzął na stojące daleko, pozbawione rogu zwierzę. Dławiła go wściekłość.

— Ile kłusownik dostaje za róg?

— Przeciętnie pięćset dolarów... W Zambii stanowi to równowartość rocznych zarobków. Ryzyko jest jednak duże. Rządowi strażnicy zwierzyny mają prawo zabijać kłusowników. I często to robią. Problem polega na tym, że jest ich zbyt mało. I dysponują tylko jednym helikopterem na cały kraj.

— Jeśli spotkamy tych bydlaków, to ich zlikwidujemy. Dostałeś nawet takie polecenie — powiedział Creasy.

— Chyba nie będziemy mieli szczęścia ich spotkać — odparł ze smutkiem Maxie. — Działają raczej bardziej na zachód stąd. Ten nosorożec nie znajdzie już chyba towarzyski. Ta linia wyginie.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle — mruknął Creasy.

* * *

Maxie dotarł do przeciwległego brzegu, karabinek z powrotem przewiesił przez ramię. W ręku trzymał jednak *Kałasznikowa*. Gdy nie oglądając się za siebie, ruszył ostrożnie w krzewiastą gęstwinę, broń trzymał gotową do strzału. Creasy wiedział, że Maxie dokonuje wstępnego obchodu terenu, by się upewnić, że nic im nie grozi ze strony zwierzyny, bądź człowieka.

Maxie pojawił się ponownie na brzegu po piętnastu minutach. Jeszcze raz spojrział w dół i w górę rzeki, czy aby nie kryje się gdzieś krokodyl, a następnie dał znak, by przeprowiał się Creasy.

Na ślady trafili około piętnastu kilometrów od miejsca popełnienia zbrodni. Maxie usiadł w kucki i przez kilka minut wpatrywał się w spieczoną ziemię. Creasy cierpliwie czekał wiedząc dobrze, że jego przyjaciel jest niezawodnym tropicielem, wyposażonym niemalże w szósty zmysł. Wreszcie Maxie wstał i zaczął chodzić w koło, kręgi były coraz większe, wreszcie znowu ukucnął i po chwili przywołał Creasy'ego. Wskazał na ślady: złamane zeschnięte kępki trawy, wgłębienie, złamana gałązka... — Tu było obozowisko ubiegłej nocy — oświadczył. — Dwaj Afrykanie.

— Jesteś pewny, że Afrykanie?

— Bez wątpienia. Mieli sandały ze starych opon samochodowych. — Wskazał na odciski w ziemi. — Biali noszą fabryczne obuwie. Nie są to pracownicy nadzoru, nie mają dużo pieniędzy. Tylko tak można tłumaczyć te sandały.

— Kłusownicy?

— Wątpię. Kłusownicy noszą przeważnie wojskowe buty. Albo zambijskie, albo z Zimbabwe. Tak, ci mogli być kłusownikami, ale nie tymi, którzy polują na nosorożce, tylko miejscowymi traperami, łowcami drobnej zwierzyny na mięso.

No i na futerka. — Wskazał w prawo. — Dwadzieścia kilometrów stąd jest wieś Batongka. Ślady idą właśnie z tamtego kierunku, prawdopodobnie obaj poszli do jeziora. Moim zdaniem są parę kilometrów na północ.

— Jesteś chwilowo wodzem wyprawy — powiedział Creasy. — Co robimy?

Maxie podźwignął się, wyprostował i popatrzył na zegarek. Potem spojrział w kierunku wsi, w stronę jeziora i zaczął głośno myśleć: — Jeśli ci dwaj pochodzą ze wsi w górze rzeki, to najprawdopodobniej regularnie wyprawiają się w te okolice po skórki i mięso. Mogli tu być w czasie popełniania zbrodni, mogli coś widzieć. To ich kłusownictwo pozwala im zaledwie się wyżywić. Może byli tu właśnie przed wielkim deszczem i coś widzieli, może zauważyli jakieś ślady. Kto wie, czy nie dowiedzielibyśmy się od nich czegoś interesującego. Jeśli to są Batongka, to trudno od nich coś wyciągnąć, ale za sztukę złota mogą się stać nagle bardzo rozmowni.

— No to pogadajmy z nimi — zgodził się Creasy. — Wiesz, jak ich dopaść?

Maxie skinął głową.

— Będą ostrożni, ale damy sobie radę. Jeszcze nie zapomniałeś, jak to się robi?

— Nie zapomniałem. Mamy jeszcze pięć godzin do zachodu. Ruszajmy.

Maxie podszedł do drzewa mopani i ułamał metrową gałąź. Nożem podcinał drobne gałązki, oskubał dokładnie z liści i ruszył przed siebie. Creasy odczekał chwilę i poszedł jakieś pięćdziesiąt metrów za nim. Maxie wyszukiwał ślady i kijkiem wskazywał drogę Creasy'emu. Kiedy Maxie chwilami gubił ślad, Creasy się zatrzymywał i czekał na sygnał. W ciągu dwu godzin marszu Maxie parokrotnie miał trudności, gdy przechodził przez bazaltowe skały, wśród których trop znikał. Wówczas krążył wokół w promieniu kilkuset metrów, aż odnalazł jakąś wskazówkę na bardziej miękkim gruncie. Chociaż Creasy też był tropicielem, i to wcale dobrym, chylił jednak kapelusza przed swoim przyjacielem.

Po trzech godzinach Maxie zatrzymał się i pochylił tuż nad ziemią, obserwując coś z bliska. Wziął w palce grudkę, powąchał ją, rozkruszył i zdmuchnął na ziemię. Przywołał Creasy'ego. — Zatrzymali się tutaj. Nie dalej jak godzinę temu. Zrobimy to samo.

— Dlaczego? — zdziwił się Creasy.

— Ponieważ przed dziesięcioma minutami spłoszyliśmy białoskrzydłą siewkę koronówkę, a to ptaszysko robi dużo hałasu. A pięć minut wcześniej zaniepokoił nas bardzo pawiany, a ich podobne do kaszlu pochrząkiwanie rozchodzi się bardzo daleko. Jeszcze wcześniej, jakieś pół godziny temu tutejszy miodowy ptak usiłował przywołać nas do ula dzikich pszczół... a jego wołanie też rozchodzi się bardzo daleko. Jeśli te dwa chłopaki przed nami są doświadczone, to skojarzą wszystkie te odgłosy z naszą obecnością w terenie i podchodzeniem. Zatrzymamy się więc na pół godziny, żeby się uspokoili.

— Maxie, jesteś mistrzem — przyznał Creasy.

Maxie uśmiechnął się.

— Trzy lata wojny spędziłem w buszu. Nie przeżyłbym, gdybym się tego wszystkiego nie nauczył. Leżałbym gdzieś, zakopany dwa metry pod ziemią.

Creasy wskazał na ciemniejsze miejsca, gdzie mężczyźni załatwiali potrzebę.

— Sądysz, że są uzbrojeni?

— Tego nie wiem. Ale jeśli są i złapie ich strażnik zwierzyny, to zarobią pięć lat.

— Mówisz ich językiem?

— Niezbyt biegle, ale daję sobie radę. Poza tym oni najprawdopodobniej znają także Ndebele. Wszystkie pomniejsze plemiona znają Ndebele.

* * *

Dopadli ich na godzinę przed zachodem słońca. Jeszcze dwukrotnie Maxie zarządził dłuższe postoje, gdy spłoszone ptactwo zaczęło podnosić harmider. Creasy przestał się niecierpliwić, podziwiał jedynie talent i ostrożność przyjaciela, który bezbłędnie wskazywał patykiem niewidoczne dla postronnego obserwatora ślady.

Znajdowali się zaledwie o dwa kilometry od brzegu jeziora, gdy Maxie ponownie się zatrzymał i przywołał Creasy'ego. Naradzali się szeptem.

— Ci dwaj nie zejdą na sam brzeg. Z pewnością rozbili obozowisko jakiś kilometr stąd i teraz zakładają sidła — wysnuł przypuszczenie Maxie. — Robią to osobno, każdy nastawi przynajmniej cztery sidła. Przed samym zmrokiem do nich powrócą, żeby zabrać do obozowiska to, co się złapało. Obozowisko założyli w osłoniętym miejscu albo w zagłębieniu, żeby nie było z dala widać ogniska. Więc my ruszymy też przed samym zmrokiem. Ja pójdę pierwszy tylko w szortach i bez broni. Ty mnie będziesz osłaniał sztucerem. Będę podchodził z boku, żeby ci zostawić otwarte pole ostrzału.

* * *

Po dwóch godzinach Creasy siedział na ziemi, ogryzając podpieczone udo malutkiej antylopy, podczas gdy Maxie rozmawiał w obcym narzeczu z dwoma Afrykanami po drugiej stronie ogniska.

Zobaczyli ich ukryci za skałą o zachodzie słońca. Obaj mężczyźni byli z ple-

mienia Batongka i powracali właśnie do obozowiska. Jeden dźwigał przerzuconą przez ramię małą antylopę gatunku impala, a drugi niósł pod pachami jeszcze mniejsze antylopy południowoafrykańskie. Pierwszy miał strzelbę, którą odstawił pod drzewo. Creasy i Maxie przyglądali się, jak sprawnie obdzierali zwierzęta ze skór, które następnie rozwieszali na pobliskim drzewie.

Gdy Murzyni zaczęli rozpalać ogień, Maxie oddał oba karabiny Creasy'emu, zdjął koszulę i, zataczając spory łuk, ruszył w stronę tubylców. Ręce trzymał odstawione od ciała, by widzieli, że nie niesie żadnej groźnej broni. Dostrzegli go, gdy z krzaków uciekła spłoszona hiena. Jeden z tubylców natychmiast pobiegł w stronę drzewa po strzelbę.

Creasy wziął go na muszkę sztucera, ale użycie broni okazało się najzupełniej zbędne. Maxie zaczął coś wołać w narzeczu Batongka i jednocześnie wyciągnął ręce na boki. Afrykanin skierował lufę swojej strzelby ku ziemi. Wtedy Maxie pewnym krokiem zbliżył się do tubylca przez cały czas uspokajająco przemawiając.

Byli braćmi. Gdy się przekonali, że obcy biali nie mają zamiaru donieść na nich do władz, zaprosili obu do ogniska i ze znoszonych wojskowych plecaków wyjęli bukłaki z kozłej skóry napełnione winem ze sfermentowanych bananów. Gdy bukłaki okrążyły parokrotnie ognisko, nastrój stał się niemal serdeczny.

Maxie tłumaczył każde zdanie Creasy'emu.

— Przybyliśmy tu, ponieważ przed paroma tygodniami zamordowano w okolicy dwoje białych — wyjaśnił tubylcom Maxie.

Starszy brat, któremu już zaczynały siwieć włosy, pokiwał poważnie głową. — Bardzo złe wydarzenie — oświadczył. — Złe dla nas. Była policja, byli tropiciele i przez dwa tygodnie nie mogliśmy polować.

— Żyjecie z polowania?

— Żyjemy jak żyjemy. Mięso sprzedaje się tanio. A raz na miesiąc z Bulawayo przyjeżdża człowiek i zabiera skóry. Płaci po pięćdziesiąt centów za dobrą impalę, a w Bulawayo bierze za nią trzy dolary.

— Dlaczego sami nie jeżdżą do Bulawayo, żeby je sprzedać? — wypytywał Creasy.

— Dlatego że autobus do Bulawayo kosztuje parę dolarów, a poza tym jest to strata dwóch dni. No i problem znalezienia kupca — wyjaśnił przyjacielowi Maxie i powrócił do rozmowy ze starszym bratem: — Kto mógł zabić tych białych?

Jakby zasłona spadła na oczy zapytanego. Pokręcił głową i zerknął z ukosa na młodszego brata.

— My nic nie wiemy. We wsi była policja i wszystkich wypytywała.

— Nie jesteśmy z policji — ciągnął Maxie. — A wszystko, czego się dowiemy, zostanie przy nas.

— My nic nie wiemy — powtórzył Murzyn. — Nie było nas wtedy w okolicy. Policja miała swoich tropicieli i oni też nic nie znaleźli, bo następnego dnia spadł

wielki deszcz, a zabójca zdążył odejść.

Kiedy Maxie przetłumaczył Creasy'emu odpowiedź, ten pochylił się do ucha przyjaciela.

— Czy jesteś pewien, że on powiedział „zabójca”, a nie „zabójcy”.

— Tak powiedział. Na pewno.

Patrząc w ogień, głęboko zamyślony Creasy zapytał: — Z twojego doświadczenia, jak często ci dwaj polują w buszu?

— Bardzo często i to wyłącznie w tym rejonie, ponieważ w wiosce jest z pewnością gromada im podobnych kłusowników i każdy ma swój teren łowiecki. Z dawnych czasów pamiętam, że tak wszędzie było.

— No i kłusownik, nie tylko tropi zwierzynę, ale z konieczności uważa na ślady pobytu człowieka. Chodzi mu przecież o to, żeby nie natknąć się na strażników rządowych.

— Święta prawda — zgodził się Maxie.

Creasy sięgnął do kieszonki pasa, wyciągnął złotego krugerranda i rzucił go ponad ogniskiem między braci.

Spojrzeni osłupiałym wzrokiem na złoto — ich pięcioletni zarobek. Powoli podnieśli wzrok na MacDonalda, który z powagą wyjaśnił: — Zapłata za poczęstunek.

Bracia spojrzeli po sobie.

— Kto was tu przysłał? — zapytał młodszy.

— Matka zamordowanej dziewczyny — odparł Maxie. — Ma milion krów. — Głową wskazał na krugerrandy. — A może i milion tego. Chce zemsty na człowieku, który zabił jej córkę.

Przez bardzo długi czas słychać było tylko syczenie ognia, śmiech hieny gdzieś bardzo daleko. Creasy niespiesznie ogryzał udo impali. Wreszcie starszy brat powolutku się pochylił, zgarnął krugerranda z ziemi i schował go do kieszeni wystrzępionych szortów. Znowu rzucił okiem na brata. Ten odpowiedział ledwo dostrzegalnym skinieniem.

— Jest człowiek, który od lat tu poluje — rozpoczął starszy. — Na lwy i gepardy. Dla przyjemności, nie dla pieniędzy. Znamy dobrze jego ślady... pali papierosy, które bardzo dużo kosztują.

— Afrykanin? — spytał Maxie.

— Białe — padła odpowiedź. — Przychodzi od jeziora i w kierunku jeziora wraca.

Maxie przetłumaczył Creasy'emu i dodał: — Pewno z Binga. Ten kłusownik wie o wiele więcej, niż dotychczas powiedział. Tutejsi ludzie są bardzo ostrożni. Jeśli jest tak, jak mówi, że tamten już od lat poluje w tym rejonie, to musieli go widzieć. I tylko biali palą drogie papierosy.

— Naciskaj dalej — polecił Creasy.

Maxie zwrócił się do starszego z braci: — Widzieliście tego człowieka?

— Szukajcie za Binga — odparł Afrykanin. — Ale nie za daleko. Pięć kilometrów.

Maxie przetłumaczył Creasy'emu i uzupełnił: — W Binga mieszka na stałe niewielu białych. Misjonarze, pracownicy amerykańskiego Korpusu Pokoju i lekarze z miejscowego szpitala. Natomiast pięć kilometrów za Binga są wakacyjne domy zamożnych ludzi z Bulawayo oraz paru białych farmerów, którzy mają farmy krokodyli. Mają też licencje na odławianie ryb z jeziora... Tam znajdziemy mordercę...

— Jak to daleko stąd? — spytał Creasy.

— Dwa dni marszu.

Młodszy z braci podał kozłi bukłak Creasy'emu, który z grzeczności pociągnął łyk, ale wino bananowe mu nie smakowało. Przekazał naczynie w ręce Maxie i obwieścił: — No, to o świcie ruszamy!

20

— Nazywam się N’Kuku Lovu, ale mówić pan może do mnie po prostu Poniedziałek. . .

Michael nie potrafił ukryć zdziwienia; Afrykanin roześmiał się i wyjaśnił: — Podczas rządów białych każde afrykańskie dziecko urodzone w Rodezji musiało mieć angielsko brzmiące imię, wpisane do metryki wraz ze swym imieniem plemiennym. Urodziłem się w odległej prowincji Binga przed sześćdziesięciu laty i urzędnik wpisujący mnie do rejestru urodzeń nie miał wielkiej wyobraźni. Ponieważ urodziłem się w poniedziałek. . .

Michael uśmiechnął się.

— Imię jak każde inne i łatwo je zapamiętać.

Siedzieli w eleganckim gabinecie na piętnastym piętrze nowoczesnego biurowca w śródmieściu Harrare. Michael był w szortach i koszuli z krótkimi rękawami. Było mu nieco chłodno w klimatyzowanym pomieszczeniu. Jego rozmówca miał na sobie elegancki popielaty garnitur w delikatne białe prążki, jasnoniebieską koszulę i beżowy krawat.

Afrykanin rozparł się wygodnie w fotelu i obrzucił spojrzeniem panoramę Harrare, widoczną za wielkim oknem zajmującym prawie całą ścianę od podłogi do sufitu. Następnie przerzucił wzrok na Michaela.

— Zaprosiłem pana w celu wyrażenia głębokiej wdzięczności za uratowanie mego zbłąkanego syna przed okropnym pobiciem i okaleczeniem, a być może i przed śmiercią. Pod wieloma względami jestem z niego bardzo dumny, ale niestety ma on słabość do kobiet. Być może wczorajsza przygoda czegoś go nauczy.

— Być może — zgodził się Michael. — Mniej więcej przed trzema laty znalazłem się w podobnej sytuacji, a może nawet gorszej. . . Było to również rezultatem prowokacji ze strony kobiety. Wziąłem sobie tę lekcję do serca. Jednakże, drogi panie Poniedziałek, osobą, której w pierwszym rzędzie należy podziękować, jest Szawi.

— Już to uczyniłem.

Zapadła cisza. Afrykanin tkwił w głębokiej zadumie. Kiedy przed dwiema minutami Michael wszedł do gabinetu, gospodarz włączył interkom i polecił sekretarce z nikim go nie łączyć, aż do odwołania. Ponieważ Michael miał do czynie-

nia z biznesmenem, z natury rzeczy zawsze bardzo zajęтым, zakładał, że teraz, po otrzymaniu podziękowania, powinien wstać i pożegnać się. Kiedy jednak chciał to uczynić, Afrykanin powstrzymał go gestem ręki.

— W zasadzie powinienem zaprosić pana do domu, aby moja żona także mogła wyrazić panu swoją wdzięczność, ale doszedłem do wniosku, że nie powinien pan być u mnie przez nikogo widziany. — Wskazał dłonią otaczające go ściany i ciągnął dalej: — To nie jest mój gabinet. Moje biuro znajduje się na najwyższym piętrze... cały budynek do mnie należy... Na naszą rozmowę pożyczylem ten gabinet od przyjaciela.

Michael rozsiadł się z powrotem w fotelu. Gospodarz wskazał na podobny do komódki mebel w rogu.

— Gabinet nie jest mój, ale wiem, że barek jest dobrze zaopatrzony. Czego się pan napije?

Było już późne popołudnie.

— Dżin z tonikiem, jeśli można — odpowiedział po chwili wahania Michael.

— Przyłączę się do pana, ale jeśli by pan spotkał moją żonę, to proszę jej nie mówić, że piłem przed zachodem słońca.

Kiedy Michael podniósł szklankę do ust i upił mały łyżeczek, spoglądający na niego znad własnej szklanki Afrykanin powiedział: — Chcą pana zabić.

— Z powodu ubiegłej nocy? — Michael z wrażenia, aż opuścił szklankę.

Gospodarz zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ci z ubiegłej nocy to drobne rybki i małe mózdzki. Pan ich na dobre wystraszył. Ludzie, którzy planują zabicie pana, to wielkie mózgi i wielkie pieniądze.

— Kim oni są?

Afrykanin ponownie przeniósł wzrok na panoramę Harrare. Michael spokojnie czekał, aż jego gospodarz podejmie decyzję. Poniedziałek N'Kuku zaczął od opowiadania o sobie. O swoim pochodzeniu, młodości, interesach. Dorastał w dolinie Zambezi, chodził do misyjnej szkoły. Jego wieś i szkoła zostały przeniesione, gdy zaczęto budować potężną tamę Kariba i miało powstać jezioro Kariba. Jako młody chłopiec uzyskał pracę u białego farmera. Zapłata była nędzna, farmer zaś brutalny. Poniedziałek N'Kuku zaczął gorąco nienawidzić białych ludzi. Nienawidził już tak od pięciu lat, kiedy biały farmer sprzedał farmę innemu białemu. Wtedy dopiero pojawił się problem. Nowy właściciel był przeciwieństwem swego poprzednika. Okazywał dobroć i szacunek swym czarnym robotnikom. Oni odpłacali mu tym samym, farma świetnie prosperowała. Przy każdej białej farmie istniała wioska, w której mieszkała siła robocza. Nowy właściciel poświęcił sporą część swoich zysków, aby poprawić warunki życia w wiosce. Doprowadził bieżącą wodę i elektryczność. Zorganizował comiesięczne badania lekarskie. Jego żona założyła przedszkole oraz zorganizowała lekcje dla dzieci. Szybko się zorientowała, że Poniedziałek N'Kuku ma podstawowe wykształcenie, więc go

zabrała z pola i powierzyła mu prowadzenie przedszkola. Miał wówczas dwadzieścia lat. Farmer i jego żona zachęcali innych białych farmerów w okolicy, aby przysyłali dzieci swoich czarnych pracowników na lekcje. Wkrótce powstała prawdziwa szkoła. Poniedziałek N’Kuku został wysłany do Bulawayo na studia, aby mógł zostać prawdziwym nauczycielem. Po czterech latach powrócił do wioskowej szkoły. Pracował tam tylko przez dwa lata. Żona farmera uznała, że jest zbyt zdolny, by uczyć murzyńskie dzieci. Któregoś dnia kazała mu wracać do Bulawayo i skontaktować się z niejakim Johnem Elliotem, fabrykantem ogrodzeń. John Elliot dał mu pracę urzędnika najniższego szczebla. Pracując ciężko przez następne dwadzieścia lat, N’Kuku dorobił się stanowiska szefa sprzedaży. Miał już żonę, troje dzieci i mieszkał we własnym domku w osiedlu murzyńskim na peryferiach Bulawayo. Michael słuchał cierpliwie opowieści N’Kuku o kłopotach, jakie pojawiły się z chwilą obwieszczenia przez lana Smitha, że Rodezja zrywa więzy z Wielką Brytanią i ustanawia niepodległe państwo. Rozpoczęła się wojna. Właściciel fabryki postanowił wszystko sprzedać i emigrować do Afryki Południowej. Poniedziałek N’Kuku nie polubił nowych właścicieli. Ponieważ miał pewne oszczędności, porzucił pracę w fabryce i przeniósł się do Harrare. Miasto nazywało się wówczas Salisbury. Tam otworzył mały interes ze sprzętem rolniczym, sprzedawał go farmerom, zarówno białym jak i czarnym. Interes rozwijał się dobrze, a kiedy nasiliły się walki narodowyzwoleńcze, miał na tyle rozsądku, by zacząć finansowo wspierać nieuniknionych zwycięzców. Został za to sownie wynagrodzony i po pięciu latach czarnych rządów należał już do grona najbogatszych czarnych biznesmenów w kraju. Miał też bardzo silne powiązania z ośrodkami władzy.

— Moją życiową zasadą jest spłacanie długów — zakończył swoją opowieść Murzyn. — Wszystkich. Także zobowiązań honorowych i długów wdzięczności. Jest to dobra zasada i zawsze będę jej wierny. Teraz więc muszę spłacić mój dług wobec pana, ale czyniąc to, nie mogę narażać innych. Tak jak wszyscy dokoła, wiem, co pan tutaj robi, co robi pański ojciec i jego przyjaciel, były Zwiadowca Selousa MacDonald, oraz pokrywająca rachunki amerykańska dama, pani Manners. Znam całą historię, ponieważ Harrare to wioska, wszyscy wszystko wiedzą, a ja tkwię w samym środku tej wioski i wszystko słyszę. Siedzimy sobie teraz i rozmawiamy w klimatyzowanym gabinecie urządzonym w stylu amerykańskim, ale nawet tu słychać odgłos plemiennych bębnów. Pan należy do białej rasy. . . pan ich nie może słyszeć. Ale przekazywana wiadomość zapowiada, że wkrótce pan i cała wasza grupka ma zostać zlikwidowana.

— Kim są ludzie, którzy chcą nas zamordować?

Kolejna kontemplacja panoramy Harrare, a potem odpowiedź: — W stolicy są przestępcy. Kryminaliści. Jest ich bardzo wielu. Wielcy i mali. Wśród wielkich jest gang dokonujący morderstw na zamówienie. — Uśmiechnął się dyskretnie. — Można by ich nazwać najemnikami. Tak jak czasami nazywają was. Większość

z nich to ludzie, którzy po wojnie nie potrafili znaleźć sobie miejsca w społeczeństwie. Gangowi temu przewodzi człowiek, którego znam. Oficjalnie jest biznesmenem, ale to jedynie przykrywką dla jego właściwej działalności. Cieszy się ochroną pewnych oficjalnych kół. No cóż, ja również nie mógłbym funkcjonować bez takiej ochrony. Dziś rano ów gang został formalnie wynajęty w celu zamordowania pani Manners, pana, pańskiego ojca i pana MacDonalda. Nie wątpię, że mordercom będzie bardzo trudno znaleźć pańskiego ojca i tego pana Maxie, gdyż są w buszu, a chociaż to biali, znają doskonale busz. . . Wydarzenia wczorajszego wieczoru dowodzą, że i pan nie będzie łatwą ofiarą. Natomiast pani Manners w inwalidzkim wózku w hotelu „Azambezi”? . . . — pozostawił zdanie nie dokończony, potem ciągnął: — Wiem, że dwaj członkowie gangu polecili w południe do Bulawayo. Stamtąd mają cztery godziny jazdy do Victoria Falls. Można być stuprocentowo pewnym, że będą próbowali wypełnić kontrakt dziś wieczorem. — Umilkł i patrzył na twarz Michaela, na której jak w lustrze odbijały się przebiegające przez głowę myśli. — Plemienne bębny donoszą również, że szef policji, John Ndlovu, współpracuje z panią Manners i waszą trójką. Były w tej sprawie poważne naciski ze strony amerykańskiej ambasady. To uczciwy i dobry policjant. — Poniedziałek wskazał na aparat telefoniczny. — Ten telefon jest stuprocentowo bezpieczny. Proponuję, aby pan natychmiast zadzwonił do Johna Ndlovu i poinformował go o sytuacji, prosząc o specjalną ochronę pani Manners.

Michael pokręcił przecząco głową.

— Kto wynajął ten gang i dlaczego?

Poniedziałek N’Kuku pochylił się i półszepceniem powiedział: — Człowiek z Binga, skąd ja pochodzę. Biały człowiek o nazwisku Rolph Becker. Jego ojciec przed wieloma laty przybył z Afryki Południowej i tu się osiedlił. Zmarł w dolinie Zambezi. Jego ojciec był moim pierwszym panem, *baasem*, kiedy miałem czternaście lat. Bił mnie. Bez powodu, dla przyjemności. Nienawidziłem jego ojca i nienawidzę Rolpha Beckera. I nienawidzę Karla, syna Rolpha Beckera. Karl myśli, że jest dobrym tropicielem. Wczoraj rano opuścił rodzinną willę w Binga i udał się do buszu. — Wskazał ponownie telefon. — A teraz niech pan dzwoni do Johna Ndlovu.

— Dlaczego Becker wynajął morderców?

Afrykanin wzruszył ramionami.

— Nie ma dowodów, że Becker miał coś wspólnego z zabiciem córki pani Manners i jej przyjaciela, Coppena. Ale skoro teraz wynajął morderców do zabicia was wszystkich, można przypuścić, że maczał palce w tamtej zbrodni. Niechże pan dzwoni do Johna Ndlovu!

I tym razem Michael wstrzymał się.

— Jeśli zadzwonię do Johna Ndlovu, to natychmiast zada mi pytanie, skąd to wszystko wiem. Będzie też na pewno chciał mnie spotkać osobiście. Zabierze mi czas, w momencie, w którym muszę działać bezzwłocznie.

— To też prawda — zgodził się Poniedziałek. — Co więc pan zrobi?

— Poproszę pana o pomoc. I już pana proszę, żeby pan zorganizował anonimowy telefon do Ndlovu. Niech zadzwoni osoba mówiąca językiem Szona. Wtedy będzie bardziej skłonny uwierzyć.

Afrykanin zastanowił się.

— Dobra myśl. Nie ma problemu, i jestem pewien, że „Azambezi Lodge” będzie dobrze chroniony. Ndlovu i tak roztacza nad nim pieczę, ale po otrzymaniu ostrzeżenia potroi ochronę. No, a pan?

Michael usiłował wyobrazić sobie, co zrobiłby Creasy w podobnej sytuacji. Kolejno rozpatrywał wszystkie opcje. Mógł polecieć do Victoria Falls i tam czekać, aż Creasy i MacDonald wrócą z buszu. Mógł iść prosto do Johna Ndlovu, wszystko mu powiedzieć, nie ujawniając jednak źródła informacji. Ndlovu z pewnością ściągnie wtedy Beckera na przesłuchanie, tylko że nie będzie miał żadnych dowodów. Rozmyślał nad aspektami całej sprawy i segregował znane mu fakty i przypuszczenia. W ciągu godziny Gloria Manners powinna już być pod pełną ochroną. Wczoraj Karl Becker poszedł w busz. Najprawdopodobniej szuka Creasy’ego i MacDonalda.

— Co pan wie o Karlu Beckerze?

— Zły człowiek, tak jak i cała rodzina. A na własnej skórze długo nosiłem dowody, jaka to rodzina. Karl Becker jest chyba jeszcze gorszy od ojca. Cieszy go zadawanie bólu ludziom. . . A przede wszystkim zabijanie. Płeć i wiek nie mają znaczenia, byle byli to czarni.

— Jak porusza się w buszu?

— Jak na białego, doskonale.

— Jest równie dobry jak Maxie MacDonald?

— O MacDonaldzie wiem tylko z opowiadań, i z tego, co słyszałem, jest świetny. Karl Becker to dobry amator, natomiast MacDonald należał do Zwiadowców Selousa, a więc jest profesjonalistą. . . Gra pan w piłkę nożną?

— Niegdyś dużo grałem, a i teraz czasami. Dlaczego pan pyta?

— Ja też grywałem, a teraz jestem zapalonym kibicem meczów pokazywanych w telewizji. Różnica między MacDonaldem a Karlem Beckerem w buszu jest taka, jak pomiędzy dobrym graczem prowincjonalnego klubu a Pele.

Michael ciągle się zastanawiał, jakie powinny być jego następne kroki, a Poniedziałek cierpliwie czekał. Michael zakładał, że Creasy i MacDonald schwytają Karla. Poddadzą go surowemu przesłuchaniu. Creasy być może zdecyduje się nie oddawać go od razu w ręce policji, ale zaprowadzi go do ojca i odbędzie z ojcem rozmówkę. Creasy nie lubi mieszać policji w swoje porachunki. Michael poczuł się nagle bardzo młody. Żałował, że nie może skomunikować się z ojcem. Tym razem musi samodzielnie podjąć decyzję. . . I podjął: pojedzie do Binga, ukryje się w pobliżu domu Beckera i będzie czekał, na wypadek gdyby Creasy i MacDonald potrzebowali wsparcia. Spojrzał na zegarek i zwrócił się do N’Kuku: —

Może mnie pan dyskretnie zawieźć mnie do Binga? Ale tak, żebym tam dotarł jutro przed świtem?

— Nie ma problemu, prowadzę tam interesy i mam biuro. Za godzinę jedna z moich ciężarówek z zaufanym kierowcą będzie gotowa do wyjazdu z Harrare. Schowamy pana z tyłu pod plandeką. Droga zajmie dwanaście godzin. Kierowca wysadzi pana przed świtem, półtora kilometra od Willi Beckera. A teraz musimy zawiadomić Johna Ndlovu, że pani Manners jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Michael wstał i uściskał dłoń Afrykanina.

— Dziękuję. W istocie jest pan człowiekiem, który spłaca swoje długi. Z procentem.

21

Stewardesa podała kaczkę w pomarańczach i dołąła szampana do kieliszka. Lucy Kwok podziękowała jej dyskretnym uśmiechem.

Podróżujący prywatnie personel linii lotniczych otrzymuje zawsze olbrzymią zniżkę zarówno na swojej linii, jak i na innych. Latająca brać tworzy podniebną mafię. Lucy poleciała Cathay Pacific do Londynu, spędziła noc bezpłatnie w lotniskowym hotelu wraz z kabinową załogą i otrzymała „oczekujący” bilet na lot British Airways do Harrare. Gdy weszła na pokład samolotu, zobaczyła ją szefowa pokładu, którą przed dwoma laty poznała w Hongkongu podczas urlopu. Wyszepiała Lucy do ucha: — Poczekaj przy schodach na górny pokład. Porozszadzam pasażerów, a potem porozmawiam z kapitanem.

Po piętnastu minutach Lucy została umieszczona w luksusowym pomieszczeniu pierwszej klasy i parę sekund po zajęciu wygodnego fotela otrzymała pierwszy kieliszek szampana.

Oprócz niej leciało tylko trzech pasażerów pierwszej klasy. Czarny polityk z żoną i biały biznesmen w średnim wieku, który natychmiast po starcie usiłował nawiązać z nią rozmowę. Zbyła go mówiąc, że na lotnisku będzie oczekiwał ją mąż.

Dziesięć godzin lotu minęło szybko i miło. Świetne jedzenie i szampan powinny były pomóc się odprężyć. Jednak była niespokojna i podenerwowana, gdy samolot z ciemnego afrykańskiego nieba zszedł nad ziemię i wylądował w Harrare.

Wiele podróżowała podczas swych opłacanych praktycznie przez linie lotnicze wakacji, ale to była jej pierwsza wyprawa do Afryki. Czowała się wyjątkowo spięta. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do Hongkongu. Po wymordowaniu całej jej rodziny, po śmierci Colina Chapmana i po zniszczeniu rodzinnego domu, więzy z Hongkongiem zaczęły puszczać. Opłakiwała rodzinę, opłakiwała Chapmana z wyraźnym uczuciem winy. Powtarzała sobie, że to nielogiczne, niemniej pozostawał niezbity fakt: Colin zginął w jej obronie.

Pasażerowie pierwszej klasy przeszli kontrolę paszportową i celną jako pierwsi. Biały biznesmen wydawał się zdziwiony, kiedy zobaczył, że w sali przylotów wita ją wysoki, dobrze ubrany Afrykanin.

John Ndlovu uściskał dłoń Lucy i wziął od niej podręczną torbę podróżną, po czym skinął na tragarza, czekającego obok, aby szedł za nim z resztą bagażu. W pięć minut później wjeżdżali policyjnym, nie oznakowanym samochodem do śródmieścia.

— Bardzo nowoczesne miasto — zauważyła Lucy spoglądając na mijane wysokościowce. — Nie spodziewałam się tego.

— Nie jest to Hongkong — odparł policjant — ale chyba najnowocześniejsze miasto afrykańskie na północ od Johannesburga. — Zaproponował, aby po zainstalowaniu się w pokoju, zeszła spotkać się z nim w hotelowym barze.

Pół godziny później popijała już whisky w nowo otwartym barze „Odkrywców” hotelu „Meikles” słuchając Johna Ndlovu, który przedstawiał jej rozwój wypadków. Dowiedziała się więc, że Gloria Manners znajduje się w Victoria Falls, a Creasy i MacDonald są od wielu dni w buszu. Usłyszała też, że Michael, który miał pozostać w Harrare na kilka dni, opuścił rano hotel i zniknął.

— Co teraz powinnam zrobić? — spytała policjanta.

— Nie widzę nic, w czym mogłaby pani pomóc — odparł, wzruszając lekko ramionami. — Trzeba poczekać. Nie sądzę, aby Creasy i MacDonald pozostawali w buszu dłużej niż tydzień. Jeśli w tym czasie na nic nie trafią, wrócą i wszyscy pojedą do domu. Proponuję wyjazd do Victoria Falls i czekanie tam wraz z panią Manners. Victoria Falls jest znacznie przyjemniejsze niż Harrare, a poza tym pani Manners będzie pierwsza wiedziała, co i jak. To ona za wszystko płaci.

— Co to za kobieta? Jaka ona jest? — spytała Lucy po chwili milczenia.

Ndlovu rozłożył ręce.

— Po sześćdziesiątce i ma bardzo dużo pieniędzy. Spędza życie w fotelu inwalidzkim. Straciła męża i jedyną córkę, więc pieniądze dla niej nic nie znaczą. Zgorzkniała, samotna kobieta.

— Mało atrakcyjne towarzystwo — mruknęła Lucy.

— No cóż, może pani patrzeć na Mosi-Oa-Tunya.

— Co to takiego?

— Wodospady Wiktorii. Miejscowi nazywają je „Dymem, Który Grzmi”.

— Nie jestem na turystycznej wycieczce.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Ale jak powiedziałem, przez najbliższe kilka dni nie może pani nic zrobić, w niczym pomóc. Trzeba po prostu czekać. To właśnie czyni pani Manners. . . I ja także. . .

— Mogę lecieć do Victoria Falls dopiero jutro. Sprawdziałam w Londynie, skąd chciałam od razu zarezerwować hotel. Nie było na dziś miejsc.

Ndlovu skinął na barmana w czerwonej marynarce.

— Podaj mi telefon, Joseph!

Barman postawił aparat na ladzie. Ndlovu wykręcił numer, a potem powiedział kilka krótkich słów w języku Szona. Nie czekając na odpowiedź, odłożył

słuchawkę. — Ma pani miejsce na jutro na ósmą rano. . . Być może jakiś turysta poczeka jeden dzień na zimny prysznic z dymu, który grzmi.

— Jestem panu bardzo wdzięczna.

Spojrzał na zegarek, a potem podał Lucy swoją wizytówkę.

— Niestety, muszę teraz iść, panno Kwok. Jeśli zajdzie potrzeba, proszę dzwonić. Czy od razu pani się położy? Ta różnica czasu. . .

— Rzeczywiście. Najpierw leciałam ze wschodu na zachód, a po parunastu godzinach z północy na południe. Ale chyba jeszcze tu zostanę. . .

Rozejrzał się po zatłoczonym barze. Dobrze ubrani mężczyźni, biali i czarni, zaledwie kilka par. Ponownie skinął na barmana, potężnego Murzyna.

— Przedstawiam pani Josepha Tembo. Pracuje tu od bardzo wielu lat. Będzie na panią baczył, póki pani jest w barze.

— Czy to potrzebne?

— Samotne kobiety nie pijają w zasadzie w barach, nie mając eskorty, chyba że należą do kategorii. . .

— Ladacznic? — spytała z uśmiechem Lucy.

Ndlovu się roześmiał.

— Nie. Ale bardzo nowoczesnych. Tembo nie pozwoli, żeby ktoś panią napałstował. W języku suahili *tembo* znaczy słoń.

— Co pan mu jeszcze powiedział?

— Żeby przekazał kandydatom na zanudzanie pani, że jest pani moją siostrą. Po raz pierwszy od dłuższego czasu głośno się roześmiała.

— Czyżbym była aż tak podobna?

— Wiem, że nikt w to nie uwierzy, ale rozumieją, o co chodzi.

Gloria Manners czuła się jak w więzieniu. Rozsadzała ją wściekłość. Był wczesny wieczór. Właśnie przygotowała się przy pomocy Ruby do zejścia do przepięknych ogrodów nad rzeką Zambezi, żeby obserwować sławny miejscowy zachód słońca (a potem zjeść kolację *al fresco*), kiedy ostro zapukał do drzwi inspektor Robin Gilbert i obwieścił zakaz opuszczania pokoju. Wyjaśnił, że właśnie otrzymał ostrzeżenie od szefa policji w Harrare, Johna Ndlovu, że jacyś przestępcy odlecieli ze stolicy do Victoria Falls, by ją zamordować. W związku z czym pani Manners ma pozostać z Ruby w pokoju, nawet jeść w pokoju posiłki, póki przestępcy nie zostaną zdemaskowani i unieszkodliwieni. Inspektor otrzymał także dodatkowych ludzi. Wielu po cywilnemu, w strojach kelnerów lub bagażowych, kręciło się już po terenach hotelowych. Również posiłki do pokoju przynosić będą ludzie inspektora.

Powiedziawszy to wszystko, Robin Gilbert odszedł, nie dając pani Manners szansy na wszczęcie słownej akcji protestacyjnej. Nim zebrała myśli, już go nie było.

Obudziła się tuż po północy. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła Ruby siedzącą na sąsiednim łóżku. Słyszeć było strzały i głośnie krzyki. Gdy nagle rozprysła się wielka szyba okna jej pokoju, schowała głowę pod kołdrę, krzycząc do Ruby, by zrobiła to samo. Deszcz odłamków posypał się na łóżka i na podłogę.

Strzelanina ustała równie nagle, jak się zaczęła. Ukryte pod kołdrami kobiety usłyszały tupot nóg w korytarzu. Glorii z przerażenia serce łomotało jak szalone. Uspokoiła się, gdy usłyszała za drzwiami głos inspektora Gilberta, wołającego do nich, by zostały tam, gdzie są, i że już jest po wszystkim.

Po chwili wpadł do pokoju. — Strzeliłem raz i musiałem, psiakrew, akurat trafić w pani okno. Nic się nikomu nie stało?

— Nie — odpowiedziała Gloria. — A napastnik?

— Obaj zabici. Niech się pani nie rusza, pani Manners. Wszędzie jest pełno szkła. Zaraz ściągnę pokojówki, żeby posprzątały i przeniosły panią do innego apartamentu. Reszta nocy powinna upłynąć spokojnie.

— Spokojnie! — prychnęła. — Wątpię, czy zaznam spokoju w tym kraju. . .

23

Szli szybko w odległości mniej więcej kilometra od jeziora. Tej nocy nie mieli zamiaru zastawiać sideł. Zaspokajali głód, żując skrawki *biltongu*. Zamiarem Maxie było obejście wsi Binga i skręcenie potem pod kątem prostym w stronę górskiego pasma, gdzie znajdowało się niewielkie skupisko domów białych rodzin. Okolice, przez którą szli, była goła i spalona słońcem. Mimo wczesnego poranku, już się pocili w gorących promieniach słońca. Szli obok siebie, ale wiele nie rozmawiali. Obu gnała chęć jak najszybszego dojścia do celu.

Już późnym popołudniem Maxie zatrzymał Creasy'ego, łapiąc go za rękę.

— Ktoś za nami idzie, ktoś nas wyraźnie śledzi — powiedział.

Creasy otarł pot z czoła grzbietem dłoni i skrzywił usta w uśmiechu.

— Czekałem, aż mi to powiesz. Wiem o tym już od dziesięciu minut.

— Nie bądź taki mądry, Creasy. Ja z kolei wiem to od godziny i dlatego wybrałem szlak bliżej tego stada pawianów, żeby je zaniepokoić. Piętnaście minut potem znowu się rozdarły. Znowu ktoś je przestraszył. Potem ten ktoś, kto za nami podąża, spłoszył koroniate siewki, a dziesięć minut temu narobiły ponownie hałasu miódowce. I to właśnie usłyszałeś, i tylko to.

— Dlaczego mi od razu nie powiedziałeś?

— Chciałem być na sto procent pewny. Chciałem dokładnie poznać odległość, w jakiej ten ktoś za nami idzie. Teraz już wiem, że trzyma się mniej więcej kilometr od nas. Czekają, aż rozbijemy obozowisko i wtedy spróbuje się podkraść.

— A nie sądzisz, że to mogą być ci dwaj z tej wioski Batongka? Że za mało im jeszcze krugerrandów?

— Wątpię. Oni dobrze wiedzą, że jestem byłym Zwiadowcą Selousa, że ich podszedłem, chociaż bardzo kluczyli. Wiedzą, do czego jestem zdolny. Wiedzą również, dokąd idziemy. Dlatego też wybrałem tę drogę. Mogli zauważyć, że trzymamy się pogórza, żeby uniknąć frontalnej zasadzki. Gdyby to oni śledzili, to nie robiliby tego tak nieporadnie. Moim zdaniem tamci wrócili już do siebie, do wioski, i ze szczęścia upili się na umór.

Ruszyli dalej.

— Nie oglądaj się — powiedział Maxie. — Ten, kto za nami idzie, jest zbyt pewny siebie.

— Może się z nim zabawimy w „bawole kółko”? — zaproponował Creasy.

— W większości wypadków i w innym terenie jesteś bardzo pomysłowy i błyskotliwy. Zwłaszcza w mieście. Na pustyni też nie ma lepszego od ciebie. — Nie chcąc być zbyt przykry, złagodził przytyk uśmiechem. — Ale to jest mój teren i jestem na nim nieco lepszy od ciebie.

Creasy przyznał to niechętnym mruknięciem.

— Możliwe, możliwe. Cieszysz się z tego jak dziecko. No więc co z „bawolim kółkiem”?

— Zraniony bawół zatacza koło, obchodzi wroga i czatuje na niego w gęstwini, kilka metrów od miejsca, którędy wróg będzie szedł. Problem polega na tym, że nie mamy tu w okolicy żadnej odpowiedniej gęstwiny. Mamy drzewa mopani i z rzadka krzaki.

Szli dalej w milczeniu. W pewnej chwili Creasy odezwał się: — Dwa kilometry przed nami jest pagórek. Kiedy za nim się ukryjemy, odskoczę w lewo i poczekam na niego.

— Chcesz go zabić czy złapać? — spytał Maxie.

— Złapać, oczywiście!

— No to żadnego odskakiwania w lewo. Musimy założyć, że chociaż facet jest zbyt pewny siebie, to nie brak mu inteligencji i coś niecoś potrafi. Na tym terenie, na sypkiej ziemi, będzie dobrze niuchał na boki i wypatrywał śladów co najmniej pięćdziesiąt metrów przed sobą. Zawczasu dostrzeże odchodzące w bok ślady, podkuli ogon i wycofa się w bezpieczne miejsce.

— No, to co zrobimy, mądralo?

Maxie wyszczerzył zęby i spojrzał na przyjaciela. Po trzech dniach w buszu obaj wyglądali jak para obdartusów. Maxie był bardzo zadowolony ze swojej chwilowej przewagi.

— Patyki i buty.

— Słyszałem o tym, ale nigdy nie próbowałem. Na czym to dokładnie polega?

— On myśli, że dalej idzie tropem tej samej pary, a tymczasem idzie tylko za jednym. Kiedy za tym szczytem pagórka znikniemy mu z oczu, szybko wystrugamy sobie dwa patyki z gałęzi pierwszego napotkanego drzewa i przymocujemy je do twoich butów. Owiniesz sobie stopy szortami i koszulą, i dopiero wtedy odskoczysz w lewo co najmniej na pół kilometra, a potem dokoła powrócisz na szlak za nim lub za nimi, bo właściwie nie wiemy, ilu ich jest. Za tym pagórkiem są następne. Za trzecim rozbiję obozowisko. Idąc będę zostawiał ślady twoich butów tuż obok moich. Kiedy znajdziesz się już blisko mojego obozowiska, mniej więcej po czterech kilometrach, będziesz już prawie tuż za nim czy za nimi. — Spojrzał na zachodzące słońce. — Na miejsce obozowiska dotrę akurat o zmierzchu. Przy ogniu zmontuję kukłę. To będziesz niby ty. Możemy spodziewać się podejścia, kiedy już będzie zupełnie ciemno. A wtedy musisz siedzieć im na karku. Od czasu do czasu oglądaj się za siebie, jak to zazwyczaj robisz, póki nie znajdziemy się

za szczytem pagórka. No, a wtedy już wiesz, co masz robić. Wszystko jasne?

Creasy mruknął coś niechętnie na znak zgody.

Po dwudziestu minutach Creasy już wykonywał przydzielone mu zadanie. Przechodzili obok drzewa mopani.

— Stój i nie ruszaj się — polecił Maxie. Chwycił niski konar i wciągnął się na drzewo. Wyłamał dwie gałęzie i ogołocił je z liści. Między gałęziami przecisnął się z powrotem na konar, po którym się wspiał, podał ostrugane patyki Creasy'emu i ostrożnie opuścił się na pozostawiane przez siebie ślady na ziemi.

— Zdejmuj szorty i koszulę, a ilekroć podniesiesz nogę, uważaj, żeby trafić potem na ten sam ślad. Szorty i koszulę połóż na lewo od siebie, jedno koło drugiego. Kiedy to zrobisz, kolejno wysuwaj stopy z butów. Uważaj, żeby nie poruszyć butów. Jedna noga na koszulę, druga na szorty. Nie opieraj karabinu o ziemię.

Kiedy Maxie skończył pouczanie, Creasy oddał mu oba patyki i spojrzał na swoje buty. Fellies. Ulubione obuwie białych mieszkańców Zimbabwe, z nabuku, sznurowane powyżej kostek. Ściągnął zieloną bawełnianą koszulę, złożoną położył obok siebie, zdjął zielone szorty i umieścił je obok koszuli. Został w granatowych slipach.

— Ach, jakie eleganckie! — stwierdził Maxie. Creasy coś tam warknął i zabrał się do rozsznurowywania butów. Ostrożnie przenosił stopy na koszulę i szorty. Z kolei Maxie zabrał się do roboty. Na końcu każdego patyka zostawił kępkę liści na małych odroślach. Teraz wpakował je do obu butów, z pasa odwinął kilka metrów sznurka i przywiązał nim patyki z gałązkami do cholewek, nie przeciągając jednak sznurka pod podeszwami. Gdy skończył, ustawił buty dokładnie w tych samych miejscach, w których były przedtem.

— Przez ostatnie kilka minut przyglądałem się twoim śladom — powiedział. — Wiem, jak stawiasz stopy i znam długość twojego kroku. Masz tendencję opierania się zewnętrzną stroną podeszew. Jak kowboj. Będę usiłował dokładnie naśladować twój krok. Znam tylko jednego człowieka, który mógłby zauważyć różnicę między moją fałszywką a autentycznym śladem.

— Może to właśnie ten, który za nami idzie?

— Nie. Tamten już nie żyje. Był tropicielem ZAPU. Zabiłem go osiemnaście lat temu. Niedaleko stąd. Jakies dwadzieścia kilometrów. Zostawił mi swój podpis. Bliznę pod żebrami. No dobra, idę, spotkamy się za godzinę. Ty też idź.

Creasy przez jakieś dwie minuty obserwował, jak Maxie sięga możliwie najdalej w lewo i zostawia ślady niesionych na patykach butów. Czynił to rytmicznie, starannie, nie zniekształcając własnych śladów. Cholernie trudna robota. Creasy obwiązał stopy paroma warstwami materiału, umocował sznurkiem i ruszył. Szedł delikatnie jak po szkle.

* * *

Karl Becker lubił tropienie. Wolał tropić ludzi, niż zwierzęta. A najwięcej przyjemności sprawiał mu finał.

To wcale nie było trudne. Odnalazł ich ślady wcześniej rano. Najwyraźniej szli w kierunku Binga. Z prawego ramienia zwiisał mu przerzucony karabin *Envoy L4A1*. Szedł pewnym krokiem nie prosto za śladami, ale zygzakiem, zakosami sięgającymi paruset metrów w lewo i w prawo. Była to metoda męcząca i zajmująca dużo czasu, ale zmniejszała niebezpieczeństwo wpadnięcia w zasadzkę. Wiedział, kogo śledzi i bardzo był tym podniecony. Tropił Zwiadowcę i człowieka, który był legendą wśród najemników. Po plecach przebiegł mu dreszczyk. Nie bał się. Był na swoim terenie. Broń miał gotową do strzału, instynkty wyostrzone. Był pewien, że go nie zauważą. Właściwie mógłby spróbować trafić z dużej odległości. Raz miał nawet okazję. Dwa strzały, jeden po drugim i byłoby już po wszystkim. Ale zbyt długo się zastanawiał. Z płaskiego otwartego buszu przeszli na położony wyżej teren i trudniej było ich podejść. Teraz nadchodził zmrok i oni wkrótce rozbiją obozowisko w bardziej zarośniętym terenie. Będzie miał dostateczną osłonę, by zbliżyć się na jakieś dwieście metrów. Pierwszego zastrzelił Zwiadowcę. Dla pewności poświęcił mu dwie kule. Czuł się coraz pewniejszy siebie. Zawodowi najemnicy czy nie, da sobie z nimi radę.

* * *

Maxie zatrzymał się, rozejrzał dokoła i wybrał odpowiednie miejsce. Był zmęczony, ręce miał prawie odrętwiałe od nieustannego wysiłku sięgania w bok i zostawiania fałszywych śladów. Odrzucił na bok kijki z butami i zaczął szybko przygotowywać kukłę.

Zgarnął dostateczną ilość suchych gałęzi, powiązał sznurkiem odwiniętym z pasa, uformował coś na kształt torsu i głowy, usadził na ziemi. Gotowe. Na wprost kukły, od strony, z której przyszedł, rozpałił ognisko. Potem kucnął obok kukły, karabin położył koło siebie na ziemi, z torby wyjął kawałek *biltongu* i zaczął żuć.

* * *

Dwadzieścia minut później Karl Becker ostrożnie okrążył skraj małego pagórka. Gdy zza niego wyjrzał, w odległości kilometra dostrzegł ogień. Mrok już zapadał. Ogarniając wzrokiem całą scenę, Karl niemalże zarechotał. Między nim a ogniskiem znajdowała się kępa krzewów. Prawdziwy gąszcz. Sto metrów od ogniska. Wspaniała kryjówka. Poczekaj, aż się zupełnie ściemni, podejdzie i szybko ich załatwi. Widział wyraźnie dwie sylwetki przy ogniu. Przez długą chwilę przyglądał się całej scenie. Był w świetnym humorze.

Wystrzelam ich jak kaczki w stawie, pomyślał.

Było już zupełnie ciemno. Zaczął okrążyć teren, zacierając do kępy krzaków.

Również po dwudziestu minutach Maxie usłyszał przed sobą, lekko po prawej stronie trzepot skrzydeł ptaka. Wiedział, że ktoś tam jest. Ptactwo już się ułożyło na noc i nie latałoby bez powodu. Oczywiście, mogłaby to być hiena lub dziki pies, ale instynkt mówił, że to człowiek. Maxie nie lękał się. Gdyby w ciągu ostatniej godziny coś przytrafiło się Creasy'emu, to usłyszałby strzał. Ostrzegawczy Creasy'ego lub tego, który na nich poluje. A teraz polujący sam stał się zwierzy-
ną.

* * *

Karl Becker dotarł do kępy krzaków i ostrożnie zaczął się przez nie przedzierać. Po chwili dostrzegł ognisko i siedzące za nim dwie sylwetki. Wiedział, że Zwiadowca jest nieco drobniejszy od tego drugiego. Więc ta większa sylwetka po prawej to ów legendarny najemnik. Przyjął siedzącą pozycję strzelecką, opierając łokcie na kolanach. Doszedł do wniosku, że ci dwaj przez niego tropieni i w końcu wytropieni, wcale nie są takimi dobrymi ludźmi buszu, jak mu to mówiono. Nie powinni siedzieć przy ogniu obok siebie, ale tyłem do siebie, po obu stronach, wzajemnie się asekurując. Przyłożył policzek do kolby karabinu i zbliżył oko do celownika.

— Doktor Livingstone, jeśli się nie mylę? — usłyszał nagle za sobą.

24

Creasy wrzucił go w ogień. Karl wydzierał się i rzucał na wszystkie strony. Udało mu się przetoczyć na plecy, ale płonąca gałązka dostała się za kołnierz cętkowanej zielono-brązowej koszuli. Nie mógł po nią sięgnąć, gdyż miał związane ręce i stopy. Wrzeszczał dziko z bólu i tarzał się tak długo, aż ją zdusił. Legł ciężko dysząc i pojękując z twarzą w pyle.

Creasy siedział sam, żując kawałek *biltongu*, Maxie przed pięcioma minutami rozplątał się w mroku, aby sprawdzić, czy niedoszły zamachowiec nie ma współników. Jego powrotu można było spodziewać się za pół godziny.

Creasy pociągnął łyk wody z manierki i spojrzął na związanego.

— Kiedy teraz będę zadawał pytania, mam otrzymać odpowiedź natychmiast. I pytać będę tylko raz. Brak odpowiedzi w ciągu dziesięciu sekund, to z powrotem do ogniska. To samo cię spotka, jeśli odpowiedź nie będzie taka, jakiej się spodziewałem. Zaczynamy. Jak się nazywasz, bratku?

Minęło dziesięć sekund i Creasy zaczął wstawać.

— Karl Becker — usłyszał zduszoną odpowiedź.

— Dlaczego chciałeś nas zabić?

Becker przekreślił się na bok. Krótkie włosy miał opalone, podobnie brwi; lewy policzek osmalony. Patrzył na Creasy'ego, oddychając płytko.

— Myślałem, że jesteście kłusownikami i polujecie na nosorożce — odparł. — Kłusowników wolno zabijać.

Creasy westchnął, wstał, podszedł dwa kroki, uniósł związanego za koszulę i szorty, i spokojnie wrzucił do ogniska.

* * *

Po pół godzinie pojawił się Maxie. Creasy siedział w kucki i dalej żuł *biltong*. Pięć metrów dalej oparty o drzewo mopani siedział Karl Becker. Głowa opadła mu na piersi, łkał.

— Nazywa się Karl Becker — poinformował przyjaciela Creasy. — To nazwisko coś nam mówi, prawda?

Maxie przysiadł, wyciągnął z torby butelkę z wodą i najpierw wypił kilka łyków. — Tak, jest taki farmer, który ma farmę krokodyli w Binga. Nazywa się Rolph Becker. Wydaje się, że ma syna.

— To właśnie ten aniołek — potwierdzi Creasy. Wskazał na karabin oparty o inne drzewo mopani. — Dawna broń strzelców wyborowych. Ma jeszcze oryginalny celownik. Kaliber 7,62 mm. To bydle z tej broni zamordowało Carole Manners i Cliffa Coppena.

— Przyznał się?

— Oczywiście. Jak mu się zrobiło gorąco.

— Dlaczego to zrobił?

Creasy westchnął i powiedział zimnym głosem: — Jego ojciec, Rolph Becker, mu kazał.

— Dlaczego?

Kolejne westchnienie.

— Mówi, że nie wie. I nawet mu wierzę. On tak lubi zabijać, że nie obchodzi go, dlaczego to robi. Nawet nie chce wiedzieć. Lubi zabijać, ale nie lubi ciepłka ogniska.

— No to co, pójdziemy pogadać z tatuńciem? — spytał Maxie.

— Oczywiście. Długa droga?

Maxie spojrzął na zegarek.

— Jeśli się pośpieszymy, to do wschodu dojdziemy.

Creasy wstał, nie dożuty kawałek *biltongu* wrzucił do ognia i rozkazał jeńcowi: — Jazda!

25

Michael podźwignął się z podłogi pasażerskiej kabiny ośmiotonowego Leylanda i z powrotem zajął miejsce na fotelu.

Właśnie minęli wieś-mieścinę Binga, która zajmowała południowo-wschodni brzeg jeziora Kariba. O piątej rano uliczki były puste, ale Michael wolał nie ryzykować i dlatego się schował.

Spojrzał na kierowcę, był tak drobniutki, że musiał siedzieć na dwóch poduszkach, aby cokolwiek widzieć. Ale okazał się mistrzem kierownicy. Jechali już od jedenastu godzin, zatrzymując się jedynie w celu osobistej potrzeby oraz przelania benzyny z kanistrów, wiezionych z tyłu, do głównego zbiornika. Wieźli pokazywany ładunek sieci rybackich dla przedsiębiorstwa Kapenta, a także skrzynki z konserwami mięsnymi dla miejscowego sierocińca.

— Jeszcze ze trzy kilometry, *baas* — obwieścił kierowca. — Na skale po lewej będzie widać światła.

— Światła? — zdziwił się Michael. — Nad ranem?

— O tak. U Beckera lampy palą się przez cały czas. Dom jest zawsze pilnowany. Przejeżdżam tędy często, przeważnie w nocy. Wielkie światła zawsze się palą. Chyba już od wojny. Tu było bardzo niebezpiecznie. Napastnicy przyplýwali w nocy przez jezioro z Zambii. Becker był jednym z kilku białych, którzy tu zostali przez złe lata.

— I nikt nigdy go nie napadł?

— O tak, *baas*, ze trzy razy nawet, ale Becker miał chyba piętnastu Matabele. Uzbroidł ich w karabiny maszynowe, dał granaty i wszystko, co tam jeszcze potrzeba. Groźni to byli ludzie. Trzykrotnie odparli partyzantów i wielu zabili.

— A co po wojnie? Co się z nimi stało?

— Partyzanci się nie mścili, nie mogli, bo prezydent Mugabe wydał rozkaz, że po wojnie nie będzie żadnej zemsty. Ale owszem, pozabijano wielu Matabele, którzy nie akceptowali wyniku wyborów i uciekli do buszu. To już było dawno i skończyło się.

— Do jakiego plemienia pan należy?

— Ja jestem Szona, *baas*. Z północy. Matabele są skorzy do bitki, ale Szona są przebiegli i dlatego rządzą krajem.

Michael rozmyślał chwilę nad tymi słowami.

— A co się stało z tymi Matabele Beckera?

— Ciągłe dla niego pracują. Ale teraz zajmują się jego farmą krokodyli, szukają krokodylich jaj nad rzekami. . .

— Niebezpieczna praca.

Kierowca pokiwał głową. — Oni sami są też niebezpieczni, *baas*. — Spojrzał za siebie na półkę w tyle kabiny. Czarny plecak Michaela leżał obok *Katasznikowa* i *ColtaM1911*. — W Harrare opowiadali o panu, *baas*. Pan jest bardzo młody, a taki odważny. Ale niech pan będzie z tymi ludźmi ostrożny. Becker to niedobry człowiek, a jego syn jest jeszcze gorszy. Swoich Matabele dobrze traktuje, ale innych bardzo źle.

— Będę ostrożny. Myśli pan, że ci jego Matabele są przy domu?

— Nie. O tej porze roku wybiera się krokodylom jaja. Połowa Matabele na pewno obozuje nad rzekami i nad jeziorem.

— W pobliżu?

— Nie, *baas*. Bardzo daleko. Dziesięć papierosów jazdy.

Wyszczyrzył w zęby uśmiechu. Dzięki olbrzymiej rodzimej produkcji papierosy w Zimbabwie były bardzo tanie i kierowca palił jednego po drugim. Przez całą drogę, ilekroć Michael pytał, ile czasu zajmie im dotarcie do tego czy innego miejsca, kierowca zawsze określał czas czy kilometry liczbą papierosów, które zdąży wypalić. Przeważnie trafiał, właściwie zawsze trafiał. Michael wyliczył, że dziesięć papierosów określa mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów, najwyżej sto. Tak więc połowa małej armii Beckera nie zdążyłaby przyjść swojemu szefowi z pomocą, gdyby akcja miała zacząć się w ciągu najbliższych kilku godzin.

— Czy ci jego Matabele mają jeszcze broń z dawnych czasów?

— Oficjalnie nie. Karabiny maszynowe i granaty na pewno zostały po wojnie skonfiskowane.

— Na pewno? Skąd można być pewnym?

— Bo ja sam je wtedy odwoziłem. Mój pan miał kontrakt na odwiezienie całej broni z okolicy. Bardzo się wtedy bałem. Droga okropnie wyboista, a samochód pełen broni, amunicji, granatów i min. Ale pan N'Kuku Lovu dał w nagrodę dużo pieniędzy.

Z pewną ulgą w głosie Michael zadał następne pytanie: — Więc ci Matabele nie są uzbrojeni?

— Ja tego nie powiedziałem. Na pewno część broni poukrywali.

— Na przykład co?

— Pistolety i może kilka *Katasznikowów*. Mają też zezwolenia na sztucery, bo to niebezpieczna robota, zbieranie jaj krokodyli. Tyle że nie mają karabinów maszynowych i granatów. — Wskazał, przed siebie na lewo. — Widzi pan te światła, *baas*? Będziemy jechali kilometr od domu akurat wtedy, kiedy dokończę tego papierosa. . . — Pokazał spory jeszcze niedopałek.

Michael miał na sobie czarne dżinsy, czarne buty, czarną koszulę z długimi rękawami i czarną kominiarkę. Teraz wdział kamizelkę kuloodporną. Z kieszeni koszuli wyjął dwa dziesięciodolarowe banknoty i położył na siedzeniu między sobą a kierowcą. Czekąło go wielkie zaskoczenie: kierowca zerknął na pieniądze, zgarnął je i położył Michaelowi na kolanach.

— Nie trzeba, *baas*. Nie za tę robotę. Mój *baas* dobrze mi zapłacił. Bardzo dobrze.

Michael schował je z powrotem.

Niedopałek już parzył palce kierowcy. Michael spojrzął na lewo. Światła wydawały się bardzo bliskie. Michael schował pistolet do kabury i zapiął jej pasek. Z kolei wziął *Katasznikowa* i przełożył pas przez głowę na piersi. Cztery zapasowe magazynki zmieściły się w torbie przytroczonej do pasa spodni.

— Jak daleko od willi są zabudowania, w których mieszkają Matabele? — spytał.

Kierowca wskazał palcem.

— Dwie osobne zagrody. Jedna dla Matabele, druga dla wszystkich innych. Widać teraz światła obu. Najbliższe to Matabele. Około pół kilometra od głównego domu, to znaczy od tego, gdzie mieszka Becker. Pozostali Afrykanie mieszkają kilometr dalej. Jeśli coś się zacznie, to oni będą siedzieć u siebie. Nie przyłączą się. Schowają głowy przy żonach i dzieciach. . . Biały pan nie płaci im tyle, żeby ich obchodziła jego skóra. — Kierowca zmienił bieg, nacisnął pedał hamulca i wygasił niedopałek w przepelnionej popielniczce. — To już teraz, *baas*, te duże drzewa i krzaki po lewej. Będę jechał wolniutko. Powodzenia, *baas*.

Michael przyjaźnie klepnął kierowcę po plecach. Ciężarówka toczyła się wolno. Michael otworzył drzwiczki kabiny i wyskoczył. Po paru sekundach był już w krzakach. Kierowca przyspieszył i wkrótce pochłonął go mrok.

26

Karl Becker był bliski załamania. Mężczyźni, którzy go dostali w swoje ręce, nie mieli zamiaru okazywać wielkoduszności człowiekowi, który chciał ich zamordować. Kuśtykał przez całą noc z kciukami związanymi bardzo dokładnie na plecach, z kostkami spętanymi solidnym sznurem pozwalającym na zaledwie trzydziestocentymetrowe kroczyki. Tylko dwukrotnie przystawiali mu do ust butelkę z wodą i to na bardzo krótko. A marsz był długi.

Przez pierwsze dwie godziny wzbierała w nim nienawiść. Potem zaczął się zastanawiać, dlaczego wpadł w pułapkę. Uważał się za najlepszego tropiciela w kraju, zarówno wśród białych, jak i czarnych. Tymczasem tych dwóch, którzy szli po obu stronach, pochwytiło go niby motyla w siatkę. Z zupełną łatwością. Jak to się stało, że nie zauważył różnicy pozostawianych śladów, kiedy ten były Zwiadowca zabawił się z nim parą patyków przymocowanych do pustych butów? Jak mógł nie dostrzec śladów tego drugiego, który odszedł nie wiadomo kiedy w bok, żeby go zająć od tyłu?

Powoli zaczął sobie uświadamiać, że ci dwaj stanowią śmiertelne zagrożenie. Ten Creasy potrafił całkowicie go obezwładnić, wiążąc mu jednym kawałkiem sznurka nie ręce, nie dłonie, a dwa kciuki. A kiedy po zadaniu pierwszego pytania został przez Karla opluty, w odpowiedzi wrzucił go po prostu w ogień. Jeszcze nigdy w życiu nikt do niego nie mówił tak lodowatym tonem. Nawet ojciec w złości tak nie przemawiał. Po czterech godzinach zaczął obawiać się o swoje życie. Co prawda, gdyby stanął wraz z ojcem przed sądem, ich możni przyjaciele poruszyliby wszystkie sprężyny, aby uzyskać dla nich, jeśli nie wyrok z zawieszeniem, to przynajmniej łagodne orzeczenie krótkiego pobytu w więzieniu. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ci dwaj tego nigdy nie zaakceptują.

Podchodzili do willi prostopadle do linii brzegu jeziora. Pozostało jeszcze trzy kilometry. Zabudowania, w których mieszkali Matabele, były po lewej. Karl Becker podjął decyzję. W odległości kilometra ostrzeże ich krzykiem.

Ale prowadzący nie dali mu tej szansy. Po pół kilometra Creasy kazał mu zatrzymać się. Po chwili poczuł szarpnięcie za włosy. Odchylono mu głowę i wpakowano w usta szmatę, którą zawiązano inną szmatą z tyłu. Zwiadowca szepnął mu do ucha: — Nie chcemy słyszeć żadnych słowicznych treli, a jeśli spróbujesz coś

innego, to kula w łeb. — Głos był w pełni przekonujący. Karl nie miał najmniejszych wątpliwości, że groźba zostanie w razie potrzeby natychmiast spełniona. Pchnięty w plecy, pokuśtykał w stronę domu. Wyparowały mu z głowy wszelkie zamiary ostrzegania kogokolwiek. Dalej niech się już martwi ojciec.

Zatrzymali się kilometr od domu. Karl, do cna wyczerpany, najpierw osunął się na kolana, a potem padł bokiem na ziemię. Dom był doskonale widoczny w świetle ustawionych dokoła reflektorów. Słyszał rozmowę swoich prześladowców.

— Może obejdziemy dokoła całe ogrodzenie i poprzecinamy kable zasilające lampy — zaproponował Creasy.

— Odradzam — odparł Maxie. — To zamożny człowiek. Oprócz zewnętrznego zasilania ma na pewno generator i kable biegnące od wewnątrz. Musiał się zabezpieczyć, ponieważ często wyłączają tu prąd. A generator na pewno włącza się automatycznie. Jeśli nawet nie, to ktoś ze służby zaraz przybiegnie, żeby to zrobić.

Przez parę minut siedzieli w kucki rozmawiając szeptem. Wreszcie Creasy szturchnął Karla końcem lufy.

— No, cóż, pozostaje nam tylko jedno wyjście. Podejźmy do drzwi i zadzwonimy. Ten tutaj, to jedyny synuś tatusia. Przyłożymy mu lufę do łepetyny... Znowu zapadła cisza.

— Dlaczego nie — zgodził się Maxie. — Może być. Przygotujmy chłoptasia.

Brutalnie dźwignął Karla na nogi, odwinął z pasa odpowiedniej długości kawałek sznura i jego koniec przełożył przez osłonę spustu karabinu. Drugi koniec powędrował wokół szyi Karla. Po związaniu obu końców wylot lufy został wciśnięty w podstawę czaszki.

— I nie szarp się, ptaszku, bo ci mózg wypłynie — zagroził Maxie. — Oczywiście, jeśli takowy posiadasz.

Ruszyli wolno przez zarośla.

* * *

Michael dostrzegł ich, gdy weszli w zewnętrzny krąg światła. Nawet z tak dużej odległości natychmiast rozpoznał sylwetki Creasy'ego i Maxie. Rozpoznał też sytuację. W pierwszym odruchu chciał do nich dołączyć, ale kiedy już się podniósł, przypomniał sobie zasady wbijane mu podczas szkolenia: rozpoznaj sytuację i odczekaj. A jeśli jesteś w odwodzie, pozostawaj w odwodzie, póki nie nastąpi rozwój wypadków nakazujący interwencję.

* * *

Rolph Becker spał w głównej sypialni. Obudził go alarmowy brzęczyk wmontowany w wezłowie łóżka. Potrzebował zaledwie pięciu sekund, aby odzyskać pełną przytomność umysłu. Wyłączył alarm, wstał i podszedł do okna. Mogła to być hiena lub inne zwierzę, które przecięło wiązkę podczerwonych promieni chroniącą otoczenie willi. Kiedy jednak uchylił rąbka zasłony, ujrzał swego syna z lufą karabinu przyłożoną do głowy i dwu mężczyzn stojących za nim. Szli w stronę domu, i zostało im jeszcze pięćdziesiąt metrów do przejścia. Rolph Becker zaklął i natychmiast zaczął działać.

Przede wszystkim cztery razy, raz po raz, przycisnął guzik przy drzwiach sypialni. W pomieszczeniu Matabele rozległ się brzęczyk, a jego czterokrotne powtórzenie oznaczało sytuację najwyższego zagrożenia. Przed czterema laty kupił w Johannesburgu gong-pozytywkę do drzwi wejściowych. Bardzo bawiło to jego i przyjaciół. Po dziesięciu sekundach gong się odezwał pierwszymi taktami „Sonaty księżycowej” Beethovena.

Patrząc na sekundnik swego Rolexa wyliczył dziewięćdziesiąt sekund. Można było założyć, że obudzony o piątej rano człowiek potrzebuje minuty na oprzytomnienie i pół minuty na podejście do drzwi. Dawało to również czas Matabele na ogarnięcie się i sprawdzenie broni.

Gdy odrywał wzrok od zegarka, mając zamiar ruszyć ku drzwiom, beethovenskie takty rozległy się po raz wtóry. Beckerowi wydawało się, że tym razem zabrzmiała w nich nuta zniecierpliwienia. Trzymając broń lufą do góry, zdjął łańcuch i otworzył drzwi. Ujrzał syna stojącego w odległości pięciu metrów.

— Nie rób nic, tato, nie rób nic... Oni przywiązali mi do szyi lufę karabinu... Tato!...

— Zamknij się, Karl! Tylko stój spokojnie! — warknął ostro Becker.

Jeden z mężczyzn stał nieco na lewo za Karlem, trzymając palec na spuście karabinu. Becker wiedział, że to jest właśnie ów były Zwiadowca, Maxie MacDonald. Drugi mężczyzna stał o trzy metry dalej, po prawej. Miał w prawej ręce karabin z lufą opartą o ramię, w lewej drugi skierowany ku ziemi. Becker rozpoznał broń Karla i uświadomił sobie, że mężczyzną jest sławny najemnik Creasy.

— Tylko drgnie panu ręka i lufa pańskiego karabinu, a mój przyjaciel z wielką przyjemnością pociągnie za spust — powiedział Creasy. — I umrze pan bezdzietny.

— Tato! Oni mówią poważnie!

— Zamknij się! — ryknął Rolph Becker. Ale ręka z karabinem nie drgnęła. — Co to ma być, do cholery? — rzucił pytanie Creasy'emu.

— Pański synalek szedł w buszu naszym tropem i usiłował nas zamordować.

Tak samo jak poprzednio zamordował Carole Manners i Cliffa Coppena.

Wzrok Beckera tylko na ułamek sekundy przeniósł się na Karla. Patrząc w oczy Creasy'emu odpalił ostro: — Kupa bzdur! Karl z tym nie ma nic wspólnego. A gdyby chciał was upolować w buszu, to nie miałby z tym najmniejszych trudności.

Creasy wykrzywił twarz z kilkudniowym zarostem i podniósł trzymany przez kawałek szmaty karabin.

— To jest karabin twojego syna, Becker. Powiedział mi, że dałeś mu go, kiedy był jeszcze młodym chłopcem. Nie mam wątpliwości, że policja będzie mogła ustalić, iż pociski, które zabiły tamtych dwoje, pochodzą z tej broni. Twój syn oświadczył nam również, że działał na twoje polecenie. Dlatego też wpadliśmy na pogawędkę, żeby wyjaśnić kilka rzeczy.

— Mój syn nigdy by czegoś podobnego nie powiedział — oświadczył Becker. Spojrzał uważnie na Karla i dopiero teraz zauważył ślady opalenia włosów. — Torturowaliście go? — warknął oskarżycielsko.

— Podgrzaliśmy go trochę nad ogniem. Miał szczęście, że trafił na nasz dobry humor. Zazwyczaj nie zawracam sobie głowy, kiedy przyłapię kogoś, kto chce zabić mnie albo któregoś z moich przyjaciół. A teraz wejdziemy i odbędziemy tę pogawędkę, po której będziemy mogli od razu zawiadomić policję.

Becker spojrział w mrok, ale niczego nie dostrzegł i postanowił grać na zwłokę.

— Możecie sobie dzwonić na policję, ale jeśli natychmiast nie uwolnicie mego syna, zostaniecie oskarżeni o porwanie, torturowanie i usiłowanie morderstwa. Resztę swoich dni spędzicie w bardzo niemiłym więzieniu.

Creasy tylko się uśmiechnął.

— Bardzo wątpię, Becker. A syna oddamy tak jak jest w ręce policji.

Becker coś wreszcie dostrzegł w gęstych jeszcze ciemnościach. Jakiś ruch na wprost i po prawej. Matabele przybyli i zajmowali stanowiska.

Michael też ich dostrzegł z miejsca swego ukrycia. Sześć sylwetek na tle świetlnego kręgu. Trzech miało *Katasznikowy*. Pozostali uzbrojeni byli w pistolety. Michael podpełzł bliżej.

Teraz uśmiechnął się Becker. Creasy usłyszał jakiś odgłos za sobą. Obrócił głowę i zobaczył sześć jeszcze niezbyt wyraźnych sylwetek na samym skraju zasięgu reflektorów.

— Nie sądzę, abyśmy mieli dziś wizytę policji — oświadczył Becker. — Sytuacja nieco się zmieniła. Przecięliście wiązkę promieni podczerwonych, uruchamiając alarm.

— To nie robi żadnej różnicy — odpowiedział spokojnie Creasy. — Twój bezcenny synalek jest o milisekundę od śmierci. Nawet gdyby twoi ludzie do nas strzelili, bezbłędnie trafiając, to zdążymy zabić Karla.

Becker dobrze o tym wiedział, ale nadal grał na zwłokę. Doliczył się sześciu swoich ludzi. Był przekonany, że z każdą sekundą jego sytuacja będzie ulegała

poprawie.

— Dobrze, porozmawiajmy — zgodził się. — Jesteś najemnikiem. Zawrzemy umowę. Wrócisz i powiesz tej Manners, że nic nie znalazłeś. Zapłaci ci i wróci do Stanów. Ja ci też zapłacę. Sto tysięcy amerykańskich dolarów w gotówce lub w złocie.

— Ktoś ci naopowiadał bzdur o najemnikach, Becker — wtrącił się do rozmowy Maxie. — My nigdy nie służymy dwóm panom jednocześnie.

— Wiem wszystko o takich jak wy szumowinach — odparł Becker. — Za pieniądze zabilibyście swoje matki.

Michael dotarł na odległość stu metrów do czatujących półkolem Matabele. Słyszał nawet ich rozmowę. Nagle na skraju jego pola widzenia pojawiła się siódma sylwetka, z pewnością niewidzialna dla Maxie i Creasy'ego, stojących wewnątrz oświetlonego terenu. Sylwetka znieruchomiła, potem przykucnęła i złożyła się do strzału.

Michael błyskawicznie podjął decyzję. Wrzasnął, ile sił w płucach: — Creasy, padnij!

Niemalże w tej samej sekundzie jego *Kataszni*ków plunął ogniem.

Jak wszystkie podobne potyczki ogniowe w mroku, tak i ta wydawała się trwać wieczność, chociaż były to tylko sekundy. Gdy Creasy padał, Maxie nacisnął spust i karabin odskoczył, pociągając przywiązane doń sznurkiem ciało martwego już Karla Beckera. Maxie chwycił ciało w pół, wyswobodził karabin i padł na ziemię, wykorzystując zabitego jako tarczę.

Rolphowi Beckerowi udało się wystrzelić raz, raniąc Creasy'ego lekko w pośladek. Creasy wpakował w Beckera trzy kolejne pociski, które rzuciły nim o ścianę. Creasy przetoczył się kilka razy w prawo, obrócił w przeciwnym od domu kierunku i zaczął strzelać do Matabele.

Maxie nadal tkwił za ciałem Karla Beckera, skąd strzelał jedną ręką. Jęknął głośno, gdy jakaś kula przeszła Beckera i utkwiała mu w udzie. Z ciemności dobiegał odgłos suchych trzasków *Kataszni*kowa Michaela. Creasy widział padające i zwijające się postacie, słyszał przerażone wrzaski.

Potem nastąpiła martwa cisza, którą przerwał głos Creasy'ego: — Maxie!

— Dostałem w nogę — odpowiedział spokojny głos. Creasy z kolei wywołał Michaela.

— Jestem tu! — odparł Michael z ciemności.

Creasy w dalszym ciągu leżał na ziemi z karabinem wycelowanym w głośno jęczącego Matabele, który trzymał się za ramię.

— Nie ruszaj się, Michael! — zawołał Creasy i zwrócił się do Maxie: — Jesteś w stanie wstać i chodzić?

— Tak.

— No to rekonesans domu.

Maxie porzucił schronienie za zwłokami Karla Beckera i pokuśtykał do drzwi wejściowych. Za nim ruszył Creasy.

Rolph Becker leżał na plecach, trzymając się kurczowo za brzuch. Creasy kopnął karabin poza zasięg ręki rannego, pochylił się i przyjrzał ranie. Wszystkie trzy pociski przeszły rządkiem przez goły brzuch. Widać było wypływające jelita, podtrzymywane tylko rozczapierzonymi palcami. Beckerowi zostało najwyżej parę minut życia.

— Niech mnie pan zawiezie do szpitala. Szybko, na miłość boską, szybko! Tylko sześć kilometrów stąd, w Binga!

— Pojedziemy do szpitala, kiedy uzyskam odpowiedź na kilka pytań.

Maxie przelatywał szybko z pokoju do pokoju. Kopniakami otwierał drzwi, trzymając broń w pogotowiu. Pocisk w nodze zupełnie mu nie przeszkadzał. Wyczuwał palcami jego kształt prawie tuż pod skórą. Karl Becker okazał się dobrą osłoną.

Dom był pusty. W sypialni Maxie znalazł potężny ścienny sejf z cyfrowym zamkiem. Wrócił do holu, gdzie zastał Creasy'ego stojącego nad Rolphem Beckerem.

— W domu nie ma nikogo — obwieścił Maxie. — Znalazłem sejf zamykany cyfrowo.

— Numery sejfu, a potem jedziemy do szpitala — powiedział Creasy do wykrzywionego w strasznym bólu Beckera.

Becker niemal wykrzyczał serię cyfr. Maxie zawrócił na pięcie i wbiegł z powrotem do domu. Wystukał kod, pociągnął za rączkę i odciągnął ciężkie pancerne drzwi. Na półkach leżały teczki z dokumentami, paczki banknotów i dwa pistolety. Pobiegł z powrotem do holu. Dopiero teraz rana zaczęła promieniować bólem na całe ciało.

— Sejf otwarty.

Creasy wstał i spojrzał na Beckera.

— Odwozimy go do szpitala? — spytał Maxie.

— Szkoda benzyny.

Z gardła Beckera dobyło się bulgotanie. Ostatni paroksyzm wstrząsnął jego ciałem, przechylił się na bok, dłonie odpadły od brzucha, jelita wyślizgnęły się na kamienną posadzkę. Już nie żył.

— Wszystko wyznał — powiedział Creasy. — Przyznał się. Dokumenty w sejfie powiedzą nam resztę. Idź do telefonu, zawiadom policję. Ja pójdę do Michaela.

Przedzierając się przez krzaki, Creasy wbiegł na pagórek. Usłyszał jęki. Michael leżał na brzuchu. Creasy ukląkł przy nim.

— Gdzie cię trafili?

— Jedną w obojczyk, aż mną obróciło, i drugą z tyłu. . . nisko z tyłu.

— Czujesz ból?

— Niczego nie czuję.

— Masz się nie ruszać.

Creasy podciągnął przesiąkniętą krwią koszulę rannego. Miał dość światła, by dostrzec ranę w dole kręgosłupa. Coś w nim zawyło, ale spokojnym głosem powtórzył: — Nie ruszaj się, Michael. Nie próbuj ruszyć nawet palcem. Wkrótce cię stąd zabierzemy.

Z policzkiem wtulonym w ziemię Michael odparł: — Straciłem czucie w nogach.

Gloria Manners siedziała w ogrodzie hotelu „Azambezi Lodge”. Dwadzieścia metrów dalej płynęła rzeka Zambezi; słysząc było huk i szum wodospadu. Gloria siedziała sama. Po lunchu zwolniła Ruby na godzinę, by mogła iść obejrzeć wodospad.

W drzewach nad głową ćwierkały ptaki, a na trawniku hasały koczkodany. Gloria Manners spodziewała się, że znienawidzi ten kraj, zwłaszcza po wydarzeniach ubiegłej nocy. I z początku tak się stało, jednakże w ciągu dnia uczucie to stopniało. Być może wpłynął na to błogi spokój w hotelu. Był to dwupiętrowy budynek w kształcie litery „C”, w którego zagięciu znajdował się basen i ogród, a dalej płynęła szeroka rzeka. Dach stanowiła gruba strzecha. Kiedy tu przyjechała, dyrektor hotelu z dumą obwieścił, że jest to największy na świecie budynek pokryty strzechą.

Rozmyślała o dwóch mężczyznach od kilku dni przebywających w buszu. Spodziewała się, że za parę dni wrócą i powiedzą, że niczego nie znaleźli. Przygotowywała się psychicznie na taką właśnie wiadomość. Przynajmniej będzie mogła pocieszać się tym, że uczyniła wszystko, co było w ludzkiej mocy. Skupiła myśli na Creasym i doszła do wniosku, że pod pewnymi względami podobny jest do jej zmarłego męża. W każdym razie był jednym z niewielu mężczyzn, którzy potrafili stawić jej czoło. Wyjedzie z Zimbabwe ze świadomością, że do wykonania niemożliwego zadania wynajęła jednak najlepszych i że jeśli Creasy’emu się nie udało, to nie udałoby się nikomu innemu. Będzie kontynuowała nudne inwalidzkie życie w swoim Denver. Może już niedługo. Nie czuła najmniejszego niepokoju czy lęku. Nagle usłyszała za sobą głos: — Pani Manners?

Obróciwszy głowę, zobaczyła młodą Azjatkę. Ogarnęła ją złość, że przerwano jej rozmyślanie.

— A jest tu jakaś inna starucha w inwalidzkim wózku? — burknęła opryskliwie.

Młoda kobieta zawahała się, jednak podeszła i stanęła przed panią Manners.

— Przepraszam, że pani przeszkadzam, przyjechałam jednak z bardzo daleka, by z panią porozmawiać. Nazywam się Lucy Kwok.

— O czym porozmawiać?

— O zamordowaniu pani córki i Cliffa Coppena. I o niemalże jednoczesnym zamordowaniu moich rodziców i brata w Hongkongu.

— Przyleciała pani z Hongkongu, żeby się ze mną spotkać? — spytała Gloria Manners po chwili milczenia.

— Tak. Mam podstawy sądzić, że te morderstwa mają ze sobą związek. Tak samo sądzi policja Hongkongu. Dowiedziałam się, że pani tu przyleciała, by odszukać i ukarać morderców.

Stara kobieta wskazała na krzesło.

— Niech pani siada, panno Kwok.

W ciągu dwudziestu minut obie kobiety zdążyły wymienić najważniejsze informacje. Gloria Manners opisała przebieg wydarzeń od chwili jej przylotu do Zimbabwe, Lucy zaś wyjaśniła związek między morderstwami w Hongkongu i nad jeziorem Kariba.

Pani Manners chciała już przywołać kelnera, ale w tym momencie zobaczyła inspektora Gilberta, idącego ku nim przez trawnik. Robin Gilbert wziął stojące w pobliżu krzesło i usiadł obok wózka Glorii.

Gloria przestawiła go Lucy: — Ta młoda dama twierdzi, że w Hongkongu zbiegają się nici morderstwa mojej córki.

— Wiem o tym — odparł Gilbert. — Szef policji Ndlovu rozmawiał ze mną o tym wczoraj wieczorem. — Gilbert odczekał i oświadczył niemal uroczyście: — Pani Manners, mam pani do zakomunikowania ważną wiadomość. Ludzie, którzy zamordowali pani córkę i Cliffa Coppena, zostali zabici dziś o świcie. Oni i jeszcze czterej inni.

Pani Manners wpatrywała się długo w twarz policjanta, nim spytała: — Jest pan pewien, że to właśnie ci?

— Mamy dowody.

— Czy to Creasy ich zabił?

— Tak. Wraz z MacDonalodem i Michaeliem. W Binga rozegrała się prawdziwa bitwa. To tuż nad jeziorem.

— Myślałem, że Michael jest w Harrare?

— Myśmy też tak sądzili. Ale wczoraj zniknął z hotelu. Musiał szybko jechać, żeby o świcie dotrzeć na miejsce.

— Czy mordercami mojej córki byli czarni?

— Nie. Biali. Ojciec i syn. — Inspektor spojrział na zegarek. — Wszystkie szczegóły podam pani już w samolocie.

Gloria wydawała się lekko oszołomiona tempem wydarzeń.

— W jakim samolocie?

— W pani samolocie, pani Manners. Musimy zaraz lecieć do Bulawayo. W recepcji spotkałem pani pielęgniarkę i poleciłem jej pakować rzeczy. Kazałem dyrektorowi hotelu zawiadomić pilotów. Chciałbym, abyśmy mogli jak najszybciej odlecieć. Gloria z trudem zbierała myśli.

— Ale dlaczego właśnie do Bulawayo?

— Ponieważ Michael został bardzo poważnie ranny. — Inspektor wstał.

— O Boże! Ale wyjdzie z tego?

— Nie wiem. Na szczęście byłem w Binga, kiedy to się wszystko stało. Przewieźliśmy go do szpitala w Binga, ale to jest mały szpital. Kiedy przed dwiema godzinami opuszczałem Binga, jego stan był bez zmian. Teraz jest przewożony samolotem do Bulawayo. Tam mają lepsze warunki i wszystko, co potrzeba. Są z nim Creasy i Maxie. Leci też do Bulawayo szef John Ndlovu. Nie sam, ale z trzema aresztowanymi współnikami zabitych morderców.

W Głorię wstąpiła energia.

— No, to lecimy, inspektorze! Myślę, że powinna nam towarzyszyć panna Kwok.

— Bardzo słusznie — odparł Gilbert, pchając już inwalidzki wózek.

28

Był już późny wieczór. Creasy wszedł do szpitalnego pokoju. Czarna zakonnica, pielęgniarka, wstała z krzesła przy łóżku.

— Siostrzo, proszę zostawić nas samych — zwrócił się do niej Creasy.

Wyszła zamykając za sobą drzwi. Creasy usiadł na skraju łóżka i ujął dłoń Michaela.

— Jak się czujesz?

Michael nie odpowiedział, lecz sam zadał pytanie: — Mów. Co ze mną?

— Nie za dobrze.

— Czyli?

Creasy chwilę się zastanawiał.

— Obojczyk nie przedstawia problemu. Odzyskasz w pełni władzę w ręce.

— A druga rana?

— Tu jest gorzej. Pocisk uszkodził kręgosłup. Będziesz sparaliżowany od pasa w dół.

Zapadła głęboka cisza.

— Podejrzywałem to — powiedział wreszcie Michael. — Podejrzywałem, że lekarze nic nie poradzą. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

— No, cóż, stało się. Tutejszy chirurg dzwonił do specjalisty. Taka sama diagnoza. Uszkodzenie permanentne. Po osiemnastu latach wojny tutejsi lekarze mają olbrzymie doświadczenie, jeśli idzie o urazy postrzałowe. Nie spodziewaj się od losu ułaskawienia. Musisz okazać hart ducha, być silnym. Za dwa tygodnie będziesz mógł opuścić szpital. Wrócisz na Gozo i rozpoczniesz nowe życie. Nie będzie to łatwe, ale jesteś odporny na przeciwności losu... Dasz sobie radę. Juliet i ja będziemy z tobą. — Ścisnął dłoń Michaela.

Michael zacisnął palce na jego dłoni i wyszeptał zduszonym głosem: — Nie chcę próbować dawać sobie rady. Nie chcę tak żyć. Ilekroć patrzyłem na tę wstrętą babę na jej inwalidzkim wózku, zadawałem sobie pytanie, jak można to wytrzymać. A ona przecież miała szczęście przeżyć wiele lat inaczej. Wyobrażasz sobie, że wytrwałbym czterdzieści czy pięćdziesiąt lat przykuty do fotela, z każdym dniem coraz bardziej zgorzkniały i przykrzejszy dla otoczenia? O nie, Creasy!

— Teraz wszystko wydaje się czarne, Michael. Ale ludzie potrafią wyjść z za

tej czarnej zasłony, pogodzić się z losem. Żyją zupełnie przyzwoicie. Czasami nawet bardzo dobrze. Wielu takich znałem. Wszystkim wydaje się z początku, że nie dadzą rady, ale potem walczą z losem. Choć nie ja cię spłodziłem, jesteś pod każdym względem moim synem, i doskonale cię znam. Twoja droga będzie z początku trudna, ale wiem, że potrafisz dać sobie radę.

Michael kręcił głową na poduszce.

— Nie chcę, Creasy... Po prostu nie chcę takiego życia i nie zmienię zdania. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił...

— Nie zrobię tego, Michael. Wybij to sobie z głowy. Musisz żyć. Kto wie, może za paręnaście lat pojawią się nowe techniki łączenia nerwów rdzenia kręgowego.

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz, Creasy. To są puste słowa.

— Nieprawda! Kto to może wiedzieć? Przy obecnym postępie w medycynie... Wielu z tych, którzy musieli umrzeć w Wietnamie, byłoby dziś przy życiu.

— Słowa, słowa... Chcę, żebyś zrobił to, o co poproszę.

Przez minutę obaj milczeli, wpatrując się tylko w siebie nawzajem.

— Dobrze, dam ci następującą obietnicę: wrócimy do Gozo, a po trzech miesiąca, licząc od dzisiejszego dnia, zrobię to, jeśli nadal będziesz tego chciał.

Kolejna długa cisza.

— Trzy miesiące?

— Tak.

— Licząc od dziś?

— Tak.

— Obiecujesz?

— Tak.

Michael ścisnął dłoń Creasy'ego.

— Umowa stoi — wyszeptał.

29

Creasy wrócił do hotelu „Churchill Arms” po ósmej wieczorem. Hotel, położony w dzielnicy Hillside, znajdował się blisko szpitala. Recepcjonista wręczył mu klucz do pokoju i trzy kartki. Pierwsza zawierała wiadomość od Glorii Manners, że czeka w swoim apartamencie w towarzystwie inspektora Gilberta i szefa policji Ndlovu. Druga od inspektora Gilberta informowała, że wraz z szefem policji Ndlovu czeka na Creasy’ego w apartamencie pani Manners. Trzecia była od Maxie, który zawiadamiał, że czeka w barze. Creasy poszedł do baru.

MacDonald obejmował dłońmi szklankę whisky. Creasy usiadł na sąsiednim stołku i zamówił koniak Remy Martin.

Byli bardzo wyczerpani. Żaden z nich nie zmrużył oka od czterdziestu ośmiu godzin.

Milczeli, póki barman nie podał koniaku. Wtedy dopiero Maxie zapytał: — No i?

— Jest źle... Chłopak chce, żebym mu pomógł umrzeć.

— No i?

— Powiedziałem mu, że wrócimy na Gozo, a jeśli za trzy miesiące będzie nadal tego chciał, to mu pomogę.

— Pomożesz? Zdobyłbyś się na to?

— Tak. Ale myślę, że za trzy miesiące chłopak będzie w innym nastroju. Zazwyczaj tak bywa.

— Racja, zazwyczaj tak bywa. Michael miał pecha. Kilka milimetrów w prawo lub w lewo i za dwa tygodnie chodziłby już o własnych siłach. — Zerknął na przyjaciela. — A ty? Rąbnęło cię, prawda?

Creasy wzruszył ramionami.

— Wszystko już przeżywałem, wszystko widziałem.

— Obaj już wszystko widzieliśmy.

Do baru weszła para nieskazitelnie ubranych biznesmenów i hałaśliwie zamaiała drinki.

— Dzwoniłem do domu i rozmawiałem z Nicole. Oczywiście musiałem też opowiedzieć wszystko Lucette — poinformował Maxie.

— Wszystko? — zdziwił się Creasy.

— No, wszystko to nie. Powiedziałem, że Michael jest ranny i że za kilka dni będziemy wiedzieli, czy to poważna sprawa. Dziewczyna chciała tu natychmiast lecieć. Było sporo płaczu. Ona go bardzo kocha.

— Będzie kochała inwalidę na wózku?

Maxie długo myślał. — Chyba tak — odpowiedział w końcu.

— To może być bardzo ważne.

— Owszem, może być. Daj mi kilka tygodni. Potem ci powiem, co o tym myślę. Najgorsze byłoby, gdyby powiedziała tak, a któregoś dnia doszła do wniosku, że ma dosyć.

— Oddaję sprawę w twoje ręce, Maxie. A teraz ci radzę, idź spać.

— Nic z tego. Na górze czeka na nas cała sfera. Pani Manners, Ndlovu, Gilbert. Potrwa to z godzinę. Może po spotkaniu z nimi zejdziemy sobie jeszcze na dół na pożegnalnego?

— Może. W jakim nastroju jest nasz babsztyl?

— Nie chciało mi się wierzyć, kiedy się rozplakała na wiadomość o tym co przydarzyło się Michaelowi.

— Rozplakała się?

— Tak. Wini siebie.

— Niby dlaczego?

— Może dlatego, że od niej się zaczęło. Że ciebie zaangażowała.

— Powinna się cieszyć. Osiągnęliśmy cel. Mordercy zostali wyeliminowani.

— No, ale się nie raduje. A przy okazji: jest z nią jakaś Chinka. Przyleciała dziś z Hongkongu. Jest podobno związek między tymi morderstwami tu a triadami w Hongkongu.

— Są w to zamieszane triady?

— Dokumenty, które zabraliśmy z sejfu Beckera, wyraźnie na to wskazują. Wszystko dotyczy rogu nosorożca. Za kłusownikami stał Becker. Finansowała go jedna z triad. Zamordowała wszystkich członków rodziny tej Chinki, która wczoraj tu przyleciała.

Creasy dopił swój koniak.

— No, to chodźmy na górę zakończyć całą sprawę.

* * *

Gdy Creasy zapukał do apartamentu Glorii Manners, drzwi otworzył mu John Ndlovu.

Przy powitaniu powiedział: — Bardzo mi przykro z powodu pańskiego syna. Lecząc tu rozmawiałem przez telefon z lekarzem. Czy moglibyśmy w czymś

pomóc?

— Owszem — odparł Creasy jeszcze w drzwiach. — Szybko załatwić wszystkie problemy prawne. Jeszcze tu, w Bulawayo, jeśli można. Nie chciałbym być zmuszony do latania tam i z powrotem do Harrare.

— Da się to załatwić — odparł Afrykanin. — Zajmie się tym Robin Gilbert. Od wszystkiego innego go zwalniam.

Weszli. Gloria, siedziała na inwalidzkim wózku, w pobliżu kanapki zajętej przez Gilberta i młodą Chinkę. Na twarzy Glorii malowało się współczucie. — Jak on się czuje? — spytała.

— Sparaliżowany od pasa w dół. A pani lepiej niż ktokolwiek rozumie, co to znaczy.

— Rozmawiał pan z nim?

— Tak.

— On o tym wie?

— Wie.

— Jak to przyjął?

— Jest silny i rozumie.

W głosie Glorii brzmiała ludzka troska. — W ciągu czterdziestu ośmiu godzin mogę tu ściągnąć najlepszych specjalistów ze Stanów.

— Tu żadne czarodziejskie różdżki nie pomogą, pani Manners — odparł Creasy, wzruszając ramionami. — Tutejsi lekarze mają olbrzymie doświadczenie w takich sprawach.

— No, to co mogę zrobić? — spytała.

— Tylko jedną rzecz. Odnaleźliśmy ludzi, którzy zamordowali pani córkę i zabiliśmy ich. Według umowy za odnalezienie morderców płaci pani pół miliona franków, a za ich likwidację następny milion. Byłbym bardzo wdzięczny za szybkie uregulowanie rachunku, gdyż te pieniądze będą mi teraz potrzebne.

— Oczywiście. Natychmiast. Czy mogłabym zobaczyć się z Michael'em?

— Po co?

— Niech pan nie będzie okrutny, Creasy. Przed chwilą powiedział pan, że mogę lepiej niż ktokolwiek zrozumieć jego sytuację. To prawda. Chciałabym z nim porozmawiać. Może mogłabym pomóc.

Creasy czuł rosnące w nim poirytowanie. W pewnej chwili zdał sobie jednak sprawę, że widzi kobietę, w której oczach odczytać można jedynie smutek i współczucie.

— Może pani zobaczyć się z nim jutro rano. Tylko niech pani nie płacze i nie roztkliwia się.

Jakby zeszytywniała. Prostując się w fotelu, odparła: — Wiem, jak powinnam postępować.

30

Michael otworzył oczy i ujrzał słońce wpadające przez okno. W nocy prawie nie spał, mimo podanych mu środków uspokajających. Dopiero nad ranem zasnął na jakieś dwie godziny. Obudziwszy się zobaczył, że obok łóżka siedzi biała zakonnica i czyta książkę.

— Co siostra czyta? — spytał.

Podniosła głowę zaskoczona. Pod wykrochmalonym kornetem, lśniącem białą, widać było czarne włosy.

— Jak się czujesz, synu?

— Nieźle. Co siostra czyta? — powtórzył pytanie.

— „Mills i Boon”, romans... — odparła z lekkim zażenowaniem. — Wiem, wiem, ale ja lubię romanse. — Odłożyła książkę, wstała i zaczęła się krzątać. Zmierzyła mu puls i temperaturę. Przez prawie cały czas mówiła do niego irlandzką angielszczyzną. Zapisała coś na karcie choroby zawieszony w nogach łóżka, spojrzała na zegarek i obwieściła, że za pół godziny przyjdzie lekarz. Podniosła słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku i zawiadomiła siostrę przełożoną, że stan chorego jest bez zmian.

— Ja także chciałbym coś poczytać — powiedział Michael. — Będę tu dość długo... Czy szpital ma bibliotekę?

— O, tak! I to dobrą. Rano i wieczorem przychodzi siostra z całym naręczem książek.

— O której rano?

— Między dziesiątą a jedenastą.

— A która jest teraz?

Jeszcze raz spojrzała na zegarek zawieszony na pasku habitu.

— Siódma trzydzieści.

Na nocnym stoliku stała karafka z wodą i szklanka.

— Czy mógłbym się napić?

Siostra ochoczo przystąpiła do działania. Nalała pół szklanki wody, miękką dłonią podparła kark chorego i lekko uniośszy mu głowę, przytknęła brzeg szklanki do ust. Przeszył go ból idący od ramienia, ale nie dał tego po sobie poznać. Po upiciu paru łyków opadł na poduszkę i zamknął oczy. Siostra usiadła

i powróciła do lektury. Po pięciu minutach Michael otworzył oczy i obrócił głowę w stronę otwartego okna. Wchłaniał wzrokiem rozświetloną przestrzeń. Minęło następne pięć minut.

— Jak siostra ma na imię?

— Agata. — Uśmiechnęła się. Miała okrągłą ładną twarz. — Po świętej Agacie, ale wolałabym imię po innej świętej.

Nie mógł się oprzeć i też się uśmiechnął.

— Agata to brzmi jak róża. . . Siostrze Agato, czy mogę prosić o przysługę?

— Proszę, słucham?

— Już nie zasnę, a chciałbym czymś zająć myśli. Czy siostra mogłaby teraz iść do biblioteki i przynieść mi parę książek?

Zastanowiła się i zerknęła na zegarek.

— No, chyba mogę to zrobić. Biblioteka jest w końcu korytarza. Co mam przynieść? Jakiego rodzaju książki?

— Lubię przygodowe i kryminały. Inspektor Maigret lub coś podobnego. Albo jakiś dobry dreszczowiec.

Siostra Agata odłożyła książkę i powiedziała: — W zasadzie nie powinnam odchodzić ani na chwilę. Ale to nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. — Wskazała na gruszkę na sznurze zwisającą nad głową chorego. — W razie potrzeby proszę za to pociągnąć.

— Proszę się o mnie nie martwić. Czuję się zupełnie dobrze. A dobra książka mnie zajmie.

Po wyjściu zakonnicy Michael leżał przez dwie minuty w całkowitym bezruchu, z zamkniętymi oczami. Potem odsłonił prześcieradło i spojrzał na swoje bezużyteczne nogi. Był ubrany w luźną koszulę zawiązywaną z tyłu. Podniósł po głowę i długo patrzył na nogi i leżącą obok nich kartkę. Przełożył ją na stolik obok karafki z wodą. Zsunął się z łóżka na ziemię i przez pół minuty leżał, zbierając siły. Udało mu się obrócić na brzuch.

Centymetr po centymetrze czołgał się po dywanie w stronę okna, podpierając się prawym łokciem. Ból promieniujący z lewego ramienia zapierał mu dech. Miał wrażenie, że ta wędrówka trwa wieczność. Wreszcie dotarł do celu. Podciągnął się i prawą ręką uchwycił się parapetu. Miał bardzo silne, wyrobione mięśnie rąk dzięki uprawianiu gimnastyki, niemniej teraz potrzebował wszystkich sił, by dźwignąć na parapet korpus i bezużyteczne nogi. Paroksyzmy bólu przenikały całe jego ciało niczym prąd wysokiego napięcia. Udało mu się wreszcie wciągnąć na parapet klatkę piersiową. Legł na niej i prawą ręką wciągał się dalej. Zobaczył starannie utrzymany ogród szpitalny. Trawniki, drzewa, klomby pełne kwiatów. Głowę i część klatki piersiowej miał już za oknem. Rozejrzał się. Jego izolotka i inne pojedyncze pokoje były na najwyższym, czwartym piętrze. W dole biegła alejka wyłożona kamiennymi płytami. Przez minutę wpatrywał się w nią. Potem mruknął coś po maltańsku i ostatnim wysiłkiem wypchnął się za okno.

* * *

Ruby pchała inwalidzki wózek, patrząc na numery pokoi. Gloria pierwsza go dostrzegła i wskazała palcem.

— Tutaj. Dwunastka.

Zapukała. Nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnęła klamkę i na oścież otworzyła drzwi. Powróciła do wózka i wtoczyła go do pokoju. Łóżko było puste.

Zza okna dobiegały krzyki. Ruby podeszła doń i wyjrzała na zewnątrz. W dole na alejce zobaczyła białą plamę, wokół której zbierali się ludzie.

— O mój Boże! — wykrzyknęła, obracając się w kierunku Glorii. Jej wózek stał teraz w pobliżu nocnego stolika, a Gloria czytała trzymaną w ręku kartkę. W pewnej chwili wypadła z jej bezwładnych palców. Stara kobieta zasłoniła twarz dłońmi i załkała.

Ruby podniosła kartkę z ziemi i zaczęła czytać:

Droga Juliet i Creasy,

Nie miejcie pretensji do zakonnicy. Musiałem ją oszukać.

Wiedziałem, że twoja obietnica, Creasy, będzie pierwszą, której nie dotrzymasz. Nie potrafiłbyś tego zrobić, a ja nigdy nie zmieniłbym postanowienia. Obserwowałem tę kobietę w inwalidzkim fotelu, zgorzkniałą i pokreconą psychicznie, która przez cały czas odgrywa się na innych, i pomyślałem sobie, że nigdy takim nie chcę zostać.

Niewiele lat przeżyłem, ale były to dobre lata, lepsze, niż kiedykolwiek mogłem marzyć. To były lata w prezencie od ciebie, Creasy. A ty, Juliet, przeżywaj za mnie moje życie.

Michael

31

Po wyjściu z Land-rovera szedł przez dwie godziny. Był ubrany w długie spodnie khaki i popielatą koszulę. Nie miał żadnej broni. Od strony południowej wszedł na teren Matopos, niewielkiego rezerwatu zwierzyny, w pobliżu Bulawayo. Był dość daleko od jego północnej części, odwiedzanej czasami przez przypadkowych turystów. Nie było tu dróg ani wytyczonych szlaków, ot po prostu afrykańskie dzikie odludzie i jego mieszkańcy. Mijał stada kudu, impali i zebr. Już z daleka dostrzegł bawoły i skrzętnie je ominął. Były tu również hieny, dzikie psy i guźce. Szedł niemalże mechanicznie, jakby prowadzony przez autopilota. Szedł już tędy kiedyś. Przed bardzo wielu laty.

Niezwykły był to krajobraz: teren falisty, łagodne pagórki upstrzone potężnymi głazami, z których niejeden wydawał się większy od sporej kamieniczki, a inne spoczywały jeden na drugim, niby w trwającej wieczność sztuczce cyrkowych siłaczy. Na północ znajdował się grobowiec Cecila Rhodesa, który walczył przeciwko Matabele, chcąc im odebrać ziemię. I wreszcie wyprowadził ich w pole. Matopos przypominało boski plac gier, kiedy to siódmego dnia Stwórca zabawiał się, rzucając swojej miary kamykami.

Przed samym zachodem słońca Creasy dotarł do jeziora. Podczas samotnej wędrówki wielokrotnie przystawał i nasłuchiwał. Był pewien, że w promieniu dwu kilometrów nie ma żywej ludzkiej duszy. Idąc tak, odnosił nieodparte wrażenie, że wszystkie zwierzęta rozpoznają go i akceptują. Znalazł płaską polankę wokół drzewa mopani i przez pół godziny zbierał suche gałęzie. Zewsząd dochodziły odgłosy stapań zwierzyny wędrującej do wodopoju. Szły lekliwe impale, ostrożne kudu i smukłe żyrafy, które musiały szeroko rozstawiać przednie kończyny, aby pyskami sięgnąć wody. Była to zhierarchizowana parada. Każdy gatunek, widziany instynktem, znał swoje miejsce. Godzinę wcześniej Creasy natknął się na stado uczujących lwów.

W Matopos było niewiele lwów i musiał tu funkcjonować jakiś przedziwny telegraf buszu, który obwieścił wszem wobec, że przez kilka dni inne zwierzęta mogą czuć się bezpieczne, póki lwy znów nie poczują się głodne i nie ruszą na łowy.

Gdy zaszło słońce, Creasy rozpałił ognisko. Za plecami zgromadził dość su-

chego drewna, aby móc utrzymać ogień przez całą noc. Przyciągnął znaną kłodę i usiadł naprzeciwko płomieni. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął płaską flaszkę, z kieszeni bocznej kawałek *biltongu*. Zwierzęta opuszczały brzeg jeziora, idąc na nocny spoczynek. Creasy żuł *biltong* i popijał wodą z flaszki.

Wzmogły się nocne odgłosy. Wysiadujące jaja ptactwo przygotowywało się na okolicznych drzewach do nocy, wymieniając ostatniej plotki dnia. Wszędzie rozlegały się tajemnicze szmery, szepty i bzykania owadów, pochrząkiwanie guźców. Gdzieś bardzo daleko chichotała hiena, a jeszcze dalej ryczał lew. Nad ogniem pojawiały się czarne zjawy — nietoperze i znikwały po uszczknięciu czego się da z insektovej chmary zwabionej jasnością płomieni.

Creasy usiłował zapanować nad bólem, jaki go rozsadzał. W towarzystwie innych łatwiej było okazywać siłę i ukryć emocje. Przyszedł do Matapos porozmawiać z Bogiem, którego nie potrafił zrozumieć. Z tym Bogiem, który odebrał życie Michaelowi, a pozostawił je jemu. Rozglądał się w gęstniejącym mroku i zadawał sobie pytanie, jak to może być, że Bóg stwarza taki raj, a jednocześnie, jakże często, zezwala na niezasłużoną śmierć i cierpienie. Przez całe życie zastanawiał się nad tą zagadką.

Wydawało się, że tu, w Matapos, Bóg nie ma nic do roboty i właściwie nie odgrywa żadnej roli. Jedyne natura decydowała, kto ma żyć, a kto zginąć. Selekcja była prosta. I nikt nie musiał wskazywać palcem na ofiarę. Lew, jaguar czy gepard polowali wiedzeni instynktem. Nie było w tym ani chęci wyrządzenia krzywdy, ani planowania. Była to po prostu wyprawa po posiłek.

Lwy pojawiły się po dwu godzinach. Cztery: trzy samice i czarnogrzywy samiec. Creasy rozpoznał samca. Widział go już po drodze, kiedy się pożywiał, a samice czekały na swoją kolej.

Jak to czynią wszystkie koty, lwy pojawiły się z ciekawości. Były najedzone. Zbliżyły się do ognia powoli, ale bez strachu. Legły na ziemi i z zainteresowaniem przyglądały się Creasy'emu, który siedział po drugiej stronie ogniska. Creasy patrzył na nie. Znajdowały się w odległości dwudziestu metrów. Ogień przygasał. Sięgnął za siebie i wziął kilka gałęzi, które dołożył na żarzące jasno patyki. Jedna z samic obróciła się na bok, wystawiając rozdęty brzuch ku ciepłu ogniska.

Samiec leżał na przednich łapach, czujny. Łyskające żółte oczy bacznie obserwowały Creasy'ego. W czasie następnej godziny pozostałe dwie samice też przysunęły się bliżej ognia i zasnęły na boku. Czarnogrzywy siedział w tej samej pozycji, bez ruchu. Podobnie jak Creasy, który pozwalał sobie tylko na dokładanie od czasu do czasu gałęzi na ogień. Minęła jeszcze jedna godzina, podczas której Creasy prowadził dyskusję sam ze sobą. Czasami brał do ust kawałek *biltongu* i popijał wodą. Wreszcie Creasy zsunął się ze zmurszałego siedziska, ułożył na ziemi, złożył ręce na piersiach i na pół zasnął. Czarnogrzywy opuścił łeb i zamknął oczy.

Szmery nocy nie ucichły. Przed wschodem dołączył nowy dźwięk, podobne do

kaszlu chrząkanie hieny, gdzieś zza pleców Creasy'ego, który natychmiast otworzył oczy.

Nim zdążył obrócić głowę, lwi samiec podniósł łeb i spojrział w mrok za ogniskiem. Wstał, obszedł dokoła ogień i zatrzymał się nie dalej niż siedem metrów od człowieka. Wciągnął głęboko powietrze i zaryczał. Od tysiącleci ten ryk był postrachem Afryki.

Do uszu Creasy'ego dotarł odgłos szybkiej ucieczki zwierzęcia. Samice po drugiej stronie ogniska podniosły łby. Posłuchały i legły z powrotem, by dalej spać. Czarnogrzywy majestatycznie powrócił na swoje miejsce. Ułożył się i zasnął. Ogień prawie już wygasł. Creasy wstał, przeciągnął się, wypił resztę wody i zaczął zasypywać czerwieniejący żar ziemią. Na horyzoncie pojawiła się jutrzienka. Creasy ruszył w drogę powrotną do Land-rovera odległego o dwie godziny marszu. Po stu metrach stanął i obejrzał się. Lwice jeszcze spały, natomiast samiec siedział i wpatrywał się w Creasy'ego żółtymi ślepiami.

Creasy uczynił coś, czego nie zrobił od lat: wyprostował się jak struna i zasalutował. Następnie obrócił się na pięcie i odszedł.

* * *

Gdy minął kępę zarośli, zza spiętrzonych głazów, sto pięćdziesiąt metrów od wygaszonego ogniska wychynęła sylwetka mężczyzny.

Po wielu godzinach Maxie MacDonald mógł wreszcie zabezpieczyć sztucer. A następnie, stąpając bezszelestnie, ruszył śladem przyjaciela, który opuszczał Matapos tą samą drogą, którą tu przyszedł.

KSIEGA DRUGA

Na Gozo podczas pogrzebów obowiązuje na zakończenie osobliwy rytuał. Obecni na żałobnej mszy mężczyźni defilują wzdłuż nawy i obchodzą trumnę. Oddalając się od niej całują swój prawy kciuk. Następnie zwracają z opuszczonymi rękami i przechodząc koło trumny dotykają jej pocałowanym przez siebie kciukiem.

Mszę odprawiał ojciec Manuel Zarafa. Creasy siedział w pierwszym rzędzie, obejmując ramieniem Juliet. Dalej siedział Guido, a obok niego rodzina Schembri. Kościół Marii Panny z Loretto, uczepony skały nad portem Mgarr, był pełen ludzi przybyłych nie tylko, by pożegnać Michaela, lecz z szacunku dla Creasy'ego, znanego wszystkim na wyspie po prostu jako *Uomo* — Mężczyzna.

Creasy przyglądał się twarzom mężczyzn defilujących wokół trumny. Znał ich wszystkich, rozpoznawał twarze, choć nie pamiętał nazwisk. Byli tu w istocie wszyscy, od bardzo starych do nastoletnich chłopców. Tradycyjna parada wokół trumny wydawała się trwać wieczność. W pewnej chwili Creasy aż się zachłysnął ze zdumienia. Ujrzał twarz Franka Millera, który tylko rzucił mu krótkie spojrzenie i poszedł dalej. Nie była to jedyna niespodzianka: niemalże tuż za Millerem pojawił się Rene Callard, potem Jens Jensen i Sowa. Ostatni szedł Maxie. Paul i Joey Schembri, po okrążeniu trumny i przejściu wzdłuż nawy, zatrzymali się przy wyjściu z kościoła.

Wewnątrz było już znacznie luźniej. Większość wyszła. Pozostała grupka najbliższych przyjaciół, nowo przybyli czekający przy wejściu i oczywiście ojciec Zarafa. Pojawiło się sześciu młodych mężczyzn mających nieść trumnę. Paul Schembri wyszeptał coś do Guido, który skinął głową. Paul podszedł do młodzieńców, coś im wyjaśnił, po czym wszyscy wyszli. Wtedy Paul skinął na piątkę czekającą przy drzwiach. Podeszli do trumny i wraz z Joeyem dźwignęli ją na ramiona, i wynieśli z kościoła, zeszli po schodkach w dół i dotarli do karawanu. Creasy szedł za nimi z resztą rodziny Schembri. Korowód zamykał ojciec Zarafa.

Za karawanem jechał długi sznur samochodów. Droga na cmentarz nie była daleka. Po krótkiej ceremonii przy grobie Creasy obrócił się do piątki nowo przybyłych.

— Sprawiliście mi niespodziankę — powiedział.

Frank Miller wzruszył ramionami.

— Słyszeliśmy, że po pogrzebie ma się odbyć dobra stypa. — Wskazał wzrokiem pozostałych. — Nigdy nie stroniliśmy od przyjęć. — Żaden z nich nie wypowiedział słowa kondolencji do Creasy'ego czy Juliet. Nie należeli do ludzi, którzy używają słów tam, gdzie wystarczy gest.

Lucy Kwok nie mogła wprost w to uwierzyć. Stała na patio z kieliszkiem białego wina w dłoni i patrzyła na rozściełające się u jej stóp miasteczko Gozo, a za nim morze. Był dopiero wczesny wieczór. Jako stewardesa wiele podróżowała i dużo widziała. Ale to, co ujrzała tutaj, było trudne do objęcia rozumem. Podczas mszy żałobnej stała w głębi kościoła. Chociaż była katoliczką i znała wiele kościołów, podobnego bogactwa jak tu nie widziała nigdzie, chyba w Watykanie. Wszystko wyłożone: okapujące złotem figury świętych, obwieszane złotymi dewocjonaliami złożone ściany. Wszędzie pełno drogocennych kamieni, ciężkie lichtarze ze srebra na ołtarzu. A przecież patrząc na tych ludzi w kościele nie odnosiło się wrażenia, że należą do bogatych.

Za sobą słyszała gwar rozmów i śmiech. Odwróciła się i przyglądała gromadzie czterdziestu kilku osób, które po uroczystości pogrzebowej na cmentarzu przyszły tu do domu. Było wśród nich dwóch księży. Obaj ze szklankami w rękę, świetnie się bawili. Na trawniku rozstawiono grill, którym opiekował się Creasy. Otaczało go pięciu mężczyzn przybyłych do kościoła już po mszy. Dawali mu dobroduszne rady, a całe ich zachowanie dalekie było od żałobnego smutku. Wystawiony przez kuchenne drzwi stół służył jako bar, obsługiwany z wielkim zapalem przez młodego mieszkańca Gozo.

Lucy spojrzała na Creasy'ego, a myśli jej powróciły do dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go na lotnisku w Bulawayo podczas załadowywania trumny ze zwłokami Michaela do samolotu pani Manners. Z miejsca zrobił na niej olbrzymie wrażenie. Z początku wydawało się jej, że ma obojętną twarz i że właściwie nic go to wszystko nie obchodzi. Dopiero, gdy zobaczyła jego oczy, dostała po prostu gęsiej skórki dostrzegając w nich palącą nienawiść.

Natychmiast po starcie Creasy usiadł naprzeciwko niej. Próbowwała wybąkać jakieś słowa współczucia i kondolencji. Powstrzymał ją ruchem dłoni.

— To już jest przeszłość, panno Kwok. Skończyło się. John Ndlovu powiedział mi, po co pani przyleciała do Zimbabwe. Wiem, co spotkało pani rodzinę w Hongkongu. Z pewnością istnieje związek między tymi wydarzeniami i chciałbym, żeby mi pani wszystko szczegółowo opowiedziała. Jestem przekonany, że zabójca mojego syna otrzymywał rozkazy z Hongkongu. Chcę wiedzieć, kto te

rozkazy wydawał.

Przez następne dwie godziny ona mu opowiadała, a on zadawał pytania. I w ciągu tych dwu godzin poczuła rodzącą się między nimi więź. Uświadamiała sobie również, że oboje posiadają wspólne cechy charakteru. Oboje boleli nad śmiercią bliskich im osób, choć nie dawali tego poznać otoczeniu. Wreszcie Creasy zauważył, że dziewczynie zamykają się oczy i polecił przygotować dla niej posłanie w jednej z kabin.

Teraz jej wzrok powrócił na tłumek rozbawionych uczestników stypy. Zobaczyła, że Juliet odrywa się od reszty i idzie w jej kierunku.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedziała do Lucy. — Nie czuj się w obowiązku pozostawania do końca. Zniknij po prostu, połóż się, jeśli masz ochotę. Miałaś długą podróż.

— To prawda, ale w luksusowych warunkach. Prawie cały czas spałam. A poza tym nie było zmiany strefy czasowej. Ty też wydajesz się bardzo zmęczona, Juliet. Ponadto leciałaś z zachodu na wschód. To sześciogodzinna zmiana czasu. I chyba wcale nie spałaś?

— Nie spałam. Nie mogłam zasnąć. Wiem, że jak się wreszcie położę, to będę chyba spała przez dwadzieścia cztery godziny.

— Mam duże doświadczenie ze zmianą czasu — powiedziała Lucy. — Trzeba maksymalnie długo pozostawać na nogach. I nie pić alkoholu. Człowiek budzi się przeważnie po sześciu godzinach. Potem znowu nie wolno się kłaść, możliwie jak najdłużej. Wówczas, po kolejnym śnie, wszystkie objawy zmęczenia mijają.

— Wtedy będę już w drodze powrotnej do Denver, zarabiając na nowe zmęczenie — roześmiała się Juliet. — Szerokim spojrzeniem obrzuciła gości. — Musi ci się to wydawać bardzo dziwne. Macie stypy i podobne przyjęcia po pogrzebie?

— Nie. Wszystko tu jest bardzo dziwne. Na przykład taki bogaty kościół na wyspie, która wydaje mi się biedna. To wielkie przyjęcie, podczas którego wszyscy się śmieją i żartują. . .

— Po pierwsze, to nie jest biedna wyspa — wyjaśniła Juliet. — Jej mieszkańcy natomiast są niesłychanie religijni. Jeszcze przed dziesięcioma laty spotkać można było rodziny z piętnaściorgiem dzieci. Wyspa stała się przeludniona. Ponieważ głównymi zajęciami było rolnictwo i rybołówstwo, brakowało dla wielu pracy. Młodzi ludzie zaczęli emigrować do Stanów, Kanady i Australii. Ciężko pracowali, a pieniądze odsyłali do domu. Wielu też na starość tu powróciło. Wbrew pozorom to jest zamożna społeczność. Jeśli idzie natomiast o dzisiejsze przyjęcie, to nie jest ono typowe dla Gozo. Tu żałoba po śmierci bliskiego trwa długo. Ta tradycja styp przyszła z Irlandii. Chodzi o uczczenie życia zmarłego, a nie śmierci, która po tym życiu nastąpiła. Zwyczaj ten utrzymał się po najemniczych wojnach w Afryce, został przyswojony przez najemników obchodzących śmierć kolegi podczas walki. Oni — wskazała na gości — tak naprawdę zaczęły się bawić po zapadnięciu zmroku i nie przerwały do północy.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Jeszcze jesteś taka młoda — powiedziała Lucy.

— Jestem po raz pierwszy na stypie i na pogrzebie, ale słyszałam rozmowy najemników. Kiedy najemnik ginie podczas jakiejś eksplozji, zwłaszcza jeśli jest przy tym dużo płomieni, to nazywają to „pogrzebem w technikolorze”. Kiedy najemnik ginie w wypadku, mówią o „pogrzebie SP”, czyli spieprzony pogrzeb. Najemnicy mają swój żargon i cały rytuał. Za dziesięć lat wszystkie te obyczaje z pewnością wyginą. Koniec epoki najemników.

— Myślisz, że nie będzie już najemników?

— Będą, ale ich epoka minie. Najemnicy będą zawsze, póki ludzie będą toczyć wojny. Ale to nowe pokolenie jest zupełnie inne. Powiedz mi, Lucy, jak to wszystko przyjęła pani Manners?

— Bardzo źle... Znasz treść listu zostawionego przez Michaela?

— Tak, Creasy mi powtórzył.

— Lecieliśmy z nią jej samolotem, ale nie odezwała się do nikogo nawet słowem. Przez dziewięć godzin lotu nic nie jadła. Tkwiła prawie przez cały czas w swojej kabinie. Myślę, że Ruby dała jej jakiś silny środek uspokajający. Kiedy wylądowaliśmy na Malcie, powiedziała kilka słów do Creasy’ego i MacDonalda oraz krótko pożegnała się ze mną. Pewno już wróciła do Stanów.

Juliet westchnęła, potem łyknęła nieco wina z trzymanego w ręku kieliszka i zaproponowała Lucy: — Chodź, przedstawię ci gości.

Lucy ją powstrzymała.

— Najpierw powiedz ogólnie, kto jest kto. Znasz ich wszystkich?

— O, tak! Zaczniemy od tych przy grillu. Maxie i Creasy, już ich znasz. Łysy Australijczyk to Frank Miller. Często pracował z Creasym. Ten przystojny obok, z lekko haczykowanym nosem, brunet, nazywa się Rene Callard. To Belg. Spędził piętnaście lat w Legii Cudzoziemskiej. Kilka razem z Creasym. A później razem z Creasym walczył w Afryce. Ten blondyn po przeciwnej stronie grillu to Jens Jensen, Duńczyk, były policjant. Teraz prowadzi w Kopenhadze prywatne biuro detektywistyczne. Specjalizuje się w odszukiwaniu osób zaginionych. Obok stoi jego wspólnik. Ten niski w okrągłych okularach. Francuz ma przydomek Sowa. Były gangster z Marsylii. Potem został ochroniarzem handlarza bronią, a następnie, chyba przed czterema laty, zaczął pracować z Jensem. Uwielbia muzykę klasyczną. Chyba po raz pierwszy go widzę bez walkmana i słuchawek.

— Bardzo różnią się od siebie ci ludzie — zauważyła Lucy.

— To jeszcze nic. Słuchaj dalej. Ten mężczyzna z bliznami na twarzy, który rozmawia z kobietą w średnim wieku, to Włoch. Guido Arrellio. Najbliższy przyjaciel Creasy’ego. Są jak bracia. Ale nigdy nie zauważysz u nich najmniejszego objawu uczucia, nawet współczucia. Guido też był w Legii Cudzoziemskiej. Razem z Creasym został z niej wyrzucony, kiedy ich pułk zbuntował się pod koniec wojny w Algierii. Pojechali wtedy obaj do Kongo i przez wiele lat razem walczyli... Któregoś dnia przed dziesięciu laty wylądowali na Gozo na kilkudniowy

odpoczynek. Guido zakochał się w recepcjonistce hotelowej. Po kilku tygodniach wziął z nią ślub. Wyjechali do Neapolu, gdzie prowadzili hotelik. Jego żona była córką kobiety, z którą Guido teraz rozmawia.

— Była?

— Tak. Po kilku latach zginęła w wypadku samochodowym. Jej matka nazywa się Laura Schembri, a ojciec, Paul, to ten drobny mężczyzna z ciemnym zarostem, który rozmawia właśnie z księdzem. Młody człowiek obsługujący bar to ich syn, Joey. Żona Joeya, Maria, jest w kuchni i przygotowuje sałatę. Cała rodzina bardzo się przyjaźni z Creasym i ze mną. . . Laura jest chyba jedyną kobietą, która potrafi Creasy'ego skłonić do zrobienia czegoś, czego on nie chce. Wiele ich łączy. Creasy wypowiedział kiedyś wojnę jednej z mafijnych rodzin we Włoszech i został poważnie ranny. Guido zaproponował, żeby przyjechał na Gozo i zamieszkał na farmie Schembrich po drugiej stronie wyspy. Przesiedział tam dwa miesiące. W tym czasie wróciła z Anglii ich córka Nadia, by dojsć do siebie po nieudanym małżeństwie. Nadia i Creasy przeżyli romans i Nadia zaszła w ciążę. Nikomu nic nie powiedziała, a Creasy wrócił do Włoch. Kiedy zakończył sprawę z mafią, wrócił na Gozo i ożenił się z Nadia. Urodziła się im córeczka. Przez kilka lat mieszkali spokojnie w tym domu.

Juliet przerwała, by po chwili wznowić opowieść.

— W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku Nadia z córką wsiadły w Londynie do samolotu, by polecieć do Creasy'ego do Nowego Jorku. Samolot spadł na szkockie miasteczko Lockerbie i wszyscy zginęli. Bomba. — Zamilkła.

Lucy patrzyła na Creasy'ego.

— Śmierć krąży wokół tego człowieka. — Spojrzała na Juliet, która miała rozpaczliwie smutną twarz.

— To jeszcze nie koniec. . . — powiedziała po chwili Juliet.

— O czym ty mówisz?

— Za kilka dni Creasy leci do Hongkongu. . . Znowu zginą ludzie. . .

— On ci to powiedział? Że leci?

— Nie. Ale go znam. Nie spocznie, póki nie ukarze ludzi, którzy są winni śmierci jego syna. — Wzdrygnęła się, potem wyprostowała i już lżejszym tonem zaczęła opisywać pozostałych gości. Wszyscy młodzi byli przyjaciółmi Michaela, starsi — Creasy'ego.

* * *

Telefon zadzwonił godzinę później. Właśnie jedli przy wystawionych przed

kuchnię stołach. Creasy spojrzął na Juliet, która natychmiast wstała i poszła odebrać. Po chwili zawołała z drzwi kuchni: — Creasy, do ciebie. Dzwoni Jim Grainger z Denver.

Creasy otarł usta papierową serwetką i poszedł do kuchni. Wrócił po piętnastu minutach. Gdy znowu zajął miejsce przy stole, powiedział do Maxiego: — Gloria Manners nie wróciła do Denver.

— Dokąd poleciała?

— Donikąd. *Gulfstream* nie wystartował. Pani Manners przebywa w apartamencie hotelu „L’Imgar Bay” w Gozo.

— Dlaczego została? — spytała Lucy Kwok.

— Nie wiem. Ale chce ze mną rozmawiać.

— Pójdiesz do niej? — spytał Maxie.

— Tak. Zobaczą się z nią jutro rano.

— Po co chcesz się z nią w ogóle widzieć? — nalegała Juliet. — Po tym wszystkim co wydarzyło się w Zimbabwie...

Creasy wziął nóż i widelec.

— Zobaczą się z nią, ponieważ prosił mnie o to Jim Grainger. Prosił, żebym mu oddał tę osobistą przysługę. Wiesz dobrze, Juliet, że on oddał mi wiele przysług. Opiekuje się tobą w Stanach...

— Tak, ale...

— Tu nie ma żadnego ale.

34

Creasy wszedł do hotelowego holu tuż po dziesiątej rano. Był w paskudnym humorze. Stypa przeciągnęła się do świtu, za dużo wypił, bolała go głowa.

Kiedy zbliżał się do recepcji, od obsiadłego przez grupkę osób stolika w głębi wstał mężczyzna z ciemnym wąsikiem, podszedł do Creasy'ego od tyłu i dotknął jego ramienia. Creasy znał go od wielu lat. Był to dyrektor hotelu, a to dotknięcie miało zastąpić słowa kondolencji.

— Masz tu panią Manners? — spytał Creasy.

— Apartament 105.

— Kiedy przyleciała?

— Wczoraj rano.

— Sprawa kłopoty?

— Najmniejszych. Wprost odwrotnie. Je posiłki u siebie w towarzystwie pielęgniarki, personel mówi, że jest bardzo uprzejma i daje duże napiwki.

— Jest teraz u siebie?

Dyrektor zwrócił się do recepcjonistki: — Stopiątka u siebie?

— Tak jest, *sir*. Nie opuszczała apartamentu od chwili przybycia.

— Będę u niej przez jakieś dwadzieścia minut. Pamiętasz to lekarstwo na kaca, które polecałeś mi przed laty?

Dyrektor hotelu uśmiechnął się pod wąsem.

— Pamiętam. Mam ci je przysłać na górę?

— Zarobisz na moją dozgonną wdzięczność.

Apartament 105 znajdował się na końcu korytarza. Creasy zapukał. Drzwi otworzyła Ruby. Na jej twarzy malował się niepokój.

— Cześć, Ruby!

— Cześć, Creasy! Wejdz. Zaraz ci zrobię kawę. A może chcesz coś innego?

— Nie, dziękuję. Przyślą mi z dołu to, o co prosiłem. — Wszedł do salonu i przez rozsunięte drzwi balkonowe zobaczył panią Manners, siedzącą w swoim fotelu tuż przy balustradzie. Wszedł na balkon, przyciągnął sobie ogrodowe krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Hotel stał na skraju skały dominującej nad portem. Podobnie jak i z jego domu roztaczał się stąd wspaniały widok.

Z progu salonu Ruby spytała: — Czy coś pani podać, pani Manners?

— Mnie nie, bardzo dziękuję... ale może Creasy...?

— Ja już zamówiłem sobie coś specjalnego. Przyniosą z dołu — odparł Creasy.

Ruby zniknęła w głębi apartamentu.

Creasy zdziwiony słuchał, jak Gloria Manners zupełnie innym niż zwykła tonem odpowiadała Ruby. Jakby uleciała z niej życiowa energia. I nie było w jej głosie owej przykrej burkliwości. Wyraźnie się postarzała. Bruzdy na jej twarzy były wyraźniejsze, oczy zapadłe.

— Myślałem, że już od dawna jest pani w Denver... — zaczął rozmowę Creasy.

— Nie miałam zamiaru wracać do Denver przed porozumieniem się z panem. A nie chciałam panu zawracać głowy przed pogrzebem Michaela. Przykro mi tylko, że musiałam raz jeszcze wyrzucić presję na Jima Graingera, by mi zorganizował nasze spotkanie.

— Po co pani tu przyjechała?

Gloria przez chwilę zbierała myśli.

— Z paru powodów. Po pierwsze, chcę wyrazić wielki żal, że stałam się przyczyną śmierci Michaela. Podwójną. Najpierw dlatego, że wynajęłam was, a następnie, że służyłam złym przykładem, wiodąc na tym wózku inwalidzkim życie takie, jakie wiodłam.

Creasy patrzył pani Manners prosto w oczy.

— Nie jest pani przyczyną śmierci Michaela. Powiedziałbym to już w samolocie, gdy wracaliśmy z Zimbabwe, ale pani przez prawie cały czas spała, co w pełni rozumiem. Miałem zresztą do pani napisać w najbliższym czasie. Nie chcę, aby miała pani poczucie winy. Michael zmarł z dwu powodów: jednym byłam ja, drugim jest pewien człowiek w Hongkongu.

— Czytałam przecież pozostawiony przez Michaela list.

— To był jedynie wykręt.

— Wykręt?

— Tak, jedynie wykręt. Wytłumaczenie własnej słabości.

Gloria Manners patrzyła nic nie rozumiejąc.

— Adoptowałem Michaela — rozpoczął Creasy. — Wziąłem go z sierocińca kilometr stąd. Miał wówczas siedemnaście lat. Wyszkołem i chciałem uformować na swoje podobieństwo. Czyniłem to dla konkretnego celu. Michael był fizycznie silny, inteligentny, wyuczony do specjalnych zadań. Kochałem go tak, jak ojciec kocha własnego syna. Ale popełniłem błąd chcąc, aby był podobny do mnie, aby polubił mój styl życia. No i tylko takie życie rozumiał. Kiedy został sparaliżowany, uświadomił sobie, że takiego życia już nigdy nie będzie mógł prowadzić, gdyż tylko od pasa w górę jest sprawny. To oczywiste, że mógłby prowadzić pożyteczne życie. Tu na wyspie mieszka człowiek podobnie unieruchomiony po wypadku samochodowym. Zdarzyło się to, kiedy był bardzo młody. Zbudował

sobie nowe życie. W ubiegłym roku uczestniczył w olimpiadzie dla niepełnosprawnych i zdobył brązowy medal. Michael znał go bardzo dobrze. I podziwiał. Ale z powodu tego stylu życia, do jakiego przyuczyłem Michaela, nie widział siebie w roli inwalidy. I w żadnej innej roli. Już w szpitalu w Bulawayo prosił, abym mu pomógł umrzeć. Innymi słowy prosił, abym go zabił. Umówiliśmy się, że poczeka trzy miesiące. Jeśli po tym czasie nie zmieni zdania, to mu pomogę. Tak powiedziałem. Obiecałem mu to. Ale on mi nie uwierzył.

Gloria Manners przez cały czas wpatrywała się w morze.

— Zrobiłby pan to? — spytała po chwili.

— Tak.

— Zdobyłby się pan na to?

— Tak.

Do portu zawijał prom pełen jednodniowych wycieczkowiczów. Zabrzmiała syrena, pani Manners chciała zadać następnie pytanie i już otwierała usta, ale pojawił się kelner z tacką i szklanką pełną rubinowego płynu. Podał Creasy'emu, złożył zwyczajowe kondolencje szturchając go lekko w ramię, poklepaniem bowiem nie można było tego nazwać, i odszedł. Creasy duszkiem wypił całą zawartość szklanki.

— Przed mniej więcej dziesięciu laty byłem tu na ślubie w innym hotelu — zaczął opowiadać Creasy. — Wypiłem za dużo szampana, a szampan nigdy nie szedł mi na zdrowie. Następnego ranka *maitre d'hotel* spreparował mi drinka, który w pół godziny zlikwidował kaca. Ten *maitre d'hotel* to obecny dyrektor pani hotelu. Idąc tu na górę, poprosiłem go o to samo. Mam nadzieję, że poskutkuje i tym razem.

— I naprawdę zabiłby pan Michaela po trzech miesiącach? Gdyby o to poprosił?

— Zrobiłbym to. Ale po trzech miesiącach nie poprosiłby. Popełniłem jeszcze jeden wielki błąd. Tamtej nocy w Bulawayo powinienem był z nim zostać. I przez kilka następnych nocy. Myślałem, że jest odporniejszy.

— No, a jego list?

Creasy westchnął głęboko.

— Już powiedziałem. To wymówka. Wobec samego siebie. — Wstał. — Droga pani Manners, argumenty zawarte w liście mogły zaważyć w jednym procencie. Michael nie spodziewał się, że list może wpaść w pani ręce. . . Bardzo mi jest przykro, że wpadł. Niech pani wraca spokojnie do Denver bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Zabójcy pani córki zostali ukarani. Nie żyją. Przyczynił się do tego i Michael, o którym proszę zachować dobre wspomnienie. — Odstawił pustą szklankę, zbierając się do wyjścia.

Zatrzymała go słowami: — Bardzo proszę o jeszcze dziesięć minut, panie Creasy. Potem rozejdziemy się każde w swoją stronę.

Widząc błagalne spojrzenie, usiadł z powrotem.

— Czy to, co pan przed chwilą powiedział, miało tylko na celu uspokojenie mojego sumienia?

— Nie. To była prawda. Może pani przeszłość kryje inne powody do wyrzutów sumienia, ale ten nie istnieje. Minionego wieczoru mieliśmy stypę. Zjawili się nieoczekiwanie moi starzy przyjaciele. I Michaela też. Podczas stypy pogrzebaliśmy duszę Michaela. Zamknęliśmy przeszłość.

— Tak łatwo?

— Wcale niełatwo. Za kilka dni lecę do Hongkongu, gdzie pochowam kilka kolejnych dusz. I ciał, w których jeszcze mieszkają. Dopiero potem będę mógł spać spokojnie.

Bacznie mu się przyglądała i pod maską spokoju dostrzegła wielki ból.

— Właśnie o Hongkongu chciałam z panem porozmawiać.

— O Hongkongu?

— Przez ostatnie dwa dni w Bulawayo nie miał pan oczywiście na to głowy i czasu. Ale czy miał pan okazję przeczytać raport szefa policji Ndlovu na temat Beckerów?

— Jeszcze nie. Mam kopię. Przeczytam w najbliższym czasie.

— Ja przeczytałam uważnie i potem nawet rozmawiałam na ten temat z Ndlovu. Większość faktów pochodzi z dokumentów, które pan znalazł w sejfie Beckera. Z raportu wynikają trzy wnioski: po pierwsze, Becker wykonywał polecenia otrzymywane z Hongkongu najprawdopodobniej od triady 14K. Tak podejrzewa policja, choć brak jej dowodów. Po drugie, do wydania wyroku śmierci na moją córkę i Cliffa Coppena, a także na rodzinę Lucy Kwok w Hongkongu, no i pośrednio na Michaela, przyczyniła się przypadkowa uwaga rzucona przez Carole podczas przyjęcia w Harrare.

— Przypadkowa uwaga?

— Może nie tyle przypadkowa, co w chęci popisania się. Rozmowa dotyczyła czarnych nosorożców. Carole powiedziała, że jej przyjaciel współpracuje z wybitnym chińskim naukowcem, który dowiódł, że sproszkowany róg tego nosorożca jest bezwartościowy i wcale nie zwiększa męskiej potencji, jak dotychczas twierdzono, zawiera natomiast substancję rakotwórczą. Okazuje się, że człowiekiem, któremu to powiedziała, był wspólnik Rolpha Beckera. No i natychmiast go o tym powiadomił. I po trzecie, John Ndlovu rozmawiał z wyższym oficerem policji w Hongkongu, który mu powiedział, że chociaż policja wie, że za zamordowaniem rodziny Lucy Kwok kryje się triada 14K, brak jest dowodów, by wszcząć postępowanie przeciwko jej przywódcom.

— Tak zawsze bywa. Brak dowodów. Dlatego właśnie lecę do Hongkongu.

— Sam?

— Tak, sam.

Gloria Manners zauważyła, że Creasy zaczął się pocić. Po chwili wyjął chustkę i otarł czoło. Spojrzała na pustą szklanke.

— Tym razem to lekarstwo na kaca jakoś się nie sprawdza. Czuję się gorzej niż przedtem.

— Już nie będę pana długo zatrzymywała. Chcę jeszcze pana o coś zapytać. Ale proszę nie odpowiadać od razu. Proszę to przemyśleć przez dzień lub dwa.

— Słucham.

— Chcę nadal uczestniczyć w operacji... w Hongkongu. Nie będę w niczym przeszkadzać, nie będę wydawała rozkazów i wymachiwała magicznymi różdżkami. Chcę po prostu asystować, być do końca. Nie chcę wracać do Denver, nie znając dalszego rozwoju wypadków.

Creasy próbował coś powiedzieć, ale przerwała mu: — Panie Creasy, bardzo proszę, jeszcze dwie minuty. Niech pan zrozumie: okazało się, że to moja córka spowodowała łańcuch tragicznych wydarzeń. Nieświadomie, oczywiście, ale to ją obciąża. Zapłaciła za to życiem, zapłacili też inni. Chcę nadal finansować całą operację. Bardzo chcę czekać w Hongkongu na rozwój wypadków. Kazałam przygotować dokumentację. Przesłano mi ją faksem. Triady to potężne organizacje, zwłaszcza 14K. Potrzebni panu będą do pomocy ludzie, wielu ludzi. Maxie nie wystarczy.

Creasy powtórnie otarł czoło i wstał.

— Nie muszę zastanawiać się nad odpowiedzią, pani Manners. Mam ją gotową, i brzmi ona: zdecydowanie nie. Jeśli będzie mi potrzebna pomoc, to sam ją opłacę. Pani mi już wszystko bez zwłoki uregulowała i bardzo za to dziękuję. Odchodzę.

— W zielonej teczce na stole leży opracowanie dotyczące triad. Niech pan to sobie weźmie — powiedziała pani Manners. — Zostanę tu jeszcze trzy dni na wypadek, gdyby pan zmienił zdanie.

— Może pani zostawać, jak długo pani chce. Jest pani w wolnym kraju. — Przeszedł do saloniku. Zielona teczka była bardzo gruba. Chwilę się zastanawiał, wreszcie ją wziął. Przejrzy i jutro odeśle.

* * *

W drodze powrotnej przestał się pocić, ale mimo upału poczuł nagły chłód. Kierowany impulsem skręcił do wioski Xewkija, gdzie mieszkał jego lekarz.

Gdy pielęgniarka wprowadziła go do gabinetu, zaczął od przeprosin: — Przykro mi, Stephen, że cię zanudzam, ale chyba mam gorączkę. To może być malaria.

Doktor wskazał mu krzesło.

— Gdzie byłeś ostatnio? — spytał.

— Właśnie wróciłem z Zimbabwe. Spędziłem kilka dni w dolinie Zambezi.

— Nieustannie mnie zadziwiasz, Creasy. Człowiek o takim doświadczeniu powinien wiedzieć, że na trzy tygodnie przed wyjazdem trzeba profilaktycznie się zaszczepić...

— Wszystko to wiem, tylko że wyjazd nastąpił nagle.

— No cóż, pobierzemy krew do zbadania i jutro ci powiem, co i jak. Chwilowo dam ci lekarstwo... Chyba głupotą byłoby cię zapytać, czy nie zgodziłbyś się spędzić doby w szpitalu?

— Tak, to byłoby niezbyt mądre pytanie. Lepiej będzie mi w domu.

35

Gorączka spadła drugiego dnia. Creasy miał szczęście. Atak malarii nie był groźny. Niemniej Maxie i Guido musieli wielokrotnie zmieniać mu prześcieradła, takie były mokre od potu.

Doszedł szybko do siebie. Kiedy trzeciego dnia rano przyszedł lekarz, Creasy siedział w łóżku, przeglądając teczkę przyniesioną od Glorii.

Lekarz go zbadał i oświadczył stanowczo: — W sumie nieźle, ale jesteś słabszy, niż myślisz. Każdemu innemu po takim ataku malarii kazałbym pozostać w łóżku jeszcze przez sześć dni, ale wiem, że z tobą to beznadziejne. Mimo to musisz mi obiecać, że nie wstaniesz co najmniej przez dwa dni, a przez następne kilka nie będziesz się niczym zajmował.

Po wyjściu lekarza wszedł do pokoju Maxie.

— Jak się czujesz?

— Świetnie.

— Lekarz powiedział mi, że masz się nie ruszać z łóżka przez czterdzieści osiem godzin. Choć raz dla odmiany posłuchaj.

Creasy zamknął teczkę.

— Jakie masz plany?

— Jutro wracam do domu. Na dwa tygodnie zamykam bistro i za pieniądze pani Manners zabieram Nicole i Lucette na luksusowe wakacje. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Nicole przez telefon. Powiedziała mi, że Lucette jest załamana śmiercią Michaela.

Pojawił się Guido i, po kilku pytaniach dotyczących zdrowia Creasy'ego, zwrócił się do Maxiego: — Dzwoniła Laura i zaprasza na lunch. Przygotowała potrawkę z królika, a takiej uczyty nie wolno opuszczać.

— Przynieś mi trochę, Maxie — poprosił Creasy. — Przygotowała na pewno na zapas. Jak zawsze, i weź tę teczkę, Maxie. Po drodze oddaj pani Manners w hotelu i przy okazji powiedz, że nie zmieniłem zdania.

— Co to jest?

— Ogólne informacje na temat triad w Hongkongu. Pożegnaj ją w moim imieniu.

* * *

Gdy po pół godzinie do sypialni weszła Juliet z kubkiem gorącej zupy, Creasy mocno spał. Przez parę minut przyglądała się jego twarzy, potem cichutko wyszła wraz z zupą.

Creasy obudził się dopiero po południu. Wypił trochę wody z karafki przy łóżku, spuścił nogi chcąc iść do łazienki i dopiero wtedy zorientował się, jaki jest słaby. Szedł ostrożnie chwiejąc się po kamiennej podłodze. Tuż za drzwiami natknął się na wracających Guido i Maxie. Wtedy wyprostował się, chcąc pokazać, że nic mu nie jest, i omal nie upadł. Guido chwycił go pod ramię i odprowadził do łóżka.

— Jak tam królik? — spytał Creasy.

— Był taki dobry, że dla ciebie nic nie zostało.

Usiedli obaj w nogach łóżka.

— Przyszliśmy z tobą pogadać — zaczął Guido.

— Na jaki temat?

— Hongkongu.

— Słucham.

— Nie odnieśliśmy od razu teczki. Dopiero po lunchu, i przedtem wszystko przeczytaliśmy. Wiemy już, że triady są niesłychanie potężnymi organizacjami. Skądinąd wiemy, że zaraz po wylizaniu się z malarii zamierzasz lecieć do Hongkongu, żeby załatwić tego szefa 14K. Kiedy Maxie oddawał teczkę pani Manners, dowiedział się, że złożyła ci propozycję sfinansowania operacji załatwienia szefa 14K.

— Powiedziała nam również, że jej córka ponosi winę, bo zbyt dużo w niepotrzebnym miejscu i do niewłaściwej osoby gadała — wtrącił Maxie. — Jesteśmy zdania, że powinieneś przyjąć jej ofertę.

— To nie wasza sprawa.

— Owszem, nasza — odparł Guido. — Bardzo lubiliśmy Michaela. Dla mnie był siostrzeńcem. Poza tym już masz trzon doskonałego zespołu operacyjnego.

— I ona oferuje duże pieniądze — dorzucił Maxie.

Creasy obrzucił obu ostrym spojrzeniem.

— Jeśli zdecyduję się kogokolwiek ze sobą zabrać, zapłacę mu z własnej kieszeni.

— A na przykład kogo byś zabrał?

— Może Franka, może Rene. Zostają tu jeszcze przez kilka dni. Będę miał czas się zastanowić i przedstawić im propozycję.

— Creasy, jesteś inteligentnym człowiekiem. — Guido westchnął. — Zazwyczaj. Bo czasami bywasz strasznie głupi, i uparty jak osioł. Frank i Rene oczy-

wiecie pojedą z tobą, ale dobrze wiesz, że nie wezmą od ciebie grosza. Oprócz samych kosztów oczywiście. Oni też bardzo lubili Michaela. I jeśli idzie o pieniądze, to samo dotyczy mnie.

— I mnie — dopowiedział Maxie.

— Myślałem, że wybierasz się na wakacje? — zdziwił się Creasy.

— To żaden problem. Mogę je skrócić do tygodnia. I tak nie będziesz gotów przed upływem siedmiu dni.

— Pod żadnym pozorem dla tej kobiety po raz drugi nie będę pracował. Wykluczone. Tym razem to osobista sprawa — stanowczym głosem odpowiedział Creasy.

— Ona się bardzo zmieniła — stwierdził Maxie. — To już widać z krótkiej rozmowy, jaką z nią odbyliśmy. Ona tylko chce być w Hongkongu. Chce siedzieć w hotelu i prosi o jedno: żeby ją informować.

— Jest jeszcze inny aspekt sprawy — włączył się Guido. — Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Frankiem i Rene. Rynek na usługi najemników jest fatalny. Frank pracuje jako konsultant ochrony w firmie przewozowej, a Rene z konieczności odpoczywa.

— To prawda. Jens i Sowa nie mieli dobrze płatnej roboty od końca ubiegłego roku — dodał Maxie.

Creasy'emu kleiły się oczy. Czuł, że za kilka minut zaśnie. Spojrzał na Guido.

— Wygląda mi to na mały szantaż. A może nawet duży.

— Nie, tak po prostu dyktuje rozsądek — odparł Guido. — Będziesz miał pełną kontrolę nad ekipą. To że w hotelu w inwalidzkim wózku będzie siedziała stara kobieta, nie ma najmniejszego znaczenia i nikomu nie będzie przeszkadzać. Nie musisz nawet jej oglądać czy z nią rozmawiać. Zajmie się tym Maxie.

Creasy miał już oczy zamknięte.

— Zastanowię się nad tym. . . — powiedział szeptem.

* * *

Lucy Kwok spędzała czas nad basenem. Przed chwilą dołączyli do niej Frank Miller i Rene Callard, którzy dopiero co wrócili z połowów, i na patio triumfalnie rozłożyli trofea: dwa malutkie tuńczyki i dwie jeszcze mniejsze lampuki.

Maxie krytycznie obejrzał rybki.

— I to jest wszystko po czterech godzinach łowienia? Więcej kosztowała ropa do diesla. Lepiej wyszlibyście kupując to na targu. . .

— Prawdopodobnie tam właśnie je kupili — stwierdził Guido. — A przez cały czas ganiłi turystki na plaży, więc. . . Kiedy zamierzacie wracać do domu?

— Mamy rezerwacje na poranny lot do Frankfurtu.
— Na waszym miejscu przełożyłbym — powiedział Maxie.
— Jest bardzo dobrze płatna robota — dodał informację Guido. — Dla Jensa i Sowy także.
— Mówisz tak, jakby to już było pewne — próbował powstrzymać go Maxie.
— Bo i jest pewne. Znam Creasy’ego na wylot — oświadczył Guido. — Kiedy się obudzi, zwoła zebranie w swojej sypialni. . . A propos, gdzie są Jens i Sowa?
— Poszli na drinka do baru o nazwie „Gleneagles” — odezwała się Lucy. — Już przed dwiema godzinami.
— Zadzwoń do nich, Maxie — polecił Guido. — Powiedz, żeby wrócili względnie trzeźwi. I proponuję, abyś zadzwonił także do pani Manners i zapowiedział jej, żeby nie opuszczała Gozo, póki nie skomunikuje się z nią Creasy. Najprawdopodobniej uczyni to dziś wieczorem.

36

Juliet siedziała zamyślona w nogach łóżka.

— Nie potrafię znieść tej mentalności, tego kultu. . .

Creasy podniósł głowę znad kubka z zupą.

— O jakiej mentalności, o jakim kulcie mówisz?

— Mentalność zemsty. Niemalże kult zemsty. Koło śmierci. Raczej krąg. A ty tkwisz w samym środku. Kult ciągłego mszczenia się. Gloria Manners mści się za śmierć córki, Lucy za zamordowanie jej rodziny, ty za Michaela. . .

Spojrzał na nią przeciągle.

— Daj spokój, dziewczyno, nie serwuj mi gadek matki Teresy. Gdyby nie ten kult, jak ty to nazywasz, już byś nie żyła albo tkwiłabyś jako narkomanka w bliskowschodnim czy północnoafrykańskim burdelu.

— Doskonale o tym wiem, Creasy. Wszystko wiem. Ty i Michael ocaliliście mi życie. Dzięki tobie mam dom. Każdego dnia dziękuję za to Bogu. . . Tylko się boję. Znowu planujesz wyjazd. I znowu będzie zabijanie. Kiedy to się wszystko skończy?

— Skończy się wtedy, kiedy zostanie pochowany niejaki Tommy Mo Lau Wong.

— Musisz jechać? — Dostrzegła w jego oczach błysk gniewu.

— Tak, muszę. Ten człowiek jest na szczycie piramidy. W ostatecznym rozrachunku on jest winien śmierci Michaela. Wraz z jego likwidacją powinien się zakończyć ów cykl. Krąg się zamknie. Koniec. To nie jest kult, to jest sprawiedliwość.

— Nie rozumiesz mnie, Creasy. Bardzo chcę, żeby taki zły człowiek zginął. Nie chcę tylko, żebyś przy okazji zginął i ty. Lucy mówiła mi coś niecoś o triadach i ich potędze. . . Spróbuj mnie zrozumieć. Straciłam jedną rodzinę, zyskałam drugą. Teraz straciłam połowę tej nowej rodziny. Nie mogę znieść myśli, że mogłabym stracić drugą połowę.

Creasy nieco złagodniał.

— Musisz się z tym pogodzić, Juliet. To część mojego życia, należysz do środowiska, które uprawia ów kult, jak ty to nazywasz. Być może po tej ostatniej operacji wszystko się zmieni. Będziemy wiedli spokojne życie. Ale niczego nie

mogę teraz obiecać. Jestem, kim jestem. Możesz być jednak pewna, że cię doskonale rozumiem. Pamiętam, jak przed kilku laty prosiłaś mnie, żebym cię uformował i wyszkolił tak jak Michaela. Byłaś bardzo młoda. W najlepszym wieku do szkolenia. Zacząłem to robić, ale szybko się zorientowałem, że chociaż jesteś chętna, nie masz do tego serca. Bardzo się ucieszyłem, kiedy zaczęłaś interesować się medycyną.

Przytakiwała mu.

— Wiem. I jestem z tego zadowolona. Bardzo mnie cieszą studia w Stanach i że mogę mieszkać u Jima. . . Tylko że przez cały czas się martwię. . . o ciebie.

Uśmiechnął się.

— Ja też martwię się o ciebie. Ci wszyscy dyszący seksem młodzi Amerykanie tylko czyhają, żeby dopaść koleżankę ze studiów. . . A propos, chcę, żebyś jutro wracała. Straciłaś prawie tydzień semestru.

Skinęła potulnie.

— Pij zupę. Jest więcej, jeśli chcesz.

— Wystarczy mi — odparł. — Poproś Guido i Maxie, żeby do mnie przyszli za dziesięć minut.

Gdy była już przy drzwiach, zatrzymał ją słowami: — I zanadto się o mnie nie martw, Juliet. Przekonano mnie, żebym zabrał ze sobą przyjaciół.

— Przewidywałam, że to zrobisz. I bardzo się z tego cieszę, choć teraz muszę się martwić nie tylko o ciebie, ale dodatkowe osoby. Na pewno zabierasz Maxie, Franka, Guido, Rene, Jensa, Sowę. . . Oni wszyscy są mi bardzo bliscy. I wszyscy są także wyznawcami tego samego kultu. . .

Wmaszerowali gęsiego do sypialni, niosąc krzesła z jadalni. Usiedli wokół łóżka. Przyszli wszyscy, nawet Lucy Kwok. Nie było tylko Juliet.

— Nic nie mówcie, wiem, że to sprawia wrażenie farsy. Mógłbym przecież wstać i rozmawiać z wami przy jadalnym stole. Jednakże obiecałem lekarzowi, że pozostanę w łóżku przez czterdzieści osiem godzin, i muszę jej dotrzymać. — Zwrócił się do Duńczyka: — Jens, w twoich rękach będzie jak zwykle koordynacja, łączność i informacja.

Jens wyjął z kieszeni notes i pióro. Creasy przeniósł wzrok na Maxie.

— Rozmawiałaś z panią Manners?

— Prosiła mnie, żebym ci bardzo podziękował. Potwierdziła raz jeszcze, że nie będzie do niczego się wtrącać. Prosi tylko, żeby jej o wszystkim opowiadać.

— Dobra. To będzie twoje zajęcie.

— Dzięki! — odparł ironicznie Maxie.

— Ty byłeś tym, który mnie tak gorąco namawiał, ponoś teraz konsekwencje. — Creasy wskazał dłonią Lucy. — Usiłowałem przekonać dziewczynę, żeby tu na nas czekała, aż się wszystko skończy, ale zdecydowanie odmówiła. No cóż, weźmiemy ją, przyda się nam ze swoim językiem, ale musimy jej zapewnić dobrą ochronę. Podobnie jak i pani Manners. Nie jest nas zbyt wielu, więc będziesz musiała, Lucy, mieszkać razem z nią w jednym apartamencie. Ty, Rene — zwrócił się do Callarda — odpowiadasz za ich bezpieczeństwo. I nie pozwól pani Manners chodzić sobie po głowie.

— Nikomu nie pozwalam chodzić sobie po głowie. Nawet tobie — odparł Callard.

— No, to świetnie. Trzech z was może polecieć do Hongkongu samolotem pani Manners za jakieś pięć lub sześć dni. Jens, możesz sobie załatwić akredytację prasową? Chciałbym, żebyś poleciał jako dziennikarz.

— Nie ma najmniejszego problemu. Kierownik działu kryminalnego czołowego duńskiego dziennika jest moim dobrym przyjacielem jeszcze z czasów mojej pracy w policji. On mi to załatwi.

— Doskonale. Najpóźniej za trzy dni polecisz do Hongkongu z Sową. Zatrzymajcie się w innym hotelu, niż pani Manners. Przybywacie jako turyści, ale po-

nieważ Jens jest równocześnie dziennikarzem, planuje napisanie kilku artykułów o triadach. Będzie rzeczą naturalną, że przy okazji poprosi o wywiad z inspektorem Lau Ming Lan. Mieliśmy dobrą współpracę, aczkolwiek z pewnymi oporami, ze strony policji Zimbabwe, ale tylko dlatego, że były naciski ze strony amerykańskiego rządu. W Hongkongu zastaniemy zupełnie inną sytuację. Nie należy oczekiwać żadnej współpracy ze strony policji. Odwrotnie, byliby wściekli, gdyby się dowiedzieli, że operujemy na ich terenie. Jeszcze jedno, Jens: wynajmiesz dom lub duży apartament w Kowloon, co najmniej na miesiąc. Do sześciu, jeśli to będzie konieczne.

— Sześć miesięcy w Kowloon wyjdzie cholernie drogo — wtrącił Guido.

— Trudno — odparł Creasy. Z kolei zwrócił się do Australijczyka: — Frank, jutro polecisz do Brukseli. Maxie też. Zorganizujecie spotkanie z Korkociągiem. Załatwcie broń i jej wysłanie do Hongkongu. Rano dam wam listę tego, co będzie nam potrzebne, i czekajcie na sygnał od Jensa.

Duńczyk przez cały czas pilnie notował.

— Na jakie nazwisko wynająć dom? — spytał.

Creasy przez chwilę się zastanawiał, a potem polecił Millerowi: — Zapytajcie Korkociąga... On jest obeznany w tych sprawach. Powiedzcie mu, że broń musi znaleźć się w Hongkongu w ciągu dziesięciu dni.

— Kto to jest ten Korkociąg i jak uda mu się wwieźć broń do Hongkongu? — po raz pierwszy odezwała się Lucy.

— Właściwie to jest Korkociąg Dwa, syn znanego w branży Korkociąga — wyjaśnił Creasy. — Stary Korkociąg specjalizował się w przemyśle broni na cały świat. Był najlepszy. Miał nieprawdopodobne kontakty w każdym zakątku kuli ziemskiej. Przed kilku laty wycofał się z interesu przekazując wszystko synowi, którego oczywiście też zaczęliśmy nazywać Korkociąg, dodając czasem Dwa dla tych, którzy mogli nie wiedzieć, że to już nie ten sam. Moim zdaniem jest równie dobry jak ojciec i nie będzie miał żadnych problemów z dostarczeniem broni do Hongkongu. — Creasy na dłuższą chwilę zamknął oczy, a potem sięgnął po stojący na stoliku flakon i wytrząsnął z niego dwie tabletki, które szybko połknął. — Będziemy potrzebowali jeszcze paru facetów — powiedział do Guido.

— Masz świętą rację, ale kto i skąd?

— Zastanówmy się. I muszą być dobrzy.

— Przed wyjazdem z Brukseli słyszałem, że do wzięcia jest Tom Sawyer — mruknął Maxie.

— On byłby świetny. I oprócz wszystkiego innego nie ma lepszego gościa od moździerza — stwierdził Frank.

— No, to próbujcie go złapać, jak będziecie w Brukseli. A może ktoś wie, gdzie podziewa się Do Huang?

— Ostatnio słyszałem, że jest w Panamie — pośpieszył z informacją Maxie. — Otrzymał jakąś robótkę od CIA i pewien czas spędził z kilkoma chłopakami

w El Salvador. Pewno siedzi nadal w Panama City i jest bez grosza. Przecież on po każdej operacji leci prosto do kasyna. Aha, słyszałem też, że w Panamie jest Eric Laparte. Był na tej samej robocie z Do. Tylko podobno z nim jest źle. Od kilku miesięcy strasznie pije.

— Mam nadzieję, że to tylko plotki — powiedział Creasy. — Eric był jednym z najlepszych. Hmm, jeśli Do Huang siedzi bez grosza, to dla nas plus. Bardzo by nam się przydał. — Zwrócił się do Lucy: — Do Huang jest pół Wietnamczykiem, pół Chińczykiem. Świergoli po kantonśku jak taksówkarz z Kantonu. Przydałby się do penetracji środowiska.

— Zaraz się tym zajmę po przylocie do Brukseli. Postaram się ich ściągnąć — zapewnił Maxie.

— Nie ty — zdecydował Creasy. — Niech to robi Frank. Ty bierzesz żonę i jej siostrę na krótkie wakacje. Frank ma tylko do załatwienia sprawy z Korkociągiem Dwa, a potem nudziłby się, czekając na sygnał od Jensa. — Creasy zwrócił się do Australijczyka: — Kiedy ich zlokalizujesz, zadzwoń do mnie. Za kilka dni sam się do nich wybiorę i sprawdzę, w jakiej są formie.

— Przecież ja mogę polecieć — zaproponował Guido.

— Nie. Muszę lecieć ja. Znasz Do Huanga i on ci ufa, ale nie znasz Erica Laparte'a. Nie będziesz wiedział, jak z nim rozmawiać i na co zwrócić uwagę. A Eric jest cholernie nieufny wobec całego świata. No i powinieneś spędzić parę dni z Laurą i Paulem. Znowu na kilka sekund zamknął oczy. A potem powiedział krótko: — To wszystko!

Pojedynczo zaczęli wychodzić.

Creasy spojrzeniem zatrzymał Lucy, a gdy zostali sami, zaproponował jej: — Wszyscy jutro wyjeżdżają z wyjątkiem Rene. Jeśli chcesz, możesz wprowadzić się do hotelu „L'Imgarr Bay”. Tam będziesz miała wygodniej.

— A kto będzie dla ciebie gotował, Creasy?

— To nie problem. Rene coś skombinuje. A poza tym jestem pewien, że Laura będzie mi przysyłała góry jedzenia.

Lucy zastanawiała się przez chwilę.

— Nie — zdecydowała w końcu. — Skoro w Hongkongu mam tkwić w apartamencie z panią Manners, i to nie wiadomo przez jak długi czas, to teraz wolę być tu... aż do wyjazdu. Dobrze?

— Oczywiście.

Frank Miller wszedł do baru tuż po dziewiątej. Korkociąg Dwa stał na końcu długiego kontuaru, popijając swój tradycyjny trunek: wodę mineralną Perrier z grubym plasterkiem cytryny. Frank poszedł w sam koniec ogromnej sali barowej, zastawionej prostymi drewnianymi stołami na posypanej trocinami podłodze. Bar służył jako miejsce kontaktowe, swojego rodzaju dom maklerski. Tutaj głównie załatwiali swoje interesy najemnicy, tutaj szukali i uzyskiwali pracę. Obcy nie byłby mile widziani. Jednakże Frank nie był obcy. Barman Wensa, sam niegdyś najemnik, dziś już na emeryturze, skinął mu głową i na koszt lokalu oferował kieliszek firmowego wina.

— Jest robota? — spytał.

— Jest. I to dobra.

— *Z Uomo?*

— *Z Uomo*. Trzymaj za zębami.

— W jakiej jest formie?

Po chwili zastanowienia Frank odpowiedział: — Miał osobiste problemy. Ale znasz *Uomo*. Wygrzebał się i dobrze mu idzie. Powodzi mu się.

— No, to po co pracuje?

Frank wzruszył ramionami.

— Pracuje tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę i jeśli robota mu się podoba. . .

Ma już to chyba we krwi. Ja zresztą też.

Wensa podumał.

— Rozumiem, rozumiem. Mnie też od czasu do czasu bierze ochota. . . ale to już nie dla mnie. — Na drewnianej protezie pokuśtykał wzdłuż kontuaru obsłużyć innego klienta. W ostatnich dniach wojny biało-rosyjskiej nadepnął na minę.

Frank wychylił się, żeby lepiej widzieć Korkociąga Dwa, który stał przy końcu barowej lady. Korkociąg go dostrzegł i przywołał ruchem głowy. Obaj ruszyli do stolika w kącie. Było już uświęconym obyczajem tego miejsca, że kiedy ludzie siadali przy jednym z dwu stołów w rogach sali, nikt się nie zbliżał i nikt nie nastawiał uszu.

Bez żadnych wstępów Frank sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął złożony arkusik, który podał Korkociągowi. Ten włożył okulary w rogo-

wej oprawie i zaczął uważnie czytać. Był to mężczyzna w wieku czterdziestu paru lat. Rzedniejące już włosy pokrywały sklepienie czaszki. Poza tym niczym się nie wyróżniał. Po przestudiowaniu zamówienia spytał: — Gdzie dostarczyć?

— Hongkong i to szybko.

Korkociąg powrócił do lektury, by po minucie znowu zadać pytanie: — Mówiłeś, że to dla *Uomo*. Chce podbić Chiny?

Frank wyjaśniał, będąc przekonany, że Korkociąg słowo dyskrecja ma wypalone w sercu: — Chcemy załatwić jedną triadę. Ma od cholery i trochę żołnierzy, więc potrzeba nam sporo broni.

— Na kiedy?

— Najpóźniej za osiem dni. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin dostaniesz ode mnie adres i telefon kontaktowy. Po drugiej stronie usłyszysz Rene Callarda.

Korkociąg aż zagwizdał.

— *Uomo*, ty i Rene! Ładny zespół. — Postukał palcem w papier. — Sądząc jednak z ilości zamówionego złomu, będzie was tam siedmiu albo ośmiu.

— Coś koło tego... Tom Sawyer jest w mieście. Za piętnaście minut mamy spotkanie. Jest z nami Maxie oraz, Guido Arrello.

— Ładny zespół, naprawdę. — Powtarzał Korkociąg, cmokając z podziwu.

— Nie będziesz miał trudności ze znalezieniem tego baracha i dostarczeniem? — upewniał się Frank.

— Znalezienie to żaden problem. Ale coś ci chcę zaproponować. Zamawiasz tuzin pistoletów maszynowych *Uzi*. Mam je. Ale mam też zupełnie rewelacyjny model pistoletu maszynowego. Pojawił się przed trzema laty, produkuje go Fabrique Nationale w Belgii. Ten model nosi nazwę *FNP90*. Jest bardzo lekki, ponieważ większość elementów jest ze specjalnego plastiku. Wystrzelony z niego pocisk przebija kamizelkę kuloodporną z odległości stu pięćdziesięciu metrów. Jeśli wasz budżet to wytrzyma, weź z pół tuzina.

— Biorę — odparł Frank. — *Uomo* używał już tej broni i był z niej bardzo zadowolony... a o budżet się nie martw. Sakiewka otwarta. — Ostatnie słowa mógł śmiało dodać, Korkociąg był bowiem w interesach skrupulatnie uczciwy. Drogi, ale nie naciągał. — Będziesz miał trudności z dostarczeniem towaru w ciągu ośmiu dni?

Frank dostrzegł cień uśmiechu na ustach rozmówcy.

— Nie będzie najmniejszych trudności. Od pięciu lat dostarczam broń pewnym gangom w Hongkongu i w południowych Chinach. Biorą ode mnie coraz większe ilości.

Frank zaczął podejrzewać, że Korkociąg jest prawdopodobnie głównym dostawcą broni dla triady 14K. Wstał.

— Wysyłałeś tam ostatnio *FNP90*?

— Ani jednej sztuki — odparł Belg również wstając. — I obiecuje ci, potwierdzając to słowem honoru, że nie zrobię tego, póki mnie nie zawiadomicie, że

wasza operacja jest zakończona.

Podali sobie ręce, Frank powrócił do barowego kontuaru, Korkociąg zaś udał się do telefonu.

* * *

Tom Sawyer zjawił się punktualnie. Rozglądając się, przeszedł przez całą salę, a następnie usiadł na stołku przy kontuarze, witając barmana skinieniem głowy. Barman bez słowa nalał mu wina, a potem dopełnił kieliszek Franka. Nowo przybyły barczysty mężczyzna o czarnej jak heban twarzy miał na imię Horatio, ale od urodzenia wołano nań Tom. Opuścił ojczysty stan Tennessee, aby zaciągnąć się do piechoty morskiej, porzucił ją jednak szybko po jakiejś chryi. Twierdził, że nie odpowiada mu ta dziecinada z głupawą dyscypliną. Frank i Tom zabrali kieliszki i przenieśli się do stolika w rogu. W ciągu paru minut Frank zapoznał Amerykanina z wydarzeniami ostatnich dni. Gdy skończył, Tom wyraził żal z powodu śmierci Michaela i spytał, jak to wpłynęło na Creasy'ego.

— Niczego po sobie nie pokazuje — odparł Frank. — Ale wiem, że bardzo to przeżywa. Jedno jest pewne: załatwi tego drania, Tommy'ego Mo. Wchodzisz do zabawy?

— A kto jeszcze bierze udział?

Frank wymienił nazwiska i Tom oświadczył, że wchodzi.

— Forsa dobra? Właściwie nie powinienem pytać, bo na pewno dobra.

— Najwyższa stawka.

— Kiedy zaczynam?

— Właśnie zaczęłeś. Za kilka dni lecimy do Hongkongu. Jens i Sowa już tam są. Chwilowo możesz mi tu pomóc. Usiłuję trafić na ślad Do Huanga i Erica Laparte'a. Ludzie mówią, że są w Panama City.

Murzyn skinął głową.

— Zgadza się. Stary Hansson przejeżdżał tędy przed tygodniem. Właśnie wrócił z Panamy. Do pracuje na jakiejś budowie, a Eric zapija się na śmierć.

— Możesz zdobyć ich adresy?

— Mam kogoś w Panama City, kto je będzie miał.

39

Około czwartej nad ranem Lucy Kwok miała okropny sen: wchodziła do swego domu w Hongkongu i znowu ujrzała wiszące ciała ojca, matki i brata. Zerwała się, zlane zimnym potem.

Noc była parna i gorąca. Lucy była mokra od potu, mimo że okna stały otworem, a u sufitu obracały się wielkie skrzydła wentylatora. Wstała z łóżka i poszła do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Zamierzała ochłodzić się pod zimnym prysznicem i powrócić pod prześcieradło, ale uświadomiła sobie, że przecież już nie zaśnie do wschodu słońca. Od dziecka tak było: po męczącym śnie nie potrafiła powtórnie zasnąć. Postanowiła pójść do kuchni, zaparzyć sobie kawy i wykąpać się w basenie.

Po pięciu minutach siedziała już nad basenem, owinięta kąpielowym ręcznikiem, i piła wspaniałą włoską kawę w oczekiwaniu na pierwszy promień słońca. Rozejrzała się po patio. Nad kuchennymi drzwiami paliła się pojedyncza żarówka. Światła basenu były wyłączone. Odrzuciła ręcznik i stanęła zupełnie naga. Zeszła po schodkach do chłodnej wody. Postanowiła przepłynąć basen dziesięć razy. Pływanie uspokajało jej myśli, nie chcąc robić hałasu płynęła żabką. Po wykonaniu założonych dziesięciu długości usiadła na schodkach, do pasa w wodzie. W miasteczku poniżej szczekał gdzieś pies.

— Mam w basenie przepiękną chińską syrenę — usłyszała nagle męski głos.

Odruchowo zasłoniła dłońmi piersi. W leżaku, odziany w barwny sarong, siedział Creasy.

— Od jak dawna tu jesteś? — spytała.

— Od dziesięciu minut. Przyszedłem popływać i zastałem syrenę. . .

— Nie mogłeś spać?

— Nie. Widzę, że ty też.

— Miałam straszny sen. A kiedy to się zdarza, to nie śpię już do rana. Dopiero potem mogę zasnąć.

— Co ci się śniło?

— Moja rodzina.

— Już wszystko w porządku?

— Tak.

Lucy zdała sobie nagle sprawę, że podczas tej rozmowy bezwiednie opuściła dłonie odstawiając piersi. Wiedziała, że on na nie patrzy, a mimo to nie zasłoniła ich ponownie. Zanurzyła się w wodzie, kładąc się do tyłu i opierając łokcie o najwyższy stopień.

— Kiedy lecimy do Hongkongu? — spytała.

— Dzwonił dziś Frank. Znalazł tych dwóch w Panamie, więc jutro lecę, żeby sprawdzić, czy się nadają. Ty, pani Manners i Rene lecicie do Hongkongu dwa dni później.

— Chciałeś popływać, więc pływaj — powiedziała.

Wstał.

— Muszę iść po kąpielówki.

— Taki jesteś wstydlivy?

Mimo mroku, zobaczyła białe zęby w uśmiechu.

— Chyba nie.

Odrzucił sarong i skoczył do basenu.

* * *

Głaskał ją, jakby uspokajał małego kociaka odebranego matce. Żadne z nich świadomie nie uwiodło drugiego. Odbyło się to tak naturalnie, jak naturalnie rozchylają się płatki róży. Przez długie minuty pływali w półmroku, a potem usiedli na stopniach i rozmawiali. Opowiedziała mu w szczegółach straszny sen i na końcu wybuchnęła płaczem. Przytulił ją wówczas, póki się nie uspokoiła.

— Przepraszam — szepnęła. — Staram się być silna, ale czasami jest mi bardzo trudno, zwłaszcza w nocy. Budzę się ze świadomością, że zostałam sierotą. . . Tak, jestem sama na świecie. . . Akurat ty zjawiałeś się z ramieniem, na którym mogłam się wypłakać. . .

— Nikt nie jest sierotą, jeśli ma przyjaciół — odparł.

— Wiem. Ale nawet wśród przyjaciół czuję się czasami bardzo samotna.

— Dzisiejszej nocy już nie będziesz samotna. I nie będziesz musiała czekać do wschodu słońca, żeby zasnąć. Zaśniesz w moim łóżku z głową na moim ramieniu. Nic poza tym nie musi się stać. Po prostu będę przy tobie na wypadek, gdyby nadeszła kolejna senna zmora.

Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie tego pragnęła: zamknąć oczy i spać, i wiedzieć, że ma kogoś obok. Kogoś, kto ją może obronić przed wszystkimi złymi mocami.

Wyszli z basenu, wytarli się i poszli do sypialni, wielkiej o wysokich sklepieniach komnaty z potężnym łóżem ozdobionym spadającą od sufitu powiewną

moskitierą. Lucy to łoże kojarzyło się z sanktuarium. Jakby moskitierą była pancerzem chroniącym ją przed wspomnieniami. Wysunął szufladę komody i wyjął sarong. Podając go jej powiedział:

— Sypiam w tym zawsze od moich dalekowschodnich czasów.

Przez chwilę zastanawiała się, czy założyć sarong od pasa, czy osłonić nim piersi. Od pasa, postanowiła, będzie jej wygodniej, a poza tym już ją widział naga. Tak, właściwiej będzie od pasa. Uniósł moskitierę, wsunęła się pod nią i weszła do łoża. Położył się koło niej, objął od tyłu, przytulił i szepnął: — Śpij. Czuwam nad tobą.

* * *

Nie mogła spać.

Wśluchiwała się w jego równy oddech, tuż nad swoją głową. Wtuliła się w niego. Czuła się bezpieczna, ale spać nie mogła.

— Co ci jest? — spytał po piętnastu minutach. — Wydajesz się okropnie spięta. Przecież powiedziałem, że nic się nie wydarzy. Nie będę usiłował się do ciebie dobierać. Musisz mi zaufać.

— Ufam ci... bardziej niż komukolwiek kiedykolwiek. Nie o to chodzi. Jestem po prostu rozkojarzona, rozstrojona. Od czasu, kiedy to się stało... kiedy moja rodzina...

Wycofał obejmujące ją ramię, usiadł na łóżku i zapalił lampkę u wezgłowia. Lucy położyła się na plecach i spojrzała na twarz mężczyzny. Leciutko się uśmiechał, ostre rysy złagodniały.

— Teraz nastąpi odwrócenie ról — oświadczył.

— Nie rozumiem?

— Jesteś orientalną pięknoscią, a ja lubię Orient. Spędziłem tam wiele lat. Ilekroć opuszczałem Kambodżę, Laos czy Wietnam i przybywałem do jakiegoś hotelu w Hongkongu, moją pierwszą czynnością była wizyta w miejscowym salonie masażu. Takim prawdziwym. Nie mówię o kryjących się pod tą samą nazwą burdelach. Wielokrotnie delikatne dłonie i palce masażystki sprawiły mi ulgę, pozwalając całkowicie odprężyć się. Znam technikę tego masażu. Więc teraz moja kolej. Ja zrobię masaż kobiecie Orientu. Połóż się na brzuchu.

Po chwili, siedząc na niej okrakiem, masował mięśnie jej karku i ramion. Lucy szybko się zorientowała, że Creasy zna się na tym i wie, co robi. Niemal zadawał jej ból, ale był to ból przedziwnie kojący. Po kilkunastu minutach czuła się jak odrodzona, wypoczęta i przedziwnie spokojna. Zmienił pozycję i ukląkł z boku. Kantem dłoni zaczął siekać jej plecy, wybijając rytm niby dobosz. Przyjemnie

bolało, zupełnie jak tysiące pobudzających do życia elektrycznych wstrząsów.

Zmienił pozycję, rytm i rodzaj masażu. Otwartymi dłońmi jakby coś wcierał. Z początku silnie, potem coraz łagodniej, wolnej i jeszcze delikatniej. Właśnie wtedy poczuła się jak głaskany kociak. Nagutka leżała na brzuchu.

— Jeszcze... jeszcze... — mruzczała.

— Teraz wszystkie mięśnie są odprężone, więc może zaśniesz...

Wiedziała, że nie zaśnie. Dotyk jego dłoni podniecił ją. Ściągnęła resztę sarongu owijającą nogi.

— Jeszcze trochę...

Przez chwilę wydawało się jej, że zaczarowana chwila minęła, że ją zniszczyła swoimi słowami. Ale nie! Dłonie mężczyzny powędrowały niżej, między rozchylające się uda...

— To miał być masaż leczniczy — usłyszała zduszony głos.

— Jest bardzo leczniczy — odparła z twarzą wciśniętą w poduszkę. — Leczy ze wszystkiego... Kiedy ostatnio... miałeś kobietę?

Roześmiał się.

— Nie jest to najdelikatniejsze pytanie. Zwłaszcza zadane mężczyźnie, który przez ostatnie miesiące uganiał się za mafiosami, a potem łowcami rogów nosorożców, i nie miał czasu myśleć o kobietach.

Położyła się na plecach.

— No, to może jeszcze raz odwrócimy role, a ja sprecyzuję pytanie: kiedy po raz ostatni kochałeś się z Azjatką?

Obserwowała jego twarz, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Chyba przed piętnastu laty.

— I zapomniałeś, jak to było?

— Nie. Takich rzeczy się nie zapomina. Dziwnym zbiegiem okoliczności była to mieszkanka Hongkongu. Pielęgniarka. — Dotknął blizny na ramieniu. — Zostałem ranny w Laosie. Unieruchomiony na trzy tygodnie w łóżku. Ona się mną opiekowała. Musiała mnie myć. Bardzo była dokładna. Któregoś dnia okropnie się zawstydziłem. Podczas mycia miałem erekcję. Nie okazała najmniejszego zakłopotania. Leżałem w izolatce. Zamknęła drzwi na klucz, no i ze mną leżącym bezradnie na plecach... Możesz się domyślić.

— Była ładna?

— Może inni nie określiliby jej jako piękność, ale miała czar i finezję. W moich oczach była piękna.

— Dałeś jej jakieś pieniądze?

— Nie, umiem na tyle osądzić charakter, żeby wiedzieć, kiedy nie wolno tego czynić. To zdarzyło się między nami tylko raz. Dwa miesiące po wyjściu ze szpitala wysłałem jej prezent. Bransoletkę z listem, podziękowanie za opiekę.

— Czy uważasz, że jestem piękna? — Czują dziwne wzruszenie.

— W ciągu ostatnich dni nie mogłem oderwać od ciebie oczu.

— Nigdy bym tego nie odgadła — wymruczała zadowolona. Poklepała przeciwścieradło obok siebie. — Połóż się tu.

Ułożył się i poddał eksperymentowi odwracania ról... Zaczęła całować go w usta, najpierw delikatnie, jakby wstydliwie, potem coraz namiętniej. Jednocześnie dłońmi błędziła po owłosionej klatce piersiowej mężczyzny. Nie wiadomo dlaczego skojarzyło mu się to z motylami muskającymi kwitnące trawy. Motyle przeniosły się niżej, a jej język zaczął penetrować wargi, wdzierając się pomiędzy nie. Piersiami zataczała kręgi na jego piersiach. Wyczuwał twardniejące sutki, był coraz bardziej podniecony, coraz bardziej gotowy... Motyle zdały sobie z tego sprawę...

Pomogła mu obrócić się na brzuch i z kolei ona go dosiadła. Pochyliła się nisko, poczuł na szyi jej gorący oddech. Językiem delikatnie pieściła kark i ramiona mężczyzny, wędrując w kierunku kręgosłupa. Zębami skubała skórę obsuwając się w dół. Pośladkami wyczuł jej kępkę, a potem jej język na udach i w napięciu bliskim bólu wczepił palce w poduszkę... bardziej jednak bolesne było powstrzymanie się. Zmienił szybko pozycję. Miał ją teraz przed sobą...

Jakże już długo czekał. Jęknął z rozkoszy. W tych sprawach Lucy wykazywała niezawodny instynkt. Wiedziała co i kiedy. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

— Nie ruszaj się... Zapomnij o męskim prymacie. Zostaw wszystko mnie...

Milion motyli przemienił się w aksamitny tunel, który go wsysał. Zupełnie jakby wstępował w nierealny świat, który gotów był go wchłonąć i unicestwić. Znowu poczuł jej język w ustach. Miękki, poszukujący absolutu rozkoszy. Dłonią przesunął po jej plecach i gładkich pośladkach, drugą ręką objął ją za szyję i wtedy zaczął się martwić, że wszystko przeminie zbyt szybko. Usiłował postawić tamę rosnącemu podnieceniu, ale nie dała mu szansy, rytmicznie unosząc i opuszczając pośladki. Całowała teraz jego ucho i wędrowała po nim i wokół niego językiem, czuł i słyszał jej przyśpieszone bicie serca i wiedział, że jest równie bliska orgazmu jak i on. Nagle opięła go niezwykle mocno nogami, wbijając go jeszcze głębiej w siebie. Jednocześnie oboje na ułamek sekundy stężeli, spięci, by po sekundzie rozluźnieni opaść. Wybuchnęła nagle płaczem. Płakała z tęsknoty za rodziną i ze szczęścia, że jest bezpieczna i tulona. Więc tulił ją dalej, aż łkanie umilkło.

40

Sowa słuchał Beethovena na swoim walkmanie, a trzymaną w powietrzu prawą ręką naśladował von Karajana.

Leżał na pluszowej kozetce i spoglądał na ruch w porcie Hongkongu. Drzwi sypialni otworzyły się i wyszedł z nich Jens Jensen. Coś mówił, ale dźwięki nie mogły się przedrzeć przez zaporę słuchawek, zaczął więc krzyczeć. Sowa podniósł dłoń i trzema ruchami doprowadził symfonię do przedterminowego finału. Wyłączył walkmana, zdjął słuchawki i spojrzał pytająco. Jens miał na sobie szerokie szorty do kolan i barwną hawajską koszulę. Poza tym trzymał w ręku elegancką czarną skórzaną teczkę. Spojrzał na zegarek.

— Idziemy. Za pół godziny mamy umówione spotkanie.

Francuz pokręcił głową.

— Nigdzie z tobą nie idę, dopóki się nie przebierzesz. Wyglądasz, jakbyś dopiero co wyszedł z disneyowskiego lunaparku po napaści na centralną kasę. Jeśli tak się pokażesz, to nasz inspektor Lau nie potraktuje cię poważnie. To jest wizyta u wysokiego funkcjonariusza tutejszej policji. Trzeba mu okazać szacunek.

— Czy ty nic jeszcze nie rozumiesz, zakuty łbie? — obruszył się Duńczyk. — Właśnie na tym to polega, że jesteśmy na wakacjach, i przy okazji zwiedzania miasta, jakby od niechcienia, zbieram materiały do artykułu na temat triad.

— Ty rzeczywiście stanowisz groźbę dla triad. Gdyby cię teraz ich przywódcy zobaczyli, toby zdechli ze śmiechu pozostawiając osierocone organizacje. A teraz, bez dalszego gadania, idź i przebierz się. Włóż spodnie i koszulę z krótkimi rękawami.

— Zachowujesz się zupełnie jak moja żona — odparł Jens. — Kiedy się rano budzę, widzę zawsze przygotowane ubranie, które tego dnia mam włożyć.

— Poza tym że wyszła za ciebie, to wykazuje rozsądek i gust.

Duńczyk poszedł się przebrać.

* * *

Przepełnili promem strefę portową. Kurs trwał dziesięć minut, podczas których podziwiali rozpościerającą się przed nimi metropolię.

— Czuję się tu, jak u siebie — odezwał się Sowa. — Jest większe i ruchliwsze, ale przypomina mi Marsylię.

— I jest tu równie wielu przestępców — zauważył Jens.

— To prawda. A od wczoraj przybył im jeszcze jeden — odparł Sowa.

— Uważasz się za przestępcę?

— No, cóż, muszę. Nie zapominaj, że zacząłem na marsylskich ulicach już jako dziecko. Kradłem wszystko, co popadło. Potem pracowałem dla różnych gangsterów wymuszających haracz od kupców. Dopiero kiedy mnie wynajął Leclerc do osobistej ochrony, zabrałem się do jako tako uczciwego zarabiania pieniędzy... Tak, ja czuję to miasto. Hongkong jest mi dziwnie bliski. Chyba przydam się tu Creasy'emu. Na pewno, gdybym urodził się Chińczykiem, byłbym członkiem jakiejś triady. Wiesz, ja chyba rozumiem ich mentalność...

Duńczyk zerknął na przyjaciela. Od trzech lat się przyjaźnili. Od kiedy Creasy „wypożyczył” Sowę od marsylskiego handlarza bronią, Leclerca, żeby pełnił funkcję ochroniarza Jensa. I tak już pozostało. Po uczestniczeniu w operacji przeciwko Błękitnemu. Kartelowi handlarzy narkotyków i żywym towarem, Jens odszedł z policji i otworzył własne biuro detektywistyczne w Kopenhadze. Sowa wszedł do interesu jako pełnoprawny współnik. Wynajął sobie mieszkanie w tej samej dzielnicy co Jens i stał się jego wiernym towarzyszem. Żona Jensa bardzo lubiła spokojnego marsylczyka, a ich sześciolatnia córeczka Lisa uważała go za wujka. Interesy szły dobrze. Firma specjalizowała się w odszukiwaniu zaginionych osób, co często zmuszało do wędrówek po całej Europie. Było to w pewnym sensie zarabianie na dostarczaniu żywego towaru. Kiedy jednak w wyniku uciążliwych poszukiwań odnajdywali kogoś, kto bardzo pragnął pozostawać nadal w ukryciu, a nie popełnił żadnego przestępstwa, rezygnowali z honorarium i pozwalali tej osobie żyć w spokoju, nie ujawniając klientowi miejsca jej pobytu. Jens umiał strzelać z pistoletu maszynowego czy karabinu, ale mistrzem w tej dziedzinie nigdy nie był. W pracy zawodowej preferował posługiwanie się głową i komputerem. Sowa natomiast, który wyglądał naprawdę jak sowa, stawał się groźnym przeciwnikiem gdy rzucał nożem, a jeszcze groźniejszym, gdy dysponował jakąkolwiek inną bronią, począwszy od pistoletu.

* * *

Młody konstabl wprowadził ich do gabinetu inspektora. Lau siedział za biurkiem w garniturze i krawacie. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat.

Jens podał mu pismo polecające od redakcji. Lau przeczytał, podniósł głowę i powiedział: — Triady są w każdym europejskim mieście mającym okazałą chińską mniejszość, ale z tego, co wiem, nie ma ich w Kopenhadze. Czy pańscy czytelnicy będą się tym interesować?

— O tak — odparł Jens. — W istocie Chińczyków mamy jeszcze mało, ale ich liczba nieustannie wzrasta. Jestem przekonany, że wcześniej czy później triady zainteresują się naszą stolicą.

— A co pan już wie o triadach? — dociekał policjant.

— Sporo. Znam ich historię, początki, i jak dobre intencje przemieniły się w złe. Chciałbym jednak dowiedzieć się o ich prawdziwej sile i zasięgu, penetracji w życie Hongkongu. Dla moich dziennikarskich celów chciałbym skoncentrować się na jednej triadzie. Wybrałem 14K.

— Dlaczego właśnie tę?

— Podobno jest największa, ma rozgałęzienia na wszystkie europejskie miasta i Stany Zjednoczone.

Inspektor Lau pokiwał głową.

— Niech mi pan powie jedno, panie Jensen; był pan policjantem?

Sowa otworzył usta ze zdumienia i zerknął z ukosa na przyjaciela, w którego oczach też pojawiło się zaskoczenie.

— Tak, byłem — odparł Jens. — Skąd pan wie?

Inspektor wyjął teczkę, otworzył ją i zaczął czytać: Jens Jensen. Urodzony 15 kwietnia 1959 roku w Aarhus w Danii. Ukończył Katedralskolen w Aarhus, a następnie uniwersytet w Kopenhadze, gdzie otrzymał dyplom z nauk społecznych. Wstąpił do policji w roku 1982. Po trzech latach pracy w wydziale walki z narkotykami i prostytutką przeniesiony do biura osób zaginionych. Zrezygnował z pracy w policji i otworzył prywatną agencję detektywistyczną pod nazwą Jensen i Spółka. Jego partnerem jest niejaki Marc Benoit, obywatel francuski”. — Inspektor podniósł wzrok na Sowę. — Zakładam, że to jest właśnie ten dzentelmen. . . — W teczce było jeszcze wiele dalszych stron, ale inspektor odłożył ją na bok.

— Jestem pod wrażeniem — odezwał się Jens. — Jak pan to zdobył?

— Bardzo prosto, panie Jensen. Naturalny ciąg wydarzeń. I logiczne myślenie. Może już pan nawet wie, że triada 14K jest przedmiotem mojego specjalnego zainteresowania, niemalże obsesyjnego, od chwili zamordowania mojego przełożonego, inspektora Colina Chapmana. Przyjaźniliśmy się. Od dwu tygodni zaj-

muje się wyłącznie tą sprawą. Szukam dowodów przeciwko 14K i jej przywódcy. Wiem, że panna Lucy Kwok Ling Fong poleciała do Zimbabwe, aby spróbować skontaktować się z człowiekiem o nazwisku Creasy. Ów Creasy zajmował się sprawą mającą związek z wymordowaniem rodziny panny Kwok w Hongkongu. Właśnie przez 14K. Dobrze panu wiadomo, że ów Creasy to najemnik. Colin Chapman otrzymał z Interpolu jego dane. Wie pan też chyba, że Interpol posiada dane na temat wszystkich znanych najemników. Przez cały czas byłem w kontakcie z szefem policji, Johnem Ndlovu, w Zimbabwe. Stąd też wiem, że ów Creasy wyeliminował, jeśli tak wolno powiedzieć, tamtejszych morderców. Zainteresowałem się głębiej działalnością pana Creasy i wiem, że przed trzema laty wraz z kilkoma innymi najemnikami zlikwidował groźną bandę przestępczą, działającą we Włoszech, we Francji i w Tunezji. Komputer ujawnił nazwisko Jensa Jensena, duńskiego policjanta, który wziął bezpłatny urlop i najprawdopodobniej uczestniczył w operacji Creasy'ego. — Inspektor uśmiechnął się i rozłożył ręce. — Tak więc, panie Jensen, kiedy pan wczoraj zadzwonił prosząc o rozmowę na temat triad, z powodu pisanego jakoby przez pana na ten temat artykułu, w mojej głowie zadzwonił dzwonek alarmowy i sięgnąłem do klawiatury komputera.

— Hmm, jest pan bardzo dobrym policjantem — powiedział Jens — i chyba będę musiał wszystko szczerze wyznać.

— To nawet nie jest konieczne, panie Jensen. Ja chyba już domyśliłem się wszystkiego. Mieszkają panowie w apartamencie hotelu „Regent”, który nie należy do najtańszych. Wynika z tego, że to nie Lucy Kwok was wynajęła, ponieważ nie ma takich pieniędzy. Przypomniałem sobie, że mam gdzieś zapis rozmowy telefonicznej z panem Johnem Ndlovu w Zimbabwe. Zajrzałem do niego i stwierdziłem, że w istocie mówił mi o niejkiej pani Glorii Manners i jej prywatnym samolocie. Wyciągnąłem z tego wniosek, że ona jest pańską chlebobawczynią. Pańską, Creasy'ego oraz niejkiego Maxie MacDonalda. Stąd następny wniosek: pan i pan Benoit jesteście czymś w rodzaju przedniej straży. Robicie rozpoznanie, mówiąc żargonem wojskowym. Macie przygotować wstępne materiały dotyczące 14K. No i za wami przyjadą inni. — Postukał palcem w teczkę. — Jeśli dobrze rozgryzłem pana Creasy'ego, to nie przyleci on wyłącznie w towarzystwie pana MacDonalda, mimo iż stanowią parę, z którą należy bardzo się liczyć i schodzić jej z drogi. To nie wystarczy jednak, by stawić czoło 14K. Stąd wnioskuje, że podczas kiedy pan tutaj zbiera informacje o 14K, on kompletuje drużynę. — Inspektor Lau otworzył teczkę i przerzucił kilka kartek. — Najprawdopodobniej wejdzie do niej były najemnik, Australijczyk, o nazwisku Miller, oraz były żołnierz Legii Cudzoziemskiej, Rene Callard. Ci dwaj również brali udział we wspomnianej przeze mnie operacji pana Creasy'ego przed trzema laty.

Jens zerknął na Sowę, który manifestował pozornie znudzoną minę i tylko wzruszył ramionami. Jasne było jednak, że wchłania i zapamiętuje każde słowo, i dogłębnie analizuje każde zdanie, wyciągając wnioski do dalszego postępowania.

nia. Dla towarzystwa Jens także wzruszył ramionami. Inspektor był bardzo poważny.

— Sądzę, że pan Creasy pojawi się tu za kilka dni wraz ze swymi ludźmi. Będzie też usiłował przemycić broń albo kupić ją na miejscu. Jest to oczywiście nielegalne i nie będzie tolerowane. Wykracza także poza granice legalności, gdy duński prywatny detektyw usiłuje pod fałszywymi pozorami wydobyć informacje od inspektora policji Hongkongu.

Sowa poruszył się niespokojnie w krześle.

— Chce pan nas aresztować? — spytał Jens.

— Tym razem jeszcze nie. Ale oficjalnie was ostrzegam i proszę o przekazanie tego ostrzeżenia panu Creasy'emu. Jeśli zdobędziecie jakiegokolwiek dowody wskazujące na udział 14K w wymordowaniu rodziny panna Lucy Kwok, to macie mnie o nich natychmiast poinformować. Ale to muszą być bezsporne dowody, panie Jensen. Dziękuję obu panom za wizytę w moim biurze.

Jens i Sowa zerwali się, mamrocząc słowa podziękowania. Na odchodnym powstrzymał ich głos inspektora Lau: — Coś pan zostawił, panie Jensen.

Jens obrócił się zdziwiony. Inspektor wskazywał palcem na małą żółtą kopertę, która pojawiła się nagle na biurku. Jens patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

— Musiał pan to ze sobą przynieść — powiedział inspektor.

Sowa zrozumiał pierwszy.

— Oczywiście, to moje — i schował kopertę do kieszeni.

Wyjął ją dopiero, gdy płynęli z powrotem promem. Oddał Jensowi. W kopercie była komputerowa dyskietka. Przyglądali się jej obaj w milczeniu.

— Co na niej jest, jak myślisz? — spytał Sowa.

— Pojęcia nie mam — odparł Jens. — W każdym razie nie „Jezioro Łabędzie”.

41

Do Huang pracował przy stawianiu muru. Był to krępy mężczyzna i, jak na Azjatę, bardzo szeroki w barach. Obnażony do pasa, spływał potem, gdyż panamskie słońce strasznie paliło. Dźwigał potężne bloki i osadzał je w zaprawie. W dodatku miał kaca. Poprzedniego wieczoru otrzymał nędzną wypłatę i sporą jej część wydał na ucziwą chińską kolację w Panama City, do tego wypił butelkę wina, a następnie zakropił zbyt wieloma kieliszkami brandy. Teraz nie mógł jednak odpoczywać nawet minuty. Miał brygadzystę Meksykanina, który udawał ważnego i wszystkich popędzał oraz skrupulatnie mierzył czas pracy. Robotników traktował okropnie, a najgorzej chyba Do Huanga, którego obraźliwie wyzwał od żółtków. Do Huang chętnie i bez trudności wybiłby mu wszystkie zęby, ale w Panamie ciężko było o jakąkolwiek pracę, a gdzie indziej też niezbyt łatwo.

Norma Do Huanga wynosiła pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Poza półgodzinną przerwą na kanapkę i szklankę wody harował cały dzień. Czekąco go jeszcze piętnaście minut pracy, kiedy w pobliżu placu budowy zajechał dżip Suzuki. Do Huang obrzucił samochód przelotnym spojrzeniem i powrócił do roboty. Jednakże coś go zaintrygowało w sylwetce kierowcy, więc spojrzał raz jeszcze i rozpoznał Creasy'ego, który szedł w jego kierunku.

— Co ty, do cholery, robisz? Dźwigasz pustaki?

Do Huang nieco się zawstydził.

— Chwilowo nie ma tu innej roboty.

— A właśnie, że jest. Mam dla ciebie robotę w Hongkongu. Trzeba trochę przegonić triadę 14K.

Twarz Do Huanga rozkwitła uśmiechem.

— Skoro chodzi o triadę i skoro specjalnie tu przyjechałeś, to znaczy, że nieźle pieniądze?

Creasy podał mu warunki. Bardzo, bardzo interesujące! Do przyjrzał się kupie stalowej barwy pustaków, jakby widział je pierwszy raz w życiu. Zgasł mu uśmiech na twarzy, kiedy pojawił się brygadzysta wykrzykując: — Ty pieprzony żółtku, pogawędki towarzyskie sobie urządzasz? Co to za facet? Masz pan zezwolenie na wstęp na budowę?

Do Huang zerknął na Creasy'ego i zobaczywszy wyraz jego twarzy odezwał

się pojednawczo do brygadzysty: — To przyjaciel z dawnych lat. Zostaje tylko minutkę i potem poczeka na mnie, aż skończę robotę.

Brygadzista spojrział surowo na Creasy'ego.

— Za piętnaście minut już pana nie ma. I radzę tu nie wracać.

— Zapewniam, że nigdy nie wrócę — odparł Creasy.

— Mam nadzieję — odparł brygadzista.

— To straszne bydlę — mruknął Do Huang, gdy brygadzista odszedł. — Kogo jeszcze bierzesz do tej roboty?

Creasy wymienił kilka nazwisk.

— Wszystko fajni goście — skomentował Do Huang. — Jak tyś mnie znalazł?

— Tom Sawyer trafił na twój ślad.

Do Huang chwilę pomyślał.

— Podwiózłbyś mnie do tej nory nazywanej hotelem, gdzie mieszkam? Tylko spakuję torbę i jestem twój. A teraz poczekaj w samochodzie. Załatwię się z tymi pustakami w dziesięć minut.

* * *

Do Huang osadził ostatni pustak w zaprawie, kielnią ściągnął jej nadmiar, otrzepał ręce i ruszył w kierunku stojącego w cieniu wiklinowego fotela, z którego brygadzista panował nad swoim królestwem. Meksykanin był potężnej budowy, ale mięśnie miał sflaczałe. Do Huang postawił stopę na oparciu fotela i mocno pchnął. Brygadzista ryknął, zerwał się i natarł jak byk.

Nie wydawało się, by krótkie ciosy Do Huanga w cokolwiek trafiały, jednakże za każdym razem Meksykanin wyraźnie słabł i wreszcie runął, jakby miał porażony układ nerwowy. Nadbiegł jego zastępca, by pomóc przełożonemu w opresji, lecz Do Huang uporał się z nim jednym ciosem. Pomocnik zwinął się, zgiął w pół i ustąpił z pola walki. Całe zajście trwało nie dłużej niż dwie minuty. Creasy wszystko obserwował ze stojącego nieopodal dżipa. Do Huang zwrócił się do półprzytomnego Meksykanina i głośno, aby wszyscy robotnicy usłyszeli, ostrzegł go: — Następnym razem zastanów się, czy warto obrażać ludzi, którzy uczciwie wykonują swoją robotę.

Odszedł i wsiadł do dżipa.

— Coś mówił? Że dokąd jedziemy?

— Nic nie mówiłem. Ale szukam Erica Laparte'a. Ogólnie to niby wiem, gdzie go znaleźć.

— Tylko mi nie mów, że też go chcesz ze sobą zabrać?

— Dlaczego nie?

Wietnamczyk wzruszył ramionami.

— Kiedy go po raz ostatni spotkałem przed paru miesiącami, był na umór pijany. On się zapija na śmierć.

— No, to sobie popatrzemy, jak mu się umiera. Wiesz, gdzie się ukrywa?

— Przed kilku laty kupił stary dom plantatora, na północ od miasta. Był z jakąś kobietą, ale słyszałem, że go puściła. Nie mogła znieść jego bezustannego picia.

— Wiesz, gdzie to jest?

— Jasne.

Do Huang wskazał wąską drogę w prawo. Przez kilkaset metrów jechali po wybojach. Wreszcie zobaczyli rozwalający się dom. Blaszany dach i typowa weranda wokół całej hacjendy wydawały się być jeszcze w jakim takim stanie. Na ich spotkanie wybiegł zza węgła pies, przeraźliwie ujadając. Suka. Wydawała się dobrze karmiona, może nawet przekarmiona. Miała połyskliwą czarną sierść, białe łapy i podbrzusze. Typowa skundlona znajda, agresywna i podejrzliwa.

Z rozwieszzonego na werandzie bardzo długiego i bardzo brudnego, niegdyś białego, hamaku rozległ się głos: — *Tais-toi, Slinky!*

Pies położył się, przestał czekać, ale wciąż warczał. Eric Laparte wysunął długie nogi z hamaku i usiadł, przeciągnął się i długo koncentrował wzrok, by rozpoznać przybyłych.

— *Mon Dieu!* — wykrzyknął wreszcie. — Byłem pewny, że nie żyjecie!

Creasy i Do podeszli do werandy, przyglądając się dwumetrowej wysokości chudzielcowi o wystających żebrach, odzianemu tylko w spłowiałe szorty koloru khaki. Całość w wątpliwy sposób ozdabiała siwa broda i niechlujne siwe włosy aż do ramion. Twarz była wychudzona i brudna, oczy głęboko zapadnięte.

— Drinka wam nie zaproponuję, gdyż nie mam ani kropli w całym domu.

— To dziwne — odparł Creasy spoglądając znacząco na Do. — Powiedziano mi, żeś popłynął na całego.

— Tak było, ale się skończyło — odparł Francuz. — Przed trzema tygodniami. — Wskazał na resztki muru otaczającego zarośnięty ogród. — Pozostałe pół butelki rozbiłem na tym murze. A to nawet była niezła *tequila*.

— Skąd ta nagła decyzja?

— Bo sobie uświadomiłem, że zabijam nie tylko siebie.

— A kogo jeszcze?

Laparte wskazał głową na czarną sukę.

— Slinky. Po ostatnim zachlaniu się *tequilą*, leżałem nieprzytomny chyba ze trzy dni. Kiedy rozpoznałem boży świat, Slinky siedziała koło mnie, lizała mnie po twarzy i pojękiwała. . . Nie chodziło jej nawet o jedzenie, jej chodziło o mnie. Wyobraźcie sobie! O mnie!

— I od tego czasu nie pijesz?

— Nic a nic. Dość tego.

— Potrafisz jeszcze strzelać?

— Jeszcze jak!

— Pokaż!

Laparte obrócił się na pięcie i wszedł do domu. Pies pozostał obserwując podejrzliwie Creasy'ego i Do. Po paru minutach Francuz wrócił, niosąc w jednym ręku pistolet, w drugim magazynek.

— Wyznacz cel — powiedział.

Creasy wskazał mu oleander stojący o kilkanaście metrów.

— W kwiatki.

Laparte chyba w tym samym ułamku sekundy włożył magazynek, odbezpieczył pistolet i nacisnął spust. W każdym razie uczynił to tak szybko, że trudno było dostrzec poszczególne ruchy. Rozległ się jeden przeciągły huk całej serii strzałów. Oleandrowe kwiaty pojedynczo spadały na ziemię. Minęło zaledwie kilka sekund. Creasy krótkim spojrzeniem porozumiał się z Do, a potem podszedł do Erica i, klepnawszy go w plecy, powiedział: — Spłynąłeś, ale udało ci się wygrzebać na brzeg. Jesteś już chyba suchy. Mam dla ciebie robotę. Dobrą robotę.

Dwie godziny później stali przed wejściem do ekskluzywnego pensjonatu dla psów. Eric Laparte, u którego stóp siedziała Slinky, wyraźnie nie był zadowolony:

— Kiedy ja ci mówię, że nie lubię tych ludzi. Oni są *antipathique*.

Creasy podniósł wzrok ku niebu, prosząc Boga, by mu dał cierpliwość.

— Na miłość boską, Eric! Przecież ona tu będzie aż przepieszczana, nawet te ich cholerne jednoosobowe psie budy są klimatyzowane, a dam im tyle forsy, że twojej cholernej suce mogą dwa razy dziennie podawać befszytk z polędwicy w sosie *bearnaise*, jeśli tylko będzie miała ochotę.

— Oni nie są *sympathique* — upierał się Francuz. — Wiem, że Slinky ich nie polubi.

Creasy wpadł w złość.

— Słuchaj no, Eric, te litry *tequili*, któreś w siebie wlewał przez minione miesiące, uszkodziły ci mózg. Robota warta jest prawie pół miliona franków szwajcarskich i nie potrwa nawet miesiąca, a ty się martwisz pieprzonym kundlem?

Wreszcie Eric ustąpił i zaczął prowadzić negocjacje z kobietą, która właśnie pokazała się na ogrodowej alejce. Wręczając jej psa, Eric powiedział na zakończenie: — Jeśli po powrocie nie zastanę psa w dobrej formie, to nie chciałbym być na pani miejscu.

Creasy i Do nie byli wcale zdziwieni takim zachowaniem Erica. Wiedzieli, że najwięksi twardziele okazują sentymentalną słabość wobec zwierząt albo dzieci.

42

Od pół godziny Duńczyk Jens tkwił przed laptopem IBM przeglądając poszczególne pliki. Za nim stał Sowa, zapatrzonej w monitor.

Wreszcie Jens zrobił przerwę.

— Wyobraź sobie, że na tej dyskietce mamy absolutnie wszystko, wszystkie informacje, jakie policji udało się zgromadzić na temat 14K. I to od 1948 roku. Są tu nawet komputerowe obrazy otoczonej murem willi w Sai Kung, w której mieszka Tommy Mo.

— Ale powiedz mi, dlaczego? Dlaczego po zmyciu głowy, inspektor Lau daje nam taką dyskietkę? — spytał Sowa.

Jens wstał i przeciągnął się. Podszedł do okna, za którym rozpościerała się panorama portu. Poza rodziną Jens miał trzy pasje: kochał komputery, uwielbiał przyglądanie się promom, no i podniecał się węszeniem za najlepszym piwem na świecie.

— Aby zrozumieć inspektora Lau — odparł — trzeba być policjantem, a co najmniej byłym policjantem. Frustracja! Frustracja policji we wszystkich cywilizowanych państwach świata, gdzie istnieją surowe przepisy dotyczące praw człowieka. Policjanci często znają dobrze przestępcę, znają dokładnie popełnione przezeń zbrodnie, ale mają związane ręce. Przełożonego Lau zamordowała triada 14K, ale on nie ma na to dowodów. Tommy Mo jest biały jak śnieg, nigdy nie brudzi sobie rąk. Otacza go siatka ochronna. Ta willa, którą wiedziałem w komputerze, i wszystkie inne jego posiadłości należą do podstawionych firm. Triady operują w Hongkongu całkowicie bezkarnie. Policja wychwytuje czasami jakieś drobne płatki. Nigdy nie dociera do wyższych kręgów. I dlatego właśnie otrzymaliśmy od inspektora Lau ten bezcenny prezent... bezcenny dla naszej operacji.

Sowa wciąż był sceptyczny.

— Sądzisz, że wiedzą o tym jego przełożeni?

— Oczywiście. Wiedzą o wszystkim. Gotów jestem się założyć, że szef policji wprost mu powiedział: „Zrób, co trzeba... ale ja o tym nic nie wiem”.

— Tak sądzisz?

— Tak. Oni wiedzą o nas wszystko. Domyślili się, że wkrótce przybędzie tu Creasy z resztą ekipy i że już załatwił, co potrzeba, w sprawie broni. Zastanów

się, gdyby nas nie chcieli, to mogliby już nas aresztować i deportować. To, że tu jeszcze jesteśmy, oznacza, iż przymykają oczy, zostawiając nam wolne pole. Myślę, że inspektor Lau i szef policji otworzyliby szampana, gdyby Tommy Mo został wyeliminowany z gry. No, a jeszcze gdybyśmy przy okazji posłali na tamten świat paru jego głównych pomocników i wspólników, to radość nie miałaby już granic. — Wskazał na komputer. — Na dyskietce mamy pełną listę czołówki gangu, wszystkie nazwiska i dane triady 14K. Mamy w szczegółach opisane ich metody działania i sposoby myślenia. Zrobię z tego jakiś dwudziestostronicowy wyciąg dla Creasy'ego i reszty chłopaków.

Zadzwoił telefon. To był Frank Miller. Właśnie przybył przed godziną z Tomem Sawyerem, obaj zatrzymali się w hotelu „Hyatt”. Będą o siódmej wieczorem w hotelowym barze.

— Jak ci się podoba Hongkong? — spytał Australijczyk.

— Jestem w nim zakochany — odparł Duńczyk. — Miejscowe piwo San Miguel zupełnie niezłe, a z okna o każdej porze widzę co najmniej dwanaście promów.

43

Było ich dwunastu. Sami mężczyźni. Sami Chińczycy. Siedzieli wokół okrągłego stołu. W czasie spożywania kolejnych dań czujnie się obserwowali, niczym wygłodzone jastrzębie. Zabrali się właśnie do dziesiątego dania — kurczęcia w cytrynie z bambusową sałatką — kiedy jeden z mężczyzn cichutko stęknął. Natychmiast wszyscy wskazali go palcami, wybuchając jednocześnie głośnym śmiechem. W chwilę później uniósł się obrus obok mężczyzny i spod stołu wygramoliła się młoda dziewczyna.

Była to zabawa, w jakiej lubował się Tommy Mo. Uczestniczył w niej wraz ze swoją ochroną. Dziewczyna czekała już pod stołem, nim jeszcze wszyscy usiedli, potem kolejno każdego członka brała do ust. Wszyscy musieli zachować kamienne twarze. Pierwszy, który czymś się zdradził, płaciłby normalnie cały rachunek, ale ponieważ w tym wypadku kolacja odbywała się w pałacowym pomieszczeniu willi Tommy'ego Mo w Sai Kung, ofiara oszczędziła sporo pieniędzy. Przed posiłkiem, a właściwie wystawnym bankietem, odbyło się zebranie Wielkiej Łoży triad, z całym ceremoniałem i wszystkimi rekwizytami. Budynek loży znajdował się na terenie grodu otaczającego willę: czworokątna konstrukcja z czterema bramami. Bram strzegli mityczni generałowie znani jako Wielka Czwórka Wiernych. Na bramach widniały ich generalskie herby.

Dzisiejsze zebranie połączono z inicjacją nowego członka Wielkiej Łoży triad. Kandydat był zdobywcą nie lada: bogaty biznesmen, właściciel wielu przedsiębiorstw notowanych na giełdzie Hongkongu. Człowiek ten miał również doskonałe układy i dojścia do kół rządowych w Pekinie. Oczywiście takiego człowieka nie zamierzano wciągać ani nawet wtajemniczać w brudne sprawy i krwawe aspekty działalności triady. Niemniej trzymany w odwodzie mógł być bardzo użyteczny. Jego z kolei korzyści płynęły z rozbudowanej sieci informacyjnej 14K oraz zdolności zastosowania w razie potrzeby siły wobec jakiegoś krnąbrnego konkurenta.

Uroczystość inicjacyjna przebiegała pomyślnie. Kandydat już od tygodni był przyuczony, jak stosować tajemne sposoby witania się członków triady i podawania rąk, zapoznawany z ceremonialnymi strojami noszonymi przez wyższych funkcjonariuszy oraz ze znaczeniem czerwonej drewnianej baryłki wypełnionej ryżem. Znał też na pamięć trzydzieści sześć przysięg składanych podczas rytu-

alnego spełniania toastu z wina i krwi. Krew musiała pochodzić ze środkowego palca lewej ręki. Od tego dnia pytany przez jakiegokolwiek członka 14K, gdzie mieszka, miał udzielić standardowej odpowiedzi: „W trzecim domu na lewo”.

Podczas ceremonii obok baryłki z ryżem leżała czerwona pałka, którą okładano członków nie przestrzegających ścisłych reguł, oraz Miecz Lojalności i Cnoty. Z boku spoczywało symboliczne liczydło do sumowania wysokości odszkodowania od Mandżurów za pomoc w obaleniu rządzącej dynastii. Pozostałymi rekwizytami były różaniec i zakrwawiona opończa symbolizujące męczeństwo wymordowanych mnichów z klasztoru Szao Lin w prowincji Fukien, gdzie, jak niesie legenda, powstała pierwsza triada.

To właśnie nowo przyjmowany członek stęknął za okrągłym stołem. Pozostałych jedenastu stanowiło śmietankę dostojników triady 14K. Wszyscy byli odziani w rytualne suknie, lecz nastrój panował swobodny. Tylko Tommy Mo wydawał się nieco spięty. Miniony tydzień przyniósł kilka porażek. W londyńskiej restauracji trzech żołnierze 14K zostali zabici przez członków wrogiej triady. Najgorsze, że Tommy Mo nie znał przynależności sprawców i to go bardzo złościło. Triada 14K utopiła także sporo pieniędzy w firmie obrotu nieruchomościami. Prezes firmy umknął do Kanady z dwudziestoma milionami dolarów. Filia 14K w Vancouver już go co prawda poszukiwała, ale dotychczas bez powodzenia. No i wreszcie sprawa tego proszku z rogu czarnego nosorożca! Z Zimbabwe nadeszła wiadomość o śmierci Rolpha Beckera. Będzie teraz trzeba znaleźć kogoś innego w Zimbabwe lub w Zambii, aby pokierował kłusownikami.

Dwadzieścia kilka kilometrów od willi, w dobrze strzeżonym magazynie, spoczywało pięć i pół tony sproszkowanego rogu, kosztującego przy obecnych cenach sześćdziesiąt tysięcy dolarów za kilogram. Tommy Mo już od dziesięciu lat gromadził zapasy, wykupując wszystkie rogi, które trafiały na rynek. Postępował po prostu tak, jak międzynarodowi kupcy usiłujący zmonopolizować rynek srebra, złota czy innych cennych metali. Tommy Mo był bardzo dumny z tego, że jest absolutnym panem na rynku artykułu wartego więcej za gram niż jakikolwiek cenny kruszec. Wiedział dobrze, że na całym świecie jest jeszcze niespełna czterysta żywych nosorożców i że ich likwidacja dziesięciokrotnie zwiększy wartość posiadanych zapasów. A może i więcej niż dziesięciokrotnie?

Ale coś jeszcze poważnie zaniepokoiło Tommy'ego Mo. Triadzie 14K udało się wprowadzić trzech swoich członków w szeregi policji Hongkongu i jeden z nich dochrapał się nawet stopnia sierżanta. Chociaż nie pracował w wydziale do walki z triadami, miał w nim paru przyjaciół. Otrzymał polecenie dowiedzenia się, czego można, na temat kontaktów lokalnej policji z policją Zimbabwe. Tak na wszelki wypadek. I tego właśnie południa usłyszał, że zabicie Beckera i jego syna było rezultatem doskonale zorganizowanej operacji z udziałem zawodowych najemników, których wynajęła niejaka pani Manners, matka zamordowanej białej kobiety. Sierżant natychmiast przekazał owe informacje triadzie. Tommy Mo

już wiedział, że Lucy Kwok poleciała do Zimbabwe, skąd płynął wniosek, że natrafiono na nią łączącą wymordowanie jej rodziny ze śmiercią owej Carole Manners. Jeśli ta jej matka tak dyszy chęcią zemsty, to kto wie, czy nie będzie chciała zapłacić najemnikom za zabicie przywódcy triady 14K?

Początkowo ta myśl niesłuchanie rozbawiła Tommy'ego Mo. Sam pomysł, by banda białych najemników próbowała nań napaść na jego własnym terytorium, wydawał się śmieszny i nieprawdopodobny. Mimo to nieprzyjemne uczucie pozostało. Chociaż, przy jego pozycji, nikt nie miał prawa nań targnąć. Odrzucił złe myśli. Jutro ma otrzymać pełniejsze informacje z kwatery głównej policji. . .

Postanowił przestać myśleć o kłopotach. Uśmiechnął się do nowego członka organizacji.

— Może zadzwonisz do tej agencji, z której zwykle korzystasz, żeby nam tu przysłali kilka białych kobiet. Zabawimy się.

Jeden z uczestników biesiady, który wypił zbyt dużo ryżowego wina, zachichotał i wskazując palcem przez stół zaproponował: — A może i *gueilo* dla Hon Panga?

Zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się na Tommy'ego Mo. Ten wstał powoli. Twarz miał kamienną. Obszedł stół i zatrzymał się za człowiekiem, który wypowiedział powyższą propozycję.

— Popełniłeś wielki błąd — powiedział scenicznym szeptem. — Nie chodzi o to, że obraziłeś Hon Panga, ale że wypiliśmy za dużo w dniu tak uroczystym jak dzisiejszy. Ostatnio popełniłeś zbyt wiele błędów. Powierzyłem ci zadanie zabicia policjanta Colina Chapmana i tej kobiety, Lucy Kwok Lin Fong. Wykazałeś niekompetencję, w wyniku której kobieta zbiegła i obecnie stanowi dla nas poważne zagrożenie. Okazując po raz ostatni przychyłność, pozwalam ci wybrać sposób własnej śmierci.

Wielki biznesmen i przemysłowiec Hongkongu, przyjęty tego dnia do triady, przerażony przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu.

Człowiek, do którego Tommy Mo się zwracał, odparł, patrząc tępo w stół: — Chcę zginąć od Miecza Lojalności i Cnoty.

— Niecała, co prawda, ale część twarzy ocaliłeś — pochwalił go Tommy Mo. — A ty, Hon Pang, czyni swoją powinność, honor bowiem tobie przypada.

Wszyscy przeszli do sali zebrań Wielkiej Łoży, aby być świadkami wykonania kary. Nowy członek, dygocąc wewnętrznie, patrzył jak tryska strumień krwi z przeciętej na pół szyi.

Creasy przyleciał z Bangkoku. Pozostali mieli zjawić się w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin z różnych azjatyckich stolic i zamieszkać w różnych hotelach. Tylko Creasy zatrzymał się w wynajętym apartamencie, którego adresu ani lokalne władze, ani nikt niepowołany nie znał.

Przed odlotem z Bangkoku Creasy rozmawiał telefonicznie z Jensem, od którego dowiedział się, że wszystko jest gotowe na przyjazd grupy. Pani Manners przyleciała w towarzystwie Lucy i Rene. Cała trójka zamieszkała w hotelu „Peninsula”. Rene poinformował Creasy’ego przez Jensa, że pani Manners nie stwarza najmniejszych problemów. Korkociąg zawiadomił, że broń lada chwila dotrze na miejsce. Policja Hongkongu udawała, że wszystko wie i nie aprobeje ingerencji najemników, ale dostarczyła bezcennych informacji. Jens jeszcze przed przylotem Creasy’ego miał czas przeanalizować plan akcji.

Creasy usiłował przede wszystkim wniknąć w mentalność Tommy’ego Mo. Jedną rzecz wydawała się oczywista: jeśli Tommy Mo jest odpowiednio inteligentny i dotarła do niego informacja, że dybiący na jego życie ludzie są w drodze, to się po prostu ukryje, wtopi w środowisko, rezygnując chwilowo ze zwracającej uwagę świty. W takim przypadku Creasy nigdy go nie odnajdzie na tym najgęściej zaludnionym skrawku kuli ziemskiej. Jednocześnie Tommy Mo może wysłać swoich ludzi w celu wytropienia Creasy’ego i jego drużyny oraz fizycznego ich zlikwidowania. Opierając się jednak na swoim dotychczasowym doświadczeniu z tego typu ludźmi, Creasy doszedł do wniosku, że Tommy Mo nie będzie mógł i nie będzie chciał się ukrywać. Przemawiały za tym dwa powody. Po pierwsze, obawa przed utratą twarzy we własnym środowisku, co dla Chińczyka i przywódcy triady mogłoby okazać się katastrofalne, po drugie, Tommy Mo, jak większość brutalni, był w głębi duszy tchórzem, a więc nie do przyjęcia była myśl o ukrywaniu się bez żadnej osłony i ochrony. Tommy Mo psychicznie potrzebował całej otoczki i demonstracji atrybutów swej władzy.

Czuł się źle bez swych pretorianów z pistoletami. Można więc mieć nadzieję, że po prostu wycofa się za mury swej posiadłości w Sai Kung, nie zdając sobie sprawy, że zabarykadowanie się w willi z gromadką rewolwerowców stwarza tylko pozory bezpieczeństwa. Była to już przed stuleciami zakwestionowana przez

znawców przedmiotu strategia. Forty i twierdze nie dają obecnie ochrony. Tak, jest to niezwykle istotne, aby Tommy Mo zdecydował się na takie właśnie postępowanie. Z kolei Creasy przeanalizował sytuację we własnym obozie. Był niezmiernie zadowolony z doboru ludzi. W drużynie istniała równowaga między intelektem a wiedzą praktyczną. No i wszyscy to stare wygi, jeśli idzie o operacje w terenie. Może to i nie jest najmłodsza drużyna w historii wojen, ale w jej przypadku każdy znał różnicę między czczym gadaniem a zrobieniem swej roboty tak, aby nie oberwać kulką w łeb. Nie będzie więc wydawania bezmyślnych rozkazów i podejmowania bezmyślnych decyzji. Mogą być jedynie konkretne wnioski i sugestie. Zespół jest doskonały, nigdzie nie znalazłby lepszego.

Samolot przechylił się, podchodząc łukiem do lądowania.

Jeśli więc założymy, że Tommy Mo wycofuje się do swej willi, to musimy podzielić się na dwie grupy, pomyślał Creasy. Jedną poprowadzi on sam, a drugą Guido, z którym potrafi się porozumiewać niemalże telepatycznie. Teraz kto w której grupie? W miarę upływu minut cały plan zaczął przybierać coraz to bardziej realne kształty.

Myśli Creasy'ego powędrowały z kolei ku Lucy, wywołując pewien niepokój i mętlik w głowie. Lucy, to kobieta w jego typie. Tajemnicza i zmysłowa. Inteligentna i rozsądna. Potrafi zapanować nad uczuciami. To wszystko go zniewalało.

Gdy samolot znajdował się na ostatnim podejściu do lądowania, Creasy patrzył na panoramę wyspy Hongkong. Jakże wszystko się zmieniło od czasu jego ostatniej tu wizyty przed piętnastu laty. Zabudowa wyższa, gęściejsza. Między tymi milionami żyjących tu ludzi kręcił się jeden człowiek odpowiedzialny za śmierć Michaela. Czarny charakter jakiejś potwornej pantomimy, odziewający się w operetkowy strój na ceremoniału bez najmniejszego znaczenia, by jednocześnie dekretować, kto ma umrzeć, a kto może jeszcze pożyć. Człowiek czy nosorożec? Makabryczny dzoker ze znaczonej talii kart.

Koła podwozia zapiszczały na betonie pasa. Creasy szepnął w duchu: — Przybyłem po twą duszę, dzokerze!

45

Przypatrując się przez grube szkła twarzy inspektora Lau, komisarz policji powiedział: — Powinien pan być ze mną to omówić.

— Gdybym to uczynił, nie dałby mi pan pozwolenia — odparł inspektor Lau.

— Powinien pan stanąć przed komisją dyscyplinarną — oświadczył surowym głosem komisarz.

Inspektor Lau wzruszył ramionami.

— Niech mnie pan stawia. Przez ostatnie dziesięć lat pracuję w wydziale do walki ze zorganizowaną przestępczością. Jego dawna nazwa była krótsza, wydział do walki z triadami. Wszyscy dobrze wiemy, czym są triady i kto nimi kieruje, ale nic nie możemy zrobić. Zmarnowałem dziesięć lat życia. Przed paroma tygodniami mojego szefa zamordowały zbiry z 14K. Wiem, z czyjego rozkazu... I pan również to wie... ale nie możemy kiwnąć palcem. Tommy Mo publicznie się z nas wyśmiewa. Aresztujemy jakieś płotki, ale nie mamy najmniejszej szansy dotrzeć do szefów 14K. Jest to obraza dla mnie, zniewaga dla pracy, jaką w ściganiu przestępców włożył Colin Chapman. Zniewaga dla wszystkich uczciwych ludzi w naszym wydziale.

Komisarz spojrział na leżący przed nim jednostronicowy raport.

— No, to po co pan mi to dał? — spytał.

Inspektor Lau dobrze się zastanowił, nim odpowiedział: — Jestem zdyscyplinowanym pracownikiem zdyscyplinowanej policji. Przekazując dyskietkę Duńczykowi zламаłem przepisy. W pewnym sensie jest to moje przyznanie się do winy.

— Tak, zламаł pan prawo i naruszył przepisy.

— Przyznaję. Powodowała mną absolutna frustracja. Czytał pan raport od szefa policji Zimbabwe? John Ndlovu napisał wyraźnie, że podejrzewa Glorię Manners o finansowanie wyprawy do Hongkongu grupy najemników mających na celu zniszczenie 14K. Prawo nie zezwala nam na żadną współpracę z takimi ludźmi, ale mój raport, panie komisarzu, wyraźnie chyba sugeruje, że policja Hongkongu mogłaby nagle nieco oślepnąć. Na kilka dni. Podejrzewam, że Tommy Mo, który ma u nas swoje wtyczki, zdążył się już zapoznać z raportem Johna Ndlovu. Mamy informacje, że wczoraj Tommy Mo przeniósł się do willi Sai Kung wraz z Hung

Munem i około pięćdziesięcioma swoimi wyborowymi żołnierzami. Moim zdaniem chce tam przeczekać kilka dni i zobaczyć, co się stanie.

Komisarz coś mruknął i ponownie wczytał się w kartkę papieru na biurku.

— Przypuszcza pan, że ci ludzie przylecą na fałszywych paszportach, i sugeruje pan, żeby polecić kontroli granicznej, aby przez najbliższe kilka dni mniej rygorystycznie traktowała pasażerów z podejrzanymi dokumentami? — surowo spojrzął na inspektora Lau. — Dzięki doskonałej pracy pańskich ludzi i swojej odkrył pan, że ci najemnicy mają kryjówkę w wynajętym domu przy Braga Circuit i że w ciągu najbliższych kilku dni przypuszczają natarcie na willę w Sai Kung. Podejrzewa pan, że wwiozą nielegalnie broń albo będą chcieli ją tu zakupić. Wszystko to jest gwałceniem naszych przepisów, naszego prawa. I ma pan jeszcze odwagę żądać, aby na to przymknąć oczy?

Obaj Chińczycy znowu zmierzyli się wzrokiem przez grube szkła okularów. Trwało to wiele sekund.

— Musimy mieć prawa i przepisy — ciszę przerwał wreszcie inspektor Lau. — Dobrze to rozumiem jako policjant. Ale nawet policjanci ulegają emocjom. Colin Chapman nie był *gueilo*. Był jednym z nas. Był pańskim przyjacielem i moim. Lepiej znał naszą własną kulturę niż my. I wiemy, że został zamordowany na osobisty rozkaz Tommy'ego Mo. Czasami sprawiedliwość objawia się w bardzo dziwnej formie. Złamałem dyscyplinę i ma pan pełne prawo wyciągnąć wobec mnie konsekwencje. . . Z góry akceptuję pana decyzję.

Komisarz policji raz jeszcze spojrzął na leżący przed nim raport, a potem podniósł go, podarł na drobne kawałki i wrzucił do kosza.

— Nigdy tego nie widziałem, ale jeśli gubernator wyśle mnie na tysiąc lat do więzienia, to będziemy dzielić celę.

Inspektor Lau wstał.

— Być może, że kiedy ten Creasy zapozna się z zawartością dyskietki, dojdzie do wniosku, że ryzyko nie warto jest pieniędzy, bez względu na wysokość zaproponowanego jemu i jego ludziom honorarium. Jedna rzecz jest bowiem pewna: wszystkie szanse są po stronie Tommy'ego Mo. Wszędzie ma uszy i oczy. Nawet w policji. Może nawet wśród moich ludzi. Przekazanie Duńczykowi dyskietki nieco polepszyło szansę najemników. Jeszcze bardziej poprawi je spełnienie mojej prośby przymknięcia oczu przez policję i służby graniczne. . . Ale w sumie jest to niewiele. Według mojej oceny ci ludzie mają dwa procent szans na dotarcie w pobliże Tommy'ego Mo. Ale dwa procent to dużo więcej niż zero. To dużo więcej, niż miała policja Hongkongu przez wszystkie minione lata.

Komisarz policji też wstał.

— Spełnię pańską prośbę i wydam odpowiednie polecenia. Przez najbliższe kilka dni paszporty nie będą zbyt skrupulatnie sprawdzane. Jednocześnie obecność policji na półwyspie Sai Kung będzie znikoma, gdyż policjanci okażą się potrzebni gdzie indziej. . .

Inspektor Lau ruszył ku drzwiom. Gdy sięgał już do klamki, komisarz powstrzymał go pytając: — Zastanawiał się pan, jaka może być reakcja Tommy'ego Mo?

— Tak. Będzie przeciwdziałał.

— Gdzie i kiedy?

— Zacznie od tej kobiety, Glorii Manners, która finansuje przedsięwzięcie.

— Jak to będzie chciał zrobić?

— Gloria Manners zajmuje apartament prezydencki w hotelu „Peninsula”. Mieszka z nią Lucy Kwok. 14K ma cel podwójny, nie udało im się bowiem zabić Lucy Kwok za pierwszym razem. Będą chcieli naprawić to teraz.

— Ten Creasy zorganizuje im z pewnością ochronę?

— Oczywiście.

— Ale chyba pan nie wątpi, że 14K potrafi wprowadzić do personelu hotelu swoich ludzi?

— Na pewno, ale sądzę, że Creasy to przewidział.

46

— Przyleciała.

— Kto?

— Ta kobieta. Gloria Manners.

— Gdzie mieszka?

— W apartamencie prezydenckim hotelu „Peninsula”.

— Jest sama?

Hung Mun zaprzeczył ruchem głowy.

— Przyleciała prywatnym samolotem. Z Lucy Kwok.

— Tylko ona i Lucy Kwok?

— Nie. Jest z nimi jeszcze mężczyzna. Posługuje się belgijskim paszportem na nazwisko Rene Callard. Razem przeszli kontrolę paszportową. Na lotnisku czekał na nich dyrektor hotelu. W godzinę potem samolot odleciał do Bangkoku.

— Czy mamy kogoś w hotelu „Peninsula”?

— Mamy swoich ludzi we wszystkich hotelach Hongkongu z wyjątkiem tego jednego — odparł Hung Mun. — Personel „Peninsula” oddany jest rodzinie Kadoorie.

— Trudno... ale mamy swoich ludzi na lotnisku. Czy przyleciał już ten Creasy albo Maxie MacDonald?

— Komputery kontroli granicznej nie wykazują takich nazwisk.

— Mogą mieć fałszywe paszporty?

— Mogą... i dlatego chwilowo musisz zostać w Sai Kung.

Tommy Mo spojrział na trzymaną w ręku kartkę.

— Zabijemy tę staruchę i wszystko się skończy — mruknął.

— Nie sądzę. Myślę, że ten Creasy przybędzie i tak, i że nie powstrzyma go jej śmierć. Kobieta na pewno będzie pod ochroną. Ona mieszka na piątym piętrze w apartamencie prezydenckim. Dostanie się do niej będzie bardzo trudne.

— Powiedziałeś mi, Hung Mun, że powinniśmy pierwsi uderzyć. Co więc proponujesz?

— Musimy porwać Lucy Kwok. Ona będzie elementem przetargowym.

— Jak dotrzemy do Lucy Kwok, skoro jest bez przerwy z tą Manners i ma ochronę.

- Musimy ją wywabić z hotelu.
 - Jak to uczynimy?
 - Musimy pilnować jej hotelu i wszystkich innych hoteli w tym rejonie.
- Dzień i noc.

47

Celnik przestudiował list przewozowy i rachunek za fracht, potem podniósł wzrok na stalowy kontener o wymiarach cztery metry na dwa. Obrócił się do przedstawiciela przewoźnika, a tak się złożyło, że był to jego kuzyn, i spytał z nutą ironii w głosie: — Chciałbym wiedzieć, po co ktoś przesyła meble drogą lotniczą, płacąc za to więcej, niż warte są meble?

Kuzyn wzruszył ramionami.

— Klient jest bardzo bogaty i nie lubi długo czekać. — Przedstawiciel przewoźnika nie martwił się o przesyłkę. Poprzedniego wieczoru zaprosił kuzyna-celnika na kolację do restauracji „Dim Sum” i po uiszczeniu rachunku za wykwinny posiłek podsunął współbiednikowi kopertę z dwoma złotymi suwerenami.

Celnik raz jeszcze rzucił okiem na list przewozowy.

— To bardzo ciężkie meble. Ważą ponad dwie tony.

— Pełny mahoń — padła odpowiedź.

* * *

Po dziesięciu minutach przedstawiciel przewoźnika opuszczał strefę celną, jadąc za ciężarówką z kontenerem. Na krótko zatrzymał się w bocznej uliczce w pobliżu Nathan Road. Otworzyły się drzwiczki samochodu i na miejsce obok kierowcy wsunął się Korkociąg Dwa.

— Były jakieś problemy?

— Żadnych, *sir* — odparł Chińczyk. — Wszystko jest na ciężarówce stojącej przed nami.

* * *

Creasy i Frank Miller właśnie kończyli posiłek, który sami sobie przygotowali w wynajętym domu, kiedy usłyszeli dzwonek. Porozumieli się spojrzeniami, po czym Frank wstał ocierając usta papierową serwetką, i poszedł korytarzykiem do drzwi wejściowych. Creasy ruszył za nim. Frank nacisnął guzik domofonu.

— Kto tam?

— Korkociąg Dwa z koszem zabawek.

* * *

Po pół godzinie wszyscy trzej rozpakowywali starannie owiniętą broń, dokładnie sprawdzając każdą sztukę. Oprócz dwóch *RPG-7*, były jeszcze cztery *Uzi* i sześć ultralekkich pistoletów maszynowych *FNP90*, które, ze względu na plastikowy szkielet, wydawały się niesłychanie delikatne, ale należały do najnowszej generacji bardzo skutecznych pistoletów krótkiego zasięgu. Następnie rozwinęli cały arsenał różnej broni, począwszy od *Colta M1911* aż po lekkie *Beretty*, a do tego zapasowe magazynki, pudełka z amunicją oraz irchowe kabury do przewieszenia przez ramię. Kolejno wyciągali z kontenera skrzynki z granatami, zarówno odłamkowymi, jak i zapalającymi, skrzynki z flarami, jeden moździerz kalibru 81 mm i żelazną skrzynkę z pociskami do niego, a wreszcie najrozmaitsze części ubioru: czarne spodnie i czarne koszule z długimi rękawami, czarne skarpetki, czarne buty, czarne pasy i torby do noszenia na piersi oraz czarne kominiarki.

Mniej więcej po godzinie zaczęli się schodzić pojedynczo pozostali. Po przedstawieniu Jensa i Sowy Ericowi Laparte i Do Huangowi, Creasy poprowadził wszystkich do jadalni, gdzie zasiedli wokół stołu do pierwszej strategicznej konferencji. Creasy zajął miejsce u szczytu i rozejrzał się po twarzach zebranych.

— Jesteśmy, kim jesteśmy, i nie wstydzimy się tego. Ty, Jens, i ty, Sowa, nie znacie słów, które zaraz usłyszycie, ale dla nas pozostałych są one świętą biblią. Jest to modlitwa, jej fragment właściwie, napisana przez francuskiego spadochroniarza, który poległ bohatersko w 1942 roku. Nazywał się Andre Zirnheld. Jego odwaga stała się legendarna. . .

Daj mi to, Boże, co jeszcze masz do dania.

Daj mi to, o co nikt jeszcze cię nie prosił,

Bo nie bogactwo, nie sukces i nie zdrowie.

Tych darów pula już dawno wyczerpana,

Tak często o nie ludzie modły zanoszą.
Daj mi więc, Boże, co jeszcze masz do dania,
A od przyjęcia czego ludzie się wzbraniają.

Chcę niepewności i niepokoju.
Chcę wrzawy, zgiełku, nawet bijatyki.
Jeśli na zawsze nagrodzisz mnie tym, Panie,
Będę się starał, by wszystkie me wybryki
Towarzyszyły mi do wyczerpania znoju.
Nie mogę bowiem mieć zawsze tej odwagi,
By o nie prosić wtedy, gdy mam dość spokoju.

Gdy skończył, zapanowała cisza. Przerwał ją Jens Jensen.

— Potrzebna nam była ta modlitwa. Informacje, jakie uzyskałem, mogą każdego śmiertelnie przerazić. Nie wszyscy opuścimy to miejsce żywi.

Odezwał się Eric Laparte. Miał twarz jak po nieudanej operacji plastycznej, przeprowadzonej przez niefachowego chirurga.

— Właśnie to stanowi część modlitwy — powiedział. — Celu nie osiąga się bez ryzyka, bez wytkniętego celu nasza krew nie ma wartości, a bez wartościowej krwi jesteśmy niczym. W życiu czasami się wygrywa, czasami przegrywa. — Wymownym spojrzeniem obrzucił zebranych. — No i może dla niektórych z nas wybiła godzina. Może już nawet dawno powinna była wybić... Ileż to już stoczyliśmy wojen? Ile ran odnieśliśmy?

Trochę mętne i bardzo emocjonalne wystąpienie Erica wywołało jednak szmer ogólnej aprobaty. Po nim głos zabrał Duńczyk przedstawiając sytuację.

Uruchomił swojego laptopa i przez godzinę bez przerwy mówił. Następnie Creasy zaproponował, by przez kilka kolejnych dni prowadzić rozpoznanie wokół willi w Sai Kung w celu wypracowania metody jej penetracji, frontalne natarcie bowiem byłoby krokiem samobójczym. Z kolei przedstawił podział na dwie grupy operacyjne. Według jego propozycji pierwszą poprowadziłby on sam. Należeliby do niej: Tom Sawyer, Frank Miller i Sowa. Guido dowodziłby drugą grupą w składzie: Maxie, Eric Laparte i Do. Creasy i Guido przedostaną się do willi przed rozpoczęciem operacji. Przydziały do grup podyktowane są specjalnościami poszczególnych ludzi, wyjaśnił Creasy. Maxie i Frank będą obsługiwać granatniki *RPG-7*. Eric i Do zajmą się moździerzem. Wszyscy będą poza tym mieli pistolety maszynowe, broń krótką i granaty.

— A co ja? — zapytał Jens.

— Ty jesteś odpowiedzialny za łączność z bazą operacyjną.

— Więc się nie nadaje do operacji w terenie, tak?

Creasy westchnął.

— Wiesz przecież, że ktoś musi zająć się koordynacją całej operacji? To jest właśnie twoje zadanie. Jesteś w tym bardzo dobry i wszyscy będziemy się czuli bezpieczniejsi, mając ciebie na zapleczu. Twoja rola jest znacznie ważniejsza niż któregokolwiek z nas.

Nim Duńczyk mógł cokolwiek odpowiedzieć, pozostali pomrukami zadowolenia pokwitowali racje wyłożone przez Creasy'ego, a Guido wtrącił: — Jens, to jest sprawa naszego bezpieczeństwa. W każdej akcji rzeczą najważniejszą jest wiedzieć, co robi i w jakiej jest sytuacji reszta ekipy. Wszyscy będziemy wyposażeni w telefony komórkowe i z chwilą rozpoczęcia operacji musimy mieć świadomość pełnej koordynacji. Wiem z doświadczenia, że jesteś świetny w tej robocie, jest to najważniejsze zadanie, któremu żaden z nas nie podołałby tak dobrze, jak ty.

Słowa Guido poparli wszyscy. Ułagodziło to Duńczyka, ale miał jeszcze jedno zastrzeżenie. Zerknął na Sowę, a potem powiedział do Creasy'ego: — Sowa nie jest zawodowym najemnikiem. Nigdy nie walczył w żadnej wojnie. Może on powinien ochraniać Glorię Manners zamiast Rene?

Nim Creasy zdążył otworzyć usta, Sowa oświadczył: — Walczyłem w wielu wojnach w marsylskich zaułkach, a to było znacznie niebezpieczniejsze niż Kongo czy Wietnam. Dziękuję ci za troskę o moją osobę, Jens, ale mam zamiar uczestniczyć w operacji od początku do końca i wyjść z niej cało.

— I pójdziesz do akcji z walkmanem u pasa i z Szopenem w uszach?

— Nie. W tym wypadku bardziej pasuje Wagner. Będę słuchał „Zmierzchu Bogów”.

Lucy Kwok była zaskoczona. Creasy zapowiedział jej, że po przybyciu do Hongkongu ma ani na chwilę nie opuszczać hotelu i być zawsze w pobliżu Rene Callarda. Tymczasem przed pół godziną Creasy zadzwonił do Callarda, potem rozmawiał z Gloria, a następnie z Lucy.

— Dokładnie za pół godziny wyjdiesz z hotelu, przejdziesz na drugą stronę Nathan Road do hotelu „Sheraton”. Pokój 54. Nie martw się. Dwóch naszych ludzi będzie cię osłaniać.

Zrobiła, co kazał, ale mimo zapewnień o pełnej ochronie była niespokojna. Wiedziała, że jest osobą poszukiwaną przez triadę. Przechodząc przez zatłoczoną arterię oglądała się w lewo i w prawo. Właściwie po co? Przecież i tak nie rozpoznałaby członka triady pośród innych ludzi. Wchodząc do hotelu, obejrzała się za siebie, spodziewając się dostrzec kogoś z ochrony. Daremnie. Nathan Road kipiała ruchem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i zawsze przewalały się nią tłumy ludzi. Przeszła przez hol do windy. Po dwu minutach pukała do pokoju 54. Drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty Creasy.

— Pomyślałem sobie, że najwyższy czas zapomnieć o wszystkim przez godzinę — obwieścił.

Po paru minutach leżeli spleceni na wielkim łożu. Zdumiewało ją, że człowiek prowadzący tak brutalne życie, jest taki tkliwy w miłości. Znał każde miejsce jej ciała, które pragnęło dotyku, pieśszoty i pocałunków. I jak na kogoś, kto nieustannie prze do akcji, był niesłychanie cierpliwy, doprowadzając się powoli do stanu, w którym każda jego cząsteczka pragnęła w nią się wedrzeć. I nawet wtedy zachował łagodność. Uświadomiła sobie, że niesłychanie szybko poznał sekret, jak należy z nią postępować.

Kiedy potem leżeli, tuląc się do siebie, zaczął mówić o przygotowaniach do czekającej ich akcji. Właśnie teraz Maxie i Guido obserwują willę. Za cztery godziny zmienią ich Tom Sawyer i Do Huang, a po następnych czterech Eric Laparte i Sowa. Ten dozór willi i jej otoczenia będzie trwał nieprzerwanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez co najmniej cztery dni. I dopiero wtedy powstanie ostateczny plan natarcia na willę. Grupa wzbogaciła się o dwu dodatkowych ludzi. Jednym jest Tony Cope, były oficer marynarki brytyjskiej, który spędził

wiele lat w elitarnej jednostce desantowej SBS, oraz Damon Broad, też były marynarz. Obaj znajdują się w tej chwili w Manili, załatwiając wynajem szybkiej łodzi motorowej i za kilka dni zjawią się na wodach Hongkongu, odbywając turystyczny rejs niezbyt daleko od półwyspu Sai Kung, na którym Tommy Mo miał swoją ufortyfikowaną willę.

Opowiedziawszy wszystko, Creasy wygrzebał się z łóżka i z minibaru pokojowego wyjął małą butelkę szampana „Möet et Chandon”. Nalał Lucy.

— Ty nie pijesz? — spytała.

— Może nie było tego widać w ciągu minionej godziny, ale ja w zasadzie pracuję — odparł z lekkim uśmiechem.

Upiła dwa łyeczki szampana i także się uśmiechnęła. — Pięknie pracujesz... Było wspaniale.

W zasadzie czuła się psychicznie i fizycznie odprężona, niemniej pozostały ślady jakiejś niepewności. Przedtem postanowiła nie poruszać tego tematu przed oczekującą go akcją, ale teraz pojawiło się pragnienie uzyskania choćby częściowej odpowiedzi.

— Kochasz mnie? — spytała.

— Nie jestem zbyt mocny w słowach i wyrażaniu uczuć. Bardzo wiele dla mnie znaczysz.

— Co to oznacza?

Znowu długo myślał.

— Zawsze uważałem, że jestem człowiekiem zmierzchu.

— Nie rozumiem.

— Od siedemnastego roku życia jestem żołnierzem. Biłem się w różnych zakątkach świata. Musisz pamiętać, że legionista w Legii Cudzoziemskiej bądź najemnik, to zawsze ostatnia linia obrony. Legia Cudzoziemska nigdy nie wygrała żadnej wojny. Jej jednostki były wysyłane na stracenie. Płacą ci za to. W pewnym sensie wszyscy byliśmy żołnierzami zmierzchu. Zawsze gotowi na zmierzch własnego życia, w pełni akceptując fakt, że lada chwila nastąpić może wieczna noc. W takich warunkach nie powinno się zakochiwać. Chociaż to się zdarza... I będzie zdarzać...

— Kochałeś swoją żonę?

— Tak.

— Powiedziałeś jej to?

— Tak. Ale późno. Ona sama wiedziała o tym dużo wcześniej. Nim ja jeszcze sobie to uświadomiłem.

— Czy kochałeś jeszcze kogoś... To znaczy kobietę?

— Tak. Jeszcze jedną kochałem. Ona też nie żyje. Może spadła na mnie jakaś klątwa i to jest powodem, dlaczego uciekam od tego słowa?

— Powiedziałeś jej, że ją kochasz?

— Tak. A w parę minut potem już nie żyła.

— Jak to się stało?

— Bomba w samochodzie. W Londynie.

Odstawiła szklanę z szampanem, położyła się i spojrzała na sufit.

— Miłość do ciebie to wielkie ryzyko.

Gładził jej kucze włosy.

— Najwyższy czas, abyś zdała sobie z tego sprawę.

49

Rene Callard wyglądał jak starzejący się playboy, ale w pracy był dokładnym zegarmistrzem.

Apartament prezydencki zasługiwał na swoją nazwę. Składał się z trzech sypialni, wielkiego salonu i osobnej jadalni. Miał także własną kuchnię. Był umeblowany chińskimi antykami i upiększony arcydziełami miejscowych rzemieślników. W poszukiwaniu ukrytych mikrofonów Rene przeszukał cały apartament centymetr po centymetrze. Następnie odbył rozmowę z dyrektorem i zaprosił na górę szefa hotelowej ochrony. Usadził drobniutkiego, bardzo inteligentnie wyglądającego Chińczyka naprzeciwko siebie, przy stole. Położył przed nim blok papieru i pióro, i obaj omówili kilka istotnych punktów związanych z ochroną. Rene przede wszystkim zażądał fotografii pokojówek obsługujących apartament oraz całe najwyższe piętro hotelu. Fotografie miały być opatrzone danymi pracowników. Na każdym piętrze znajdowały się pomieszczenia służbowe i kuchnie, a także przydzielony do nich personel. Rene chciał mieć również i jego fotografie oraz dane. I chciał każdego pracownika osobiście obejrzeć. Postawił warunek, by podczas pobytu pani Manners nie dopuszczano na najwyższe piętro nikogo z niższych pięter i nie dokonywano zmian osobowych. Zażądał następnie informacji o wszystkich gościach zajmujących apartamenty na najwyższym piętrze lub mających prawo wstępu do nich. Chciał znać ich narodowość i zawód.

Z tych żądań wynikało, że ochrona pani Manners ma nie ustępować ochronie zapewnianej głowom państw. Był jeden istotny wyłom w procedurze: na najwyższym piętrze nie będzie żadnych strażników. Rene chciał być jedynym uzbrojonym człowiekiem, jak również chciał znać twarze wszystkich upoważnionych do znajdowania się na tym poziomie. Gdyby ktoś z personelu zachorował i miał być zastąpiony kimś innym, to kierownictwo hotelu powinno natychmiast o tym zawiadomić. Jeśli ktoś z obsługi pragnie wejść do apartamentu, zobowiązany jest przedtem uprzedzić o tym telefonicznie, a po naciśnięciu dzwonka przy drzwiach odejść od nich w prawo, co najmniej na pięć metrów, i w żadnym wypadku nie trzymać ręki w kieszeni.

Hotelowy szef ochrony był pod wrażeniem. Od chwili powstania hotelu „Peninsula” w latach dwudziestych mieszkało w nim wiele głów państwa. Dyrekcja

hotelu była przyzwyczajona do sfory ludzi ochrony, którzy zakładali, że sama ich liczba wystraszy potencjalnych zamachowców i zapewni pełne bezpieczeństwo podopiecznym. A tutaj jeden samotny Belg. Ale jego instrukcje były w istocie precyzyjne i wyczerpujące.

— Spodziewa się pan czegoś? — spytał.

Rene wzruszył ramionami.

— Spodziewam się absolutnie wszystkiego, od przeciekającego kranu do trzeciej wojny światowej. — I dodał: — Jeśliby pani Manners lub panna Lucy Kwok miały opuścić czasowo apartament, pan lub pański zastępca będziecie o tym powiadomieni pięć minut przedtem. Rozumie pan, dlaczego?

— Chyba rozumiem — odparł Chińczyk uśmiechając się. — Gdyby ktoś z personelu ochrony dostrzegł jedną z dwu pań krążących po hotelu, a nie byłby o tym uprzedzony, pojawi się domniemanie, że mamy do czynienia, z podstawionymi osobami.

Rene był także pod wrażeniem inteligencji Chińczyka.

— Jestem pewny, że pani Manners wyrazi odpowiednio swoją wdzięczność.

Po pożegnaniu szefa hotelowej ochrony Rene zasiadł z Glorią Manners i Lucy Kwok, by z kolei z nimi omówić punkt po punkcie podjęte kroki i zasady postępowania. Pani Manners wysłuchiwała wszystkiego bardzo poważnie.

— Jesteśmy więc w złotej klatce — podsumowała.

— Świetnie to pani ujęła. A dziś wieczorem odwiedzi nas Jens Jensen ze swoim komputerem. — Rene postukał palcem w mały telefon. — Każdy z nas to ma i po rozpoczęciu akcji będziemy utrzymywać stałą łączność. Proszę nie dzwonić z telefonu hotelowego. Teoretycznie sieć jest bezpieczna, ale nigdy nie wiadomo...

— Kiedy przystępujecie do akcji? — spytała pani Manners.

— Jeszcze nie wiem. Ale coś mi mówi, że powinna się zacząć w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

— Nie jest panu przykro, że musi pan tu tkwić przy nas, zamiast uczestniczyć w operacji... być na pierwszej linii frontu?

— Zapewniam panią, pani Manners, że pierwsza linia frontu przebiega też przez ten apartament...

Nawet orzeł by jej nie wypatrzył. Kryjówkę zbudował Maxie MacDonald i wtapiała się w otoczenie jak drzewo w las. Tkwili w niej Eric Laparte i Tom Sawyer. Tom trzymał lornetkę o silnych szklach, Eric zaś notes i flamaster. Willa na terenie otoczonym murem znajdowała się poniżej, w odległości mniej więcej kilometra. Kryjówka była wygodna. Leżeli na śpiworach, przynieśli też kempingową lodówkę z kanapkami i zimnymi napojami. Za trzy godziny mieli ich zastąpić Maxie i Sowa.

Obserwację terenu rozpoczęli przed dwoma dniami. Z poczynionych notatek wyłaniał się schemat aktywności w willi i wokół niej. Często pojawiał się czarny Mercedes oraz otwarta furgonetka z żywymi rybami. Widać było pompę dostarczającą tlen do zbiornika, w którym pływały ryby. Równie często pojawiał się samochód-chłodnia. W obrębie willi znajdowało się kilkadziesiąt osób i trzeba je było karmić. Od czasu do czasu przybywali inni goście, prawie zawsze Mercedesami lub BMW, ale o bardzo różnych i nie do przewidzenia porach.

— Zapisuj! — powiedział nagle Tom. — Przyjechała śmieciarka.

Francuz spojrział na zegarek i odnotował. Śmieciarka zatrzymała się przed masywną żelazną bramą. Brama się rozwarła, wóz wjechał do środka. Obserwujący widzieli podwórzec. Nie działo się tam nic nadzwyczajnego. Wóz podjechał pod zabudowania służby. Kierowca podniósł tylną klapę, trzech służący wrzucili kilkanaście wypełnionych worków. Po dziesięciu minutach wóz wyjechał z bramy, kierując się ku wiosce Sai Kung.

Eric Laparte przerzucił kilka stron notatek.

— Są bardzo sprawni. Przez oba wieczory prawie dokładnie o tej samej porze, o siódmej wieczorem.

Tom Sawyer obserwował przez lornetkę teren willi.

— I popełniają błąd, stosując w tym przypadku rutynę. Samochody z zaopatrzeniem przyjeżdżają o różnych porach dnia. Tylko ta jedna śmieciarka zawsze o tej samej.

51

Tej nocy nie było księżycy. Creasy i Guido siedzieli w kucki między skałami, wpatrzeni w czarne morze. Od pół godziny nie wymienili ani słowa. Rozumieli się doskonale i słów nie potrzebowali. Poza tym czuli się dobrze w otulającej ich ciszy.

Obaj dostrzegli je jednocześnie: króciutkie mignięcie światła. Guido podniósł z ziemi wodoszczelną latarkę i dwukrotnie błysnął w odpowiedzi.

Po dziesięciu minutach gramolili się do gumowej łodzi, która bezszelestnie przybiła do brzegu. W łodzi znajdował się tylko jeden człowiek. Powitał ich bez słów, przez położenie dłoni na ramieniu.

Po pół godzinie siedzieli w wygodnej kabinie motorowej łodzi o nazwie „Tempest”, zatopieni w rozmowie z Tonym Copem i Damonem Broadem. Creasy i Guido popijali wodę mineralną. Obaj byli marynarze woleli dżin z grenadyną. Creasy nie miał zamiaru ich upominać. Marynarka brytyjska odniosła połowę swoich zwycięstw w pijanym widzie. Studiowano rozłożoną na stole mapę. Creasy opisywał dokładnie położenie wyspy i wraz z marynarzami wybierał odpowiednie miejsca kontaktowe.

— Powiedźcie mi teraz wszystko o tej krypie — poprosił.

— „Tempest” ma dwadzieścia metrów od rufy do dziobu, kompozytowy kadłub, dwa silniki wysokoprężne z turbodoładowaniem, łącznie dziewięćset koni mechanicznych. Maksymalna prędkość dwadzieścia osiem węzłów, ale optymalna dwadzieścia trzy. Przy prędkości optymalnej zasięg czterysta pięćdziesiąt mil morskich, to znaczy sporo ponad sześćset kilometrów, ale zainstalowaliśmy pokładowe zbiorniki, co podwaja zasięg. Aprowizacja na trzydzieści dni dla dwunastu ludzi.

Creasy uśmiechnął się porozumiewawczo do Guido i przyjmując służbowy ton oficera spytał: — Sprzęt na pokładzie?

— Oczywiście — odparł Tony Cope. — Kontrola graniczna i celna odbyła się wczoraj o godzinie czternastej zero zero. O szesnastej zero zero dżentelmen używający pseudonimu Korkociąg Dwa poprosił o zezwolenie wejścia na pokład. Podał właściwe hasło. Kilka minut później podjechała furgonetka z kilkoma skrzynkami części zapasowych do silników. Skrzynki miały stemple kontroli

celnej. Wewnątrz znajdowały się rozebrane dwa wielkokalibrowe karabiny maszynowe *Browning*. Odbyliśmy przejażdżkę po porcie i w tym samym czasie pan Korkociąg złożył karabiny i umocował je śrubami do pokładu. Jeden na dziobie, drugi na rufie. Karabiny są teraz zamaskowane odwróconymi dnem do góry gumowymi pontonami. — Tony Cope zerknął na Damona Broada i po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. — Ten pan Korkociąg, to swoisty oryginał. Kiedy skończył składanie i mocowanie karabinów, powiedział, cytując: „Już po robocie. Za dwie godziny lecę do domu. Wydaje mi się, że w Królewskiej Marynarce istniały niegdyś tradycje gościnności. Mam nadzieję, że się je kultywuje”. W efekcie wytrąbił prawie całą butelkę rumu obecnego tutaj Damona Broada, po czym zszedł na brzeg po wąskiej desce, jakby wypił tylko szklankę wody.

— Taki zawsze był — odparł Creasy. — Podczas roboty nigdy nie pije, ale po jej zakończeniu okoliczne bary muszą na gwałt uzupełniać zapasy.

* * *

Komisarz policji pracował do późnych godzin wieczornych, czym nie różnił się od wielu innych szefów policji na całym świecie. I podobnie jak oni, miał na głowie milion problemów. Jednakże tego wieczoru głównymi sprawami była triada 14K i nazbyt samodzielny inspektor Lau Ming Lan. Przed godziną otrzymał na pagerze prośbę inspektora o przyjęcie go na pilną rozmowę o dziewiątej trzydzieści. Komisarz policji miał bardzo mieszane uczucia na temat inspektora Lau i 14K.

W oczach inspektora Lau widać było błysk niecodziennego podniecenia, gdy podchodził do biurka szefa. Po przywitaniu przełożonego i zajęciu miejsca zaczął bez wstępów: — Jest ich co najmniej dziesięciu.

— Jakich dziesięciu?

— Dziesięciu ludzi grupy uderzeniowej tego Creasy’ego.

— Skąd pan wie?

Inspektor Lau wyjął z kieszeni telefon komórkowy, nie większy niż osiem centymetrów na pięć. Położył go na biurku.

— To najnowszy model Sony, wprowadzany na rynek przez Telecom w Hongkongu.

Komisarz wziął aparat, obejrzał go i odłożył.

— W istocie, cudo nowoczesnej techniki. Ale co z tego wynika?

— Założyłem, że Creasy będzie chciał mieć przede wszystkim stałą łączność ze swoimi ludźmi. Hongkong ma wspaniały system telefonii komórkowej. Zwróciłem się do naszego Telecomu, aby mi przedstawili zestawienie wszystkich

aparatów komórkowych sprzedanych lub wypożyczonych na krótki czas w ciągu ostatnich siedmiu dni. No i z otrzymanego zestawienia wynika, że pani Gloria Manners za pośrednictwem hotelu „Peninsula” wydzierżawiła dziesięć numerów, no i aparatów.

Komisarz usiłował nie okazać, że inspektor Lau mu zaimponował. Zaczął coś mówić o potrzebie utrzymania ładu i porządku zgodnie z prawem i przepisami, ale inspektor Lau wcale tego nie słuchał, opowiadając z zapałem dalej: — To jeszcze nie wszystko. Nacisnąłem trochę i otrzymałem z Telecomu częstotliwości, na jakich pracują te wypożyczone aparaty. Mogę słuchać wszystkich ich rozmów. I już słucham. Mam jeszcze jedną korzyść. Dzięki naszym stacjom radiolokacyjnym, z których korzystamy w walce z przemytem do Chin, możemy zlokalizować miejsce nadawania. Zaprogramowaliśmy komputer, podając mu częstotliwości telefonów Creasy’ego, i teraz każda ich rozmowa jest odnotowywana, z podaniem czasu i miejsca. Już mamy pierwsze rezultaty.

— Jakże?

Inspektor Lau wyciągnął z kieszeni wydruk komputerowy i przez chwilę go studiował.

— Jeden aparat jest oczywiście u pani Manners w hotelu „Peninsula”. Aha, pani Manners ani osoby z nią przebywające nie korzystają już z telefonów hotelowych. To znaczy odbierają, ale nie dzwonią same poza hotel. Drugi telefon znajduje się między aleją Kadoorie a Braga Circuit. Trzeci natomiast jakieś trzy kilometry od brzegu Sai Kung.

Komisarz policji spojrział z niedowierzaniem.

— Tak jest, panie komisarzu, oni mają jednostkę pływającą. Jacht „Tempest”. Przybył wczoraj z Manili, przeszedł rutynową kontrolę graniczną i celną. Załoga dwuosobowa... Dwaj Brytyjczycy. Dwie godziny po przyplłynięciu jacht otrzymał dostawę części zapasowych w paru sporych skrzyniach.

Komisarz westchnął teatralnie, wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po przestronnym gabinecie. Kiedy był już gotów, rozpoczął mowę. Wyrażała stanowcze opinie na temat prawnych i policyjnych aspektów całej sprawy.

Inspektor Lau wysłuchał wszystkiego pokornie ze spuszczoną głową. Kiedy szef skończył, podniósł głowę i spokojnie zawiadomił: — Ustaliliśmy jeszcze jedno miejsce, z którego ci ludzie dzwonią... .

— A mianowicie?

— Z odległości jednego kilometra od willi Tommy’ego Mo. Wnioskuje z tego, że willa jest przez cały czas pod obserwacją.

Komisarz kolejny raz westchnął.

— No, cóż, zaczął pan, trzeba kontynuować, ale zaklinam, ostrożnie. I od tej chwili niech pan do mnie z niczym nie przychodzi. Nie chcę nic słyszeć, nic wiedzieć... Niechże pan sobie idzie!

Będąc już przy samych drzwiach inspektor Lau skruszonym głosem wyjąkał:
— Jest jeszcze jedna ostatnia sprawa, panie komisarzu. . .

Ten siedział już za biurkiem, wpatrując się ponuro w blat.

— Czy aby na pewno ostatnia?

— Na świętą pamięć mojej ukochanej babki obiecuję, że ostatnia.

— Więc czego pan chce?

— Usiłowałem postawić się na miejscu Tommy’ego Mo i myśleć tak, jak on. . .

Jedno, co on na pewno wie, to, że Gloria Manners i Lucy Kwok Ling Fong zajmują apartament prezydencki w hotelu „Peninsula”. Z pewnością nie będzie próbował tam do nich dotrzeć. W hotelu są dobrze chronione. Na pewno będzie chciał wywabić jedną lub obie z hotelu.

— W jaki sposób?

— Nie mam pojęcia, ale znając jego możliwości i przebiegłość, nie wątpię, że znajdzie sposób.

— A więc?

— Są cztery wejścia do hotelu „Peninsula”, w tym wejście służbowe. Chciałbym mieć je wszystkie pod obserwacją, począwszy od dzisiejszego wieczoru.

Jego przełożony westchnął po raz nie wiadomo już który.

— Ale to oznacza dwudziestu czterech ludzi, po dwu ludzi na trzy zmiany, razy cztery?

— Dokładnie tyłu.

Komisarz zastanawiał się przez pełne dziesięć sekund, nim podjął decyzję: — Zgoda, ale najwyżej przez pięć dni. . . zdaje pan sobie sprawę, że zawsze brakuje nam ludzi?

— Tak jest, *sir*. I będę chciał sam sobie tych ludzi dobrać. I żeby bezpośrednio mi podlegali. . . Oprócz normalnych wozów, z jakich będą korzystali, potrzebne są mi jeszcze dwa nieoznakowane samochody na wypadek powstania zagrożenia. . .

Podobnie jak podczas poprzedniej rozmowy, obaj Chińczycy jakby zastygli i długo się w siebie wpatrywali przez grube szkła okularów. Wreszcie komisarz policji obrócił się z fotelem do klawiatury komputera i zaczął stukać w klawisze.

— Wydałem polecenie szefowi personelu i transportu, że przez pięć dni ma słuchać pańskich rozkazów i skrupulatnie je wypełniać — powiedział na zakończenie.

— Dziękuję, *sir*!

— Jesteś pewien?

— Jestem pewien — odparł Hung Mun. — Informację dostarczył pewny człowiek. Uzyskaliśmy fotografię Lucy Kwok i rozesłaliśmy ją do naszych ludzi we wszystkich hotelach. Jeden z naszych pracuje jako boy w „Sheratonie”. Przysięga, że widział tę kobietę ubiegłego wieczoru, kiedy wchodziła do pokoju 54. Pozostawała tam przez godzinę.

Tommy Mo był bardzo zadowolony.

— Oczywiście sprawdźcieś, kto mieszka w pokoju 54?

— Od dwu dni pokój ten zajmuje niejaki James Johnson. Rezerwacja na siedem dni. Ale prawie wcale tam nie przebywa.

— Wynikałoby z tego, że Lucy Kwok jest jego kochanką! — Tommy Mo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Należałoby to założyć.

— A więc zakładajmy, drogi Hung Mun, zakładajmy! I załóżmy, że Lucy Kwok odwiedzi go ponownie. Musimy tam mieć pod ręką ludzi. Każ wynająć pokoje na tym samym piętrze, a przy każdym wejściu do hotelu parę oczu.

— A jeśli ona tam się pojawi, to co robimy? Włamujemy się do pokoju i załatwiamy oboje? — spytał Hung Mun.

— Nie, bądźmy bardziej wyrafinowani. Trzeba ją przechwycić, kiedy opuści pokój, ale przed wyjściem na ulicę. Bez hałasu, dyskretnie. Nie chciałbym, żeby wmieszała się w to policja. Aha, i postaraj się o rysopis tego Johnsona. Może to ktoś, kto pracuje dla tej Manners.

Hung Mun wstał, skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

Wszyscy znajdowali się w domu przy Braga Circuit.

Zasiedli wokół owalnego stołu w jadalni do ostatniej strategicznej narady przed mającą nastąpić nazajutrz akcją. Na ścianie przed Creasym wisiała wielka geodezyjna mapa półwyspu Sai Kung z zabudowaniami, drogami, ścieżkami, konturami każdego pagórka, zagłębienia czy dolinki. Mapa była upstrzona strzałkami, krzyżykami i kółkami zrobionymi flamastrami w różnych kolorach. Obok mapy wisiał szczegółowy plan willi i otaczającego ją terenu. Creasy przerzucał strony notatnika, w którym w minionych dniach zapisywano wszystko, co dotyczyło ruchu w pobliżu willi i na terenie ogrodu za murem.

— Miałeś dobrą myśl, Tom — zwrócił się do Sawyera. — Najlepszym sposobem penetracji jest dla mnie i dla Guido śmieciarka. — Do Huang, poprowadzisz ten wóz, kiedy go porwiemy wkrótce po jego wyjeździe z miasta. Z naszych obserwacji wynika, że otwierają żelazną bramę na czas potrzebny, by wóz tylko wjechał, a potem ją natychmiast zamykają. Wóz jedzie następnie drogą omijającą willę, na jej tyły, gdzie stoi budynek służby. Guido i ja, którzy będziemy w śmieciarce z tyłu, tam właśnie wyskoczymy. Podczas gdy będę biegł w stronę willi, Guido osłoni mnie ogniem z pistoletu maszynowego i granatami, a następnie pośpieszy za mną. Eric, zajmiesz się moździerzem. To twoja specjalność. Mur nie pozwoli ci wiele dostrzec, ale Tom będzie miał doskonały wgląd, siedząc na pagórku. Chodzi o to, byś zaczął ostrzeliwać przestrzeń między budynkiem służby, gdzie przebywają też ludzie ochrony Tommy'ego, a willą natychmiast po tym, jak my do niej dobiegniemy. Jasne? Ludzie z ochrony nie mogą dostać się do willi w czasie, kiedy my będziemy rozprawiać się z Tommym Mo i jego najbliższymi współpracownikami. Jednocześnie Maxie i Frank wejdą do akcji z granatnikami. Ich zadaniem jest rozwalenie muru po jednej i po drugiej stronie. Z chwilą rozbięcia muru, moździerz milknie. Na teren wkraczają oba zespoły. Jeden jedną wyrwą w murze, drugi drugą.

Wstał i podszedł do mapy.

— W odległości ośmiuset metrów od willi mamy już brzeg. W tym miejscu czekać będą dwa pontony. Wystarczy dla obu grup. Jacht będzie stał nie dalej niż sto metrów od brzegu. Osłania ewakuację dwoma karabinami maszynowymi.

Płyniemy prosto na Filipiny.

Guido przyglądał się mapie.

— Zastępcy? — spytał.

Creasy rozejrzał się dokoła stołu.

— Jeśli ja oberwę, dowodzenie przejmuje Guido. Jeśli Guido dostanie, przejmuje was Maxie. Następny w kolejności jest Frank. — Wskazał na leżący na stole telefon komórkowy z minisłuchawką. — Przeprowadziliśmy próby. Działają świetnie. Wszyscy połączymy się w systemie konferencyjnym. Każdy będzie sły­szał wszystkich pozostałych i będzie mógł z nimi rozmawiać. Ale ograniczajcie to do niezbędnego minimum. Zwłaszcza z chwilą przystąpienia do akcji.

Creasy powrócił na swoje miejsce za stołem.

— Najważniejsze jest odcięcie ogniem zabudowań, w których mieszkają ochroniarze — zwrócił się do Erica Laparte. — Nikt nie ma prawa dobiec do willi.

Jeszcze co najmniej przez godzinę omawiali wszystkie szczegóły, dopóki Creasy i Guido upewnili się, że wszyscy zrozumieli.

Skończyli właśnie kolację i usiedli przed telewizorem, kiedy zadzwonił komórkowy telefon. Rene odebrał i odszedł z nim do okna, rozmawiając przyciszonym głosem.

— Czy to Creasy?! — wykrzyknęła Lucy. Kiedy potwierdził skinieniem głowy, dodała: — Chciałabym zamienić z nim kilka słów, kiedy skończysz...

Rene rozmawiał po francusku. Po wymianie jeszcze kilku zdań powiedział do Lucy: — Creasy chce przedtem mówić z Jensem.

Jens wziął słuchawkę. Tym razem rozmowa odbywała się po angielsku. Z krótkich odpowiedzi Jensa Lucy domyśliła się, że chodzi o ostatnie instrukcje przed operacją dnia następnego. Po kilku minutach Jens skinął na nią. Wzięła aparat i odeszła z nim jak najdalej.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— Wszystko dobrze — odparł. — Jak sobie radzicie?

— Siedzimy i czekamy... Chyba tej nocy nie będę spała.

— Musisz dobrze wypocząć.

— Wiem, postaram się... ale chyba... nie wiem... okropnie się boję.

— Nie masz się czego bać, Lucy. Rene zrobił wszystko, żebyście były bezpieczne.

— Ja się boję o ciebie, Creasy... Boję się o człowieka zmierzchu...

Roześmiał się.

— Człowiek zmierzchu zawsze ogląda potem kolejny wschód słońca.

— Mimo to się boję... Idziesz teraz spać?

— Nie. Jeszcze mam kilka telefonów o północy. Pozostało parę szczegółów do ustalenia.

— Jest dopiero dziesiąta wieczorem. — Mówiła spiętym głosem. — Mogłabym cię zobaczyć...?

— Lucy droga, ja nie mogę przyjść do ciebie, ty nie możesz przyjść do mnie...

— A to miejsce, gdzie spotkaliśmy się ostatnio? Masz jeszcze ten pokój?

— Mam, ale bez ochrony nie możesz wychodzić, a ja nie mam nic przygotowanego.

— Nie mógłbyś jej zorganizować?

Głęboko westchnął.

— Wiem, co ci chodzi po głowie, Lucy. Zawsze zachowują się tak kobiety, których mężczyźni idą na front albo podejmują niebezpieczne zadanie. Masz po prostu przecucie, że możemy się więcej nie zobaczyć. Zrozum, że nie ma takiej rzeczy jak przecucie. To po prostu echo naturalnego niepokoju.

— Jestem Chinką, Creasy. My mamy przecucia, nigdy niepokoje... Po prostu chciałabym spędzić z tobą godzinę, a jeśli miałbyś ochronę, to byłabym bezpieczna...

Nastąpiła znowu cisza w słuchawce.

— Nie istnieje stuprocentowe bezpieczeństwo... zawsze jest groźba, że coś się wydarzy.

— Tak cię proszę... — wyszeptała do słuchawki. — Ten jeden raz... Dla mnie...

Jeszcze się wahał. Słyszała, że rozmawia z kimś obecnym w pokoju. Wreszcie odpowiedział jej: — Okay, Maxie i Frank zgodzili się osłaniać cię... Ale bądź bardzo ostrożna, Lucy. Spotkamy się za pół godziny. Daj mi Rene.

Lucy oddała aparat. Rene przyłożył słuchawkę do ucha.

— Rozumiem. Zaraz ich zawiadomię. — Odłożył komórkowy telefon i na aparacie hotelowym wystukał numer szefa ochrony, którego zawiadomił, że w ciągu najbliższej pół godziny panna Lucy Kwok wyjdzie z hotelu i powróci mniej więcej po godzinie.

Przez następne pół godziny Lucy krzątała się wokół pani Manners, układając ją na noc w łóżku. Potem Rene otworzył drzwi i sprawdził, czy nie ma nikogo na korytarzu. Gdy Lucy wychodziła, ostrzegł ją: — Proszę zachować wielką ostrożność. Jeśliby ktoś chciał się zbliżyć, bez pytania w nogi.

— Możesz się nie obawiać, Rene, jestem szybsza od sarny. Nic mi nie będzie.

Bez żadnych obaw przechodziła przez Nathan Road wiedząc, że Maxie i Frank nad nią czuwają. Po kilku minutach pukała do pokoju 54. A po dalszych kilku minutach zadzwonił telefon w willi w Sai Kung.

* * *

Godzinę później pocałowała Creasy'ego po raz ostatni i przesunęła dłonią po jego obnażonej klatce piersiowej. Od chwili jej przyścia zamienili zaledwie parę słów.

Lucy zaczęła się ubierać, a Creasy na nic nie czekając zaczął wydawać dyspozycje przez komórkowy telefon. Przesłonił dłonią mikrofon i powiedział do Lucy: — Maxie czeka w holu. Do zobaczenia za parę dni.

Od drzwi obróciła się, by po raz ostatni na niego spojrzeć, potem wyszła na korytarz kierując ku windom. Korytarz był długi. Już zbliżała się do wind, kiedy po obu stronach otworzyły się drzwi. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Jedna dłoń przesłoniła jej usta, druga objęła ją w pasie. Nie zdążyła wydać żadnego dźwięku.

Napastników było kilku. Czterech albo pięciu. Gdy usiłowała ugryźć dłoń jednego z nich, otrzymała cios w głowę.

Pierwszy dowiedział się inspektor Lau.

W swoim własnym biurze zorganizował coś w rodzaju centrum dowodzenia. Pomagał mu młody konstabl, który był nie tylko ulubionym podwładnym, ale i elektronicznym geniuszem. Zmajstrował urządzenie, dzięki któremu inspektor mógł słuchać przez głośnik wszystkich rozmów przeprowadzanych przez Creasy'ego i jego ludzi z telefonów komórkowych. Drugi głośnik był podłączony do specjalnej sieci policyjnej, łączącej posterunki obserwacyjne wokół hotelu z kwarterą główną policji. O jedenastej dziesięć wieczorem nadeszła pierwsza wiadomość nadana na sieci policyjnej przez ekipę pilnującą wejścia do hotelu „Peninsula” od Nathan Road.

O godzinie jedenastej osiem z hotelu wyszła kobieta odpowiadająca rysopisowi Lucy Kwok. Poprzednio inspektor Lau wysłuchał rozmowy Creasy'ego z Rene i Lucy, i wiedział, że Lucy i Creasy mają się spotkać gdzieś w pobliżu.

Od godziny telefony komórkowe Creasy'ego i sieć policyjna milczały. Nagle jeden z głośników się ożywił. Creasy zawiadamiał Callarda, że Lucy wraca i powinna znaleźć się za pięć minut w apartamencie prezydenckim. Prosił jednocześnie Franka i Maxie, by potwierdzili, że słyszą, co też uczynili. Po trzech minutach Maxie zawiadomił, że Lucy nie pojawiła się w holu.

Minęło dalszych siedem minut, w głośniku ponownie zabrzmiał głos Creasy'ego. Z wydanych przez niego instrukcji inspektor Lau domyślił się, że Lucy Kwok została porwana i że stało się to między pokojem Creasy'ego a najprawdopodobniej windą. Nie było też chyba wątpliwości, że dokonała tego triada 14K.

Młody konstabl spojrzał pytająco na szefa.

— Nie wtrącamy się — odparł inspektor, wzruszając ramionami.

Konstabl przez chwilę intensywnie myślał.

— Jeśli to 14K, to na pewno zabiorą ją na „Czarnego Łabędzia” przy przystani Hebe. Już to czynili w przeszłości.

Z głośnika jednocześnie dobiegł głos Creasy'ego: — Jeśli to oni, to z pewnością zabiorą ją do willi na Sai Kung.

Po tych słowach w głośniku nastąpiły stuki i piski, po których inspektor Lau usłyszał inny głos: — Byłem na nasłuchu. Jestem sto metrów od drogi prowadzą-

cej do willi. Od dwudziestu minut nie przejeżdżał tędy żaden pojazd.

Konstabl wpatrywał się w komputerowy ekran. Rozpoznał głos. . .

— To jest ten Francuz, Eric Laparte.

Inspektor Lau wpatrywał się w głośnik, jakby oglądał święte zwiastowanie.

— To jest lepsze niż komputerowe gry Nintendo. . . W każdym razie bardziej podniecające.

Ponownie odezwał się Creasy: — Eric, zjedź do drogi. Postaraj się dotrzeć do zakrętu, gdzie samochód zwolni. Jeśli to będzie wielki czarny samochód, najprawdopodobniej Mercedes, to rozwał mu opony z pistoletu maszynowego. Gdzie jest Tom?

— Dwieście metrów ode mnie.

— Porozum się z nim. Niech zajmie pozycję po drugiej stronie drogi.

— Zrozumiałem, koniec.

W biurze inspektora Lau konstabl powtórzył z uporem: — Oni ją z pewnością wiozą na „Czarnego Łabędzia”.

Inspektor Lau oparł głowę na dłoniach i zaczął gorączkowo rozmyślać. Komponował scenariusz tego, co teraz może się dziać w hotelu „Peninsula”. Niemalże wyobrażał sobie tego Duńczyka, Jensa Jensena, jak siedzi pochylony nad laptopem, wyszukując wśród plików przegranych z dyskietki listy domniemanych kryjówek 14K. Na terenie królewskiej kolonii było ich co najmniej siedem. I właśnie jedna z nich to luksusowo urządzone rybacka dwudziestometrowa dżonka. Przywódcy 14K korzystali z niej gdy chcieli godnie podjąć kogoś, z kim prowadzili jak najbardziej legalne interesy. Dżonka miała obszerny salon ze świetnie zaopatrzonym barem, dwie duże kabiny z szerokimi królewskimi łóżkami oraz jadalnię, która z łatwością mieściła dziesięć osób. No a przy jadalni nowoczesną kuchnię. Stałą załogę stanowili czterej członkowie 14K. Dżonka stała w porcie jachtowym w zatoce Hebe. Wszystko to było dokładnie opisane na dyskietce, którą inspektor Lau dał Jensenowi. Inspektor Lau nie mógł się zdecydować. Aż świerzbiły go palce, żeby wystukać numer telefonu swego odpowiednika w policji wodnej, ale się powstrzymał.

Zaczęły go nękać wyrzuty sumienia. Komisarz policji z pewnością nie aprobowałby decyzji, jaka świtała w głowie inspektora. Lau jednak nie mógł się oprzeć. Poza tym doszedł do wniosku, że szala przechyliła się niebezpiecznie na korzyść Tommy’ego Mo. Odłożył mikrofon, który już wziął przed chwilą do ręki, ujął słuchawkę telefonu i wystukał numer. Po paru sekundach odezwał się Duńczyk.

— Czy poznaje pan głos człowieka, który wręczył panu dyskietkę?

— Rozpoznaję.

— W tej chwili siedzi pan przed laptopem i wywołał pan hasło „Kryjówki 14K”.

— To prawda — odpowiedział po sekundzie wahania Jens. — Skąd pan zna mój numer telefonu?

— To jest teraz mało ważne. Zaręczam panu, że o waszej sieci telefonicznej nie wiedzą niepowołani. Jedyne ja i mój asystent. Mamy pod obserwacją samochód, w którym jest Lucy Kwok. Wiozą ją na „Czarnego Łabędzia”. Policja nie będzie interweniować.

Inspektor Lau odłożył słuchawkę, nim Jens zdołał cokolwiek odpowiedzieć. Wrócił na miejsce przed głośnikiem, który powinien za chwilę zacząć go informować o rozwoju wypadków. I rzeczywiście po trzech minutach usłyszał telefon Jensa do Creasy’ego. Inspektor podziwiał zwięzłość rozmowy. Tej nocy Lau miał możliwość jeszcze wielokrotnie podziwiać swoich chwilowych sprzymierzeńców.

— Mam zamiar na naszą dziewczynę — powiedział Duńczyk.

— Gdzie jest i skąd wiesz?

— Wiozą ją na przebudowaną luksusową dżonkę rybacką w porcie jachtowym Hebe. Nazywa się „Czarny Łabędź”. Informacja od właściciela dyskietki.

Nastąpiła trzydziestosekundowa cisza. Inspektor Lau był pewien, że Creasy, w swojej kryjówce przy Braga Circuit, studiuje mapę.

— Jesteśmy osiem kilometrów od portu jachtowego w Hebe — rozległ się głos Erica Laparte. — Możemy tam być za dwanaście do czternastu minut.

Kolejne pół minuty ciszy w eterze i decyzja Creasy’ego: — Ty leć, ale zostaw Toma przy drodze. To może być fałszywka.

Konstabl odwrócił się od monitorów i spojrzał na twarz przełożonego.

— Wreszcie, Lau Sinsan! — powiedział. — Wreszcie... po tylu latach... Doczekaliśmy się.

Inspektor uciszył go ruchem dłoni, gdyż z głośnika dobiegł ich inny głos: — I ja też odebrałem, rozumiem. Mogę być za dwadzieścia minut przed portem jachtowym Hebe.

Konstabl powrócił do ekranu komputera.

— Z morza. Pewno „Tempest”. Inspektor był niezmiernie zadowolony.

— Tak, to ci dwaj panowie z marynarki brytyjskiej. Niegdyś. I niegdyś służba patrolowa na kutrach torpedowych. Fachowcy. Po akcji mają zmykać z drużyną Creasy’ego na Filipiny.

Nie odrywając oczu od monitora, konstabl sięgnął po termos z czarną kawą.

Jeszcze raz głos Creasy’ego: — Ustawcie się o milę morską na północ od portu Hebe. Jeśli coś wypłynie, trzymajcie na radarze. Niech na mnie czeka ponton, podaję współrzędne: B 14.

— Zrozumiano — padła odpowiedź.

Z kolei ciszę wypełniły słowa Jensa, który odczytywał informacje z dyskietki: — Przebudowana dżonka rybacka, „Czarny Łabędź”, ma dwadzieścia metrów długości i dwanaście szerokości. Zanurzenie dwa metry... charakterystyczny rufowy pokład trzy i pół metra nad powierzchnią. Dwa silniki General Motors o stu pięćdziesięciu koniach każdy, dają maksymalną prędkość dwunastu węzłów. Załoga czterech ludzi.

Głos o typowym angielskim akcencie odparł krótko: — Zrozumiałem.

Następnie odezwał się Creasy: — Słuchaj, Tony, muszę się dostać na dżonkę.

Inspektor Lau i konstabl słuchali zafascynowani, wpijając oczy w głośnik, jakby oprócz słów dostarczał obraz.

— Wykoncypowałem to już przed pięcioma minutami — odpowiedział głos z angielskim akcentem.

Eric Laparte wzywał Creasy'ego: — Spóźniłem się. „Czarny Łabędź” właśnie odpływa. Kieruje się ku wyjściu z zatoki.

— „Tempest” odbiera? — To był głos Creasy'ego.

— Odebraliśmy. Jesteśmy o dwie mile morskie od wejścia do zatoki. Zaraz weźmiemy dżonkę na radar i będziemy szli jej śladem w odległości mili.

— Masz włączone światła pozycyjne? — spytał Creasy.

— Chyba żartujesz — odparł Tony.

56

Lucy Kwok leżała na szerokim łóżku w głównej kabinie i wstuchiwała się w pulsujący warkot silników.

Do kabiny wepchnięto ją kopniakiem. Na przeguby dłoni i na kostki stóp założone miała kajdanki, jej usta krwawiły. Nie czuła bólu, tylko upokorzenie i ciężar winy. Leżała na gołym materacu, myśląc o straszliwym ryzyku podejmowanym przez ludzi, którzy chcieli jej pomóc. Poczła większe kołysanie, gdy dżonka wyszła z zatoki na pełne morze. Starła się, jak mogła, opanować lęk i obiecywała sobie, że bez względu na groźby, czy nawet tortury, nie podda się. Bólowi też się nie podda.

Inspektor Lau patrzył na oba zamarłe głośniki. Zerknął na konstabla, potem na zegarek, zbliżała się północ.

— No i co ty o tym wszystkim sądzisz? — spytał konstabla.

Konstabl bardzo lubił inspektora Lau, który zawsze wciągał podwładnego do akcji, zawsze zasięgał jego opinii.

— 14K wie dobrze, co się szykuje. Tommy Mo wie, że pani Manners w hotelu „Peninsula” jest płatnikiem. Dla mnie to logiczne, że będą z nią negocjowali. Najemników, których ona zaangażowała, Tommy Mo ocenia tak jak swoich żołnierzy. Ludzie do wykonywania poleceń, w sumie pionki, do zastąpienia w każdej chwili. Tommy’emu Mo nie przyjdzie do głowy, że mogą samodzielnie myśleć. Ale my wiemy, że oni myślą. Pani Manners wystrzeliła w stronę 14K pocisk. Pocisk leci i nic go nie zatrzyma. Słuchałem rozmowy tego Creasy’ego ze swoimi ludźmi. Słyszałem ich głosy. Oni są jak wystrzelone pociski.

— Mam dziwne przeczucie, mój drogi, że już niedługo zostaniesz sierżantem, a wkrótce potem starszym sierżantem. Przez ostatnie dwa dni spisywałeś się świetnie — oświadczył inspektor. — Co według ciebie nastąpi teraz?

— Pan też wie, co nastąpi, szefie — odparł policjant.

— Ale chcę usłyszeć od ciebie.

— Tommy Mo jest w swojej willi, myśląc, że ma asa w rękawie. W ciągu najbliższej godziny jeden z jego ludzi skontaktuje się z panią Manners, oświadczając, że jeśli nie odwoła najemników, to na srebrnej tacy dostarczy jej do hotelu „Peninsula” głowę panny Kwok.

— A jeśli ona ulegnie?

— Jeśli ona ulegnie, to Tommy Mo będąc tym, kim jest, i będąc jednocześnie szefem triady... a także Chińczykiem... wyczuje natychmiast swoją przewagę i będzie chciał ją dodatkowo wykorzystać, domagając się premii...

Widać było, że inspektor jest tego samego zdania.

— Ile zażąda?

— Paru milionów... dolarów amerykańskich.

— Co powinienem teraz zrobić?

— Powinien pan przysłuchiwać się negocjacjom.

— W jaki sposób?

— Pan wie doskonale, w jaki sposób — odparł konstabl. — Powinien pan uzyskać zgodę sędziego, która pozwoli kompanii telefonicznej Hongkongu na założenie podsłuchu w centralce hotelu „Peninsula”.

Inspektor Lau spojrzął na zegarek. Było trzydzieści minut po północy.

— Zdajesz sobie sprawę, co muszę zrobić, żeby dostać tę zgodę?

Konstabl uśmiechnął się.

— Wiem. Musi pan obudzić naszego ukochanego komisarza, a on z kolei musi obudzić naczelnego prokuratora. . . który następnie obudzi dyżurnego sędziego, ten zaś — jak obaj dobrze wiemy — musi mieć w domu nie tylko telefon, ale i faks. . . Następnie, zgodnie z nowymi przepisami, sędzia wyśle faks do dyżurnego oficera policji. Jest nim dziś główny nadinspektor George Ellis. Jego obowiązkiem będzie wydanie polecenia założenia podsłuchu na wymienione w zezwoleniu sędziowskim linie.

Inspektor Lau jęknął.

— Dziękuję ci, mój drogi, za przypomnienie mi tego wszystkiego. — Spojrzął na telefon. — Komisarz nie będzie zachwycony.

Konstabl wstał i przeciągnął się.

— Niech pan dzwoni, inspektorze, a ja przygotuję trzeci głośnik i co tam jeszcze trzeba.

Inspektor zapatrzył się w aparat telefoniczny jak pies w kość. Był już bliski podjęcia decyzji, kiedy w głośniku rozległo się radosne obwieszczenie mężczyzny z angielskim akcentem: — Mam łobuza na radarze. Kieruje się na Nine Pins. Profil radarowy pasuje do tej dżonki.

Była to noc westchnień inspektora Lau. Westchnąwszy więc, sięgnął po słuchawkę telefonu.

— To dlatego, że się w niej zakochałeś — powiedział Guido.

— To nie ma z tym nic wspólnego! — warknął Creasy.

Była to jedna z bardzo rzadkich chwil, kiedy przyjaciele się kłócili. Znajdowali się w ciemnym ogrodzie za ich kryjówką, reorganizując drużynę w obliczu ostatnich wydarzeń. Creasy właśnie oświadczył, że sam pójdzie spotkać się na jachcie z Tonym Copem i Damonem Broadem, a następnie z Tonym wejść na pokład „Czarnego Łabędzia”.

Guido upierał się, że pójdzie razem z Creasym, a w najgorszym wypadku wyznaczy mu kogoś do pomocy. Postanowiono, że próba odbicia Lucy nastąpi przed świtem i jeśli się powiedzie, to prawie natychmiast potem rozpocznie się operacja przeciwko Tomm’emu Mo.

W tej fazie rozmowy Creasy ostatecznie zdecydował, że uda się sam na jacht, natomiast Guido i Do Huang porwą śmieciarkę i w ten sposób oba zespoły pozostaną w przewidzianym poprzednio składzie.

Guido zbyt dobrze znał Creasy’ego, żeby się nie domyślić, podobnie jak i pozostali członkowie grupy, iż Lucy zakochała się w Creasym, a on odwzajemnia to uczucie. I dlatego właśnie Creasy był wściekły. Wiedział, że posądzają go o faworyzowanie jej ze szkodą dla całej operacji. A Guido nie mógł pogodzić się z decyzją Creasy’ego, że ten sam uda się na jacht.

— Słuchaj, Creasy, masz poprowadzić natarcie na willę. To twoje natarcie i twoja drużyna, nie moja. Pierwszym celem jest willa, Lucy ubocznym. Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby uwolnić Lucy. Wiem, co czujesz, ale to właśnie ja powinienem iść ją ratować, a ty musisz poprowadzić ludzi na willę.

W głębi duszy Creasy wiedział, że jego przyjaciel ma rację. Zrozumiał, że musi ustąpić.

— Dobrze. Ale nie zapominaj, że Tony Cope ma za sobą służbę w SBS. Jest w tych sprawach lepszym ekspertem od nas wszystkich razem wziętych.

Wrócili do domu. Wszyscy spali lub udawali, że śpią. Gdy nadeszła wiadomość o porwaniu Lucy, Creasy obudził tylko Guido. Nie było sensu niepokoić pozostałych. Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, czy i kiedy Tommy Mo będzie próbował skomunikować się z Głorią Manners. Jeśli nie dostaną w tej sprawie

żadnej wiadomości do drugiej nad ranem, Guido wyruszy na spotkanie z Damiem Broadem, który będzie czekał z gumowym pontonem.

Creasy obudzi pozostałych tak, aby o czwartej mogli wyruszyć pod willę.

Tymczasem Guido poszedł do kuchni, skąd po chwili wrócił z dzbankiem kawy i dwoma kubkami. Następnie wyjął talię kart i obaj przyjaciele zaczęli stawiać pasjansa, wzmacniając się od czasu do czasu łykiem kawy. Tak jak to często robili w przeszłości, przed świtem zapowiadającym poważną akcję.

„Czarny Łabędź” zadawał kłam swemu imieniu. Był pokraczny, szeroki i przyciężki na rufie. Stał teraz zakotwiczony między wysepkami o nazwie Nine Pins — Dziewięć Szpilek, około trzech kilometrów od południowo-wschodniego przylądka Nowych Terytoriów.

Na pokładzie pełnili straż dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe przewieszane przez ramię. W głównej kabinie pod pokładem pięciu innych piło whisky. Ósmy przebywał z Lucy Kwok w kabinie.

Po opuszczeniu przystani jachtów w Hebe rozebrali ją do naga i przywiązali za ręce i nogi do czterech słupków łoża. Następnie wszyscy wyszli z wyjątkiem przywódcy, który, sądząc po śniadej skórze i kantońskim narzeczu, jakim się posługiwał, należał do wojowników Czui Czau. Lucy oceniała go na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Musiał należeć do starej gwardii 14K.

Przyglądał się łakomie nagiej dziewczynie.

— Potrwa to długo albo załatwimy wszystko szybko. Powiesz mi wszystko, co wiesz o Amerykance i ludziach, których wynajęła — rozkazał. — Ilu ich jest, ich nazwiska, jaką mają broń i co zamierzają zrobić.

Widziała małe okrutne oczy i pomyślała sobie, że zapewne to on właśnie dowodził bandą, która zamordowała jej rodziców. Wściekłość zapanowała nad strachem i Lucy wyszczała najgorsze słowa, jakimi chińska kobieta obrzucić może mężczyznę: — Nie dostałbyś ode mnie nawet moich siuszków. — Wykręciła głowę i splunęła mu w twarz.

Odskoczył na bok i grzbietem dłoni zaczął ocierać plwociny z policzka. Gdy opuścił dłoń, ujrzała w jego oczach jad. Przez blisko minutę stał, przebijając ją okrutnym spojrzeniem. Potem z szafki wyjął kawał gumowej rury.

— Mam rozkaz wydobyć z ciebie informacje, nie pozostawiając na ciele śladów. Nie wiem, dlaczego mój przywódca okazuje tak miękkie serce, ale rozkaz wypełnię. Zadam ci wielki ból, ale śladów nie będzie żadnych.

* * *

Trwało to przez całą godzinę. Wiedział dobrze, jak używać gumowego węża. Po pewnym czasie zaczęła wyc z bólu, dłużej nie mogła już wytrzymać. W końcu górę jednak wzięła duma. Zamilkła i milczała, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Po godzinie odsunął się i patrząc na jej zmordowaną twarz powiedział: — Jesteś odważna, Kwok Ling Fong. I wytrzymała na ból. — Spojrzał na zegarek. Czyżby dano mu określony czas na zdobycie informacji, pomyślała.

Uśmiechnął się.

— Jesteś odważna ciałem, ale zobaczymy, czy i duchem oraz poczuciem godności. Jeśli nie powiesz mi natychmiast wszystkiego, wezwę pierwszego z moich ludzi, by cię zgwałcił. Nie uczyni tego łagodnie. Jeśli nadal będziesz uparta, wezwę następnego i on uczyni to samo. I następnego po nim, aż zaczniesz mówić. Jest nas ośmiu mężczyzn na łodzi. . . gdy ósmy zakończy, pierwszy znowu będzie gotów, i żaden z nas nie okaże łagodności. . . Będziesz gwałcona bez przerwy.

Usiłowała ponownie splunąć mu w twarz, ale miała zupełnie sucho w ustach. Roześmiał się głośni i podszedł do drzwi, otworzył je i wykrzyknął czyjeś nazwisko. Wszedł mężczyzna i stanął w nogach łóża. Słyszała dawane mu przez przywódcę polecenie. W oczach mężczyzny pojawiło się pożądanie. Zaczął odpinać pasek od spodni.

Telefon zadzwonił o drugiej czterdzieści pięć nad ranem. Zadzwonił jednocześnie w apartamencie Glorii Manners w hotelu „Peninsula” oraz w gabinecie inspektora Lau. Gdy pani Manners podniosła słuchawkę, usłyszała kulturalny głos z nienagannym angielskim akcentem. To samo usłyszeli z głośnika inspektor Lau i konstabl. Spojrzeli na siebie zdumieni.

— Pani Manners, jest mi niesłychanie przykro, że muszę dzwonić o tej porze przerywając pani sen, ale tak się wydarzyło, że miałem ostatnio okazję widzieć pani bliską znajomą, młodą chińską damę.

— Kim pan jest?

— Kim jestem i jak się nazywam, to w tej chwili zupełnie nie jest ważne. Dzwonię, ponieważ mam wrażenie, iż chciałaby pani tej młodej damie pomóc.

— Oczywiście, chętnie jej pomogę. Chodzi o pannę Lucy Kwok? Gdzie ona jest?

— Ona tak się nazywa? Nawet nie wiedziałem. Ale zdążyła mi powiedzieć, że wraz ze swoimi wspólnikami inwestuje pani spore kapitały w Hongkongu. Młodej damie, o której mowa, bardzo by pomogło, gdyby pani zaprzestała inwestycji i wysłała stąd wspólników.

— Gdzie ona jest?

— Tego nie wiem. Działam po prostu w imieniu moich wspólników, którzy zapewniają, że jeśli natychmiast zaprzestanie pani realizacji projektów inwestycyjnych z pani współdziaławcami, a zainwestuje pięć milionów amerykańskich dolarów z moimi. . . to wówczas młoda dama, o której na początku wspomniałem, będzie znacznie szczęśliwsza, niż jest obecnie.

— To żądanie okupu?

— Ależ nie, pani Manners! To po prostu sugestia dokonania alternatywnej inwestycji, i to w pilnym trybie, gdyż od tego zależy. . . stan naszej młodej damy. A obawiam się, że istnieje tutaj limit czasu, który będzie rygorystycznie przestrzegany. Musimy mieć pani odpowiedź w ciągu czterech godzin, a sama inwestycja musi być dokonana dziś do południa.

— Spodziewa się pan, że w ciągu ośmiu godzin mogłabym znaleźć pięć milionów dolarów?

— Wierzimy bardzo w pani możliwości. Rano skontaktujemy się z panią. Prosimy o dogłębne przemyślenie naszej propozycji.

Połączenie zostało przerwane.

* * *

Podczas rozmowy Gloria sporządzała notatki, wypełniając szczegółowo polecenie Creasy'ego. Po odłożeniu słuchawki podała notatnik Jensowi, który przez cały czas stał u jej boku wraz z Rene. Duńczyk wziął ze stołu telefon komórkowy, wystukał numer Creasy'ego i odczytał mu cały tekst.

* * *

Po drugiej stronie miasta inspektor Lau także zapisywał treść rozmowy, choć była ona automatycznie nagrywana, tak jak wszystkie rozmowy na podsłuchu. Spojrzał na konstabla i powiedział: — To był głos adwokata. Chińczyka, ale wykształconego w Anglii. . . Wskazuje na to akcent. Już ja dopadnę to ścierwo, mimo że w całej rozmowie nie było właściwie wyraźnych pogroźek.

— Ale powiedział, co miał powiedzieć — odparł konstabl. — Albo do jutra pięć milionów i odesłanie najemników, albo Lucy Kwok w złym stanie, czyli bez głowy.

Inspektor podniósł dłoń, nakazując ciszę. W drugim z głośników słychać było głosy. To właśnie Jens Jensen rozmawiał z Creasym. Następnie Creasy poprosił do telefonu Głorię i poinstruował ją, że kiedy za cztery godziny zadzwonią, ma akceptować tak zwaną sugestię i poprosić o szczegółowe informacje na temat sposobu przekazania pieniędzy. Zapewnił panią Manners, że do południa już będzie po wszystkim w tę czy w tamtą stronę. Dodał jeszcze, że pani Manners musi zażądać dowodu, czy Lucy żyje. Bez takiego dowodu należy odmawiać wypłacenia jakichkolwiek pieniędzy.

— Czy mam zażądać transferu tu, na moje konto, ze Stanów?

— Może to pani zrobić w tak krótkim czasie? — spytał Creasy.

— Oczywiście.

— To niech pani zrobi. Na wszelki wypadek. Jednakże mam absolutną pewność, że za pięć godzin Lucy będzie już wolna albo. . . martwa.

W głośniku zapadła długa cisza. Wreszcie odezwała się Gloria Manners: —

Creasy, posłuchaj, a może naprawdę powinnam się z nimi ułożyć? Zapłacić te pieniądze i odwołać całą akcję? W ten sposób ocalimy na pewno Lucy. A to jest najważniejsze...

— Czy pani nie rozumie, że nawet po otrzymaniu pieniędzy oni ją zabiją? — odparł martwym głosem Creasy. — Już zbyt daleko zaszliśmy. Musimy zakończyć sprawę. Niech pani ściśle wykonuje moje polecenia. Jest obok pani Rene? Chcę z nim mówić.

Po chwili ciszy Creasy zaczął mu wydawać instrukcje: nikomu nie otwierać drzwi aż do odwołania. Absolutnie nikomu. Jens i Rene mają przy tych drzwiach tkwić bez przerwy z pistoletami maszynowymi w rękach.

— Nie martw się, Creasy. Wszystkiego przypilnujemy.

I na tym rozmowa się skończyła.

— Spędzimy bardzo interesujący poranek — powiedział konstabl do inspektora Lau.

61

Tuż po trzeciej nad ranem otworzyły się drzwi do gabinetu inspektora Lau i wszedł komisarz policji.

Inspektor Lau zerwał się i stanął na baczność. To samo uczynił konstabl. Policja Hongkongu jest bardzo zdyscyplinowana. Komisarz był w nieformalnym stroju: dżinsy, podkoszulka i dżinsowa kurtka. Pobieźnym spojrzeniem obrzucił pomieszczenie, ale ożywił się, gdy zobaczył trzy głośniki zawieszone prowizorycznie na ścianie. Już miał zadać na ten temat jakieś pytanie, kiedy jeden z głośników zaskrzeczał ludzkimi głosami.

To Guido rozmawiał z Tonym Copem: — Potwierdzam spotkanie trzecia trzydzieści w B 14.

— Odebrałem.

Komisarz spojrzął pytająco na inspektora Lua, który jednak tym razem postanowił przejąć inicjatywę i w pewnym sensie przeszedł do natarcia: — Co pan tu robi, *sir*? O tej porze? W nocy?

Zanim komisarz odpowiedział inspektorowi, zerknął na konstabla. — Pytanie niezbyt błyskotliwe, skoro to właśnie pan obudził mnie w połowie nocy, aby uzyskać zezwolenie na podsłuch telefoniczny w hotelu „Peninsula”, a po wyciągnięciu ode mnie zgody życzył mi przewrotnie miłych snów... Jakże ja mogę miło śnić w podobnej sytuacji? Przyszedłem, żeby zobaczyć, co się, do tysiąca ziejących ogniem smoków, dzieje. Ale niech się pan nie frasuje, inspektorze Lau. Nie jestem tu ani jako przełożony, ani jako ktoś, kto zamierza się wtrącać. Coś mi jednak mówi, że jeszcze tej nocy nastąpią ciekawe wydarzenia, których chciałbym być świadkiem. — Wskazał na głośniki. — Posłucham co nieco. A kto to zainstalował?

Inspektor Lau, nadal wyprężony, wskazał policjanta.

— Konstabl Wang Mung Ho. Jest zapalonym komputerowcem od chwili opuszczenia łona matki. Prawy głośnik to nasłuch rozmów na sieci telefonów komórkowych ludzi Creasy’ego. Głośnik środkowy to rozmowy na sieci policyjnej. A ten po lewej to wszelkie rozmowy prowadzone na sieci miejskiej z aparatem w apartamencie prezydenckim hotelu „Peninsula”. — Wskazując na monitor obok konstabla, Lau dodał: — Wang wprowadził do komputera program, który

mu pozwala na identyfikację głosów oraz zlokalizowanie miejsca, z którego prowadzona jest rozmowa.

Komisarz podszedł do konsoly Wanga. W tym czasie odezwał się prawy głośnik. Mówił Damon Broad: — Spotkanie na plaży za trzy minuty. Za dwie minuty błysnij dwa razy.

Inny głos odpowiedział: — Odebrano.

Z kolei włączył się trzeci głos:

— Jesteśmy milę morską od Nine Pins, czekamy. Mam na radarze „Czarnego Łabędzia”. Jesteśmy na wyciszeniu.

Komisarz spytał konstabla: — O co chodzi?

Konstabl, który już od dłuższego czasu siedział za konsolą, zaczął wyjaśniać: — To był Damon Broad, który rozmawiał z Guido Arrello. Za trzy minuty zabierze Guido z plaży. Damon płynie wyciszonym pontonem. Przewiezie go na jacht „Tempest”. Guido i Tony Cope zaatakują jeszcze przed świtem „Czarnego Łabędzia”.

Komisarz wciągnął głęboko powietrze, jakby zamierzał wygłosić tyradę, ale zamiar ten unicestwiła kolejna interesująca rozmowa.

Tym razem Jensen mówił do Creasy’ego: — Świt mamy dziś o szóstej zero siedem. Śmieciarka wyjeżdża z Sai Kung o szóstej czterdzieści pięć. Przy współrzędnych E 12 jej prędkość spadnie poniżej piętnastu kilometrów na godzinę.

— Będę na nią czekał — padła odpowiedź.

Głośnik zamarł, więc konstabl wytłumaczył przełożonemu: — To był Duńczyk, Jens Jensen, który rozmawiał z Creasym. Duńczyk znajduje się w hotelu „Peninsula”, gdzie ma komputer, telefon i koordynuje całą akcją. — Konstabl spojrział na zegarek. — Za pół godziny cała grupa podejdzie pod willę Tommy’ego Mo. Mają zamiar do niej się wdrzeć.

Zza pleców dyrektora odezwał się inspektor: — 14K zażądała od Amerykanki Glorii Manners wpłacenia im dziś do południa pięciu milionów dolarów za uwolnienie Lucy Kwok. Będą do niej dzwonić po odpowiedź o szóstej rano. Pani Manners ma grać na zwłokę.

Komisarz przez cały czas stał. Miał ręce założone na piersiach i wpatrywał się w komputerowy ekran. Potem raz jeszcze obejrzał głośniki.

— Świetna robota, Wang Mung Ho! Doskonała! — pochwalił konstabla.

— Dziękuję, *sir* — odparł konstabl, nie odwracając nawet głowy, gdyż właśnie ożywił się jeden z głośników.

Creasy pytał Erica: — Jesteś z powrotem na stanowisku?

— Tak.

— Coś się dzieje?

— Nic.

— Za dwadzieścia minut budzę ludzi. Za godzinę zajmiemy pozycje wyjściowe.

— Jakieś info na temat Lucy?

— Guido w drodze.

Komisarz wreszcie usiadł wygodnie w fotelu, inspektor Lau włączył maszynkę do kawy, konstabl natomiast gorliwie coś wystukiwał na klawiaturze komputera. Wreszcie zawiadomił szefa: — Guido dopłynie do jachtu „Tempest” za około czterdzieści pięć minut. Z poprzednich rozmów wiemy, że Creasy i Do Huang mają zamiar porwać śmieciarkę o szóstej czterdzieści pięć, kiedy będzie opuszczała Sai Kung, kierując się ku willi Tommy’ego Mo.

Komisarz sprawdził godzinę. — Jest pan pewien, inspektorze Lau, że Tommy Mo i jego ludzie są w willi?

— Jestem pewien, *sir*.

Guido zostawił samochód i szedł skalistym poboczem na sam brzeg. W prawej ręce miał kompas, którym często się posługiwał, lewą podtrzymywał czarną torbę zawierającą ubranie, broń dla siebie i dla Tony'ego. Brzeg z wążutkim pasemkiem szarego piasku nie zasługiwał właściwie na miano plaży. Ukucnął wśród skał i nasłuchiwał odgłosu zaburtowego silnika pontonu. Słuchał już tak od dwóch minut i niczego nie usłyszał. Wyciągnął latarkę, dwukrotnie błysnął. Odpowiedział mu pojedynczy błysk od strony morza, nieoczekiwanie blisko.

Po dwu minutach czarna sylweta pontonu wślizgnęła się na piasek. Dostrzegł niewyraźną postać przy sterze. Wrzucił najpierw torbę, potem sam wsiadł.

— Niczego nie słyszałem — powiedział.

— O to właśnie chodziło — odparł Damon. — Rura wydechowa pod wodą, silnik osłonięty. Tak jest na wszystkich pontonach.

— Jaka sytuacja? — spytał Guido, gdy już płynęli w kierunku archipelagu wysepek Nine Pins.

— „Czarny Łabędź” stoi zakotwiczony między wysepkami. Przed godziną Tony zrobił małe rozpoznanie. Na szczęście zaopatrzyliście nas w noktowizory. Dwaj pilnują na pokładzie, ale to amatorzy. Siedzieli na dachu sterówki, co oznacza, że chociaż mogą widzieć wszystko daleko na morzu, nie widzą nic blisko, tuż pod sobą. Ponieważ księżyc jest w nowiu, a chmury gęste, więc nie widać nawet nic daleko na morzu. Tony ma plan.

— Oprócz tych dwóch, co się jeszcze dzieje?

Damon odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

— Tony podpłynął na trzysta metrów od dżonki. I kręcił się tam z godzinę. Przez połowę tego czasu słyszał kobiece krzyki. . . Potem umilkły.

W milczeniu przebyli resztę czterdziestominutowej drogi. Dopiero gdy podpływali pod jacht, Damon powiedział: — Cholernie chciałbym z wami pójść na tę dżonkę. . .

— Nic się nie martw, Damon — odparł Guido cicho i z przedziwną, budzącą dreszcz pieśczołliwością. — Kiedy tam się znajdziemy, zrobimy za ciebie to, co ty byś chciał zrobić.

Przez następną godzinę komisarz policji popijał tylko kawę i z niepokojem zerkał na milknące głośniki. Był człowiekiem bardzo zorganizowanym, ale okropnie niecierpliwym. Wreszcie nie wytrzymał i spytał konstabla:

— Może te twoje urzędnienia nawaliły?

— Nie, *sir* — odparł z szacunkiem konstabl. — Lada chwila zrobi się gwarno.

Minęło jeszcze pięć minut, aż wreszcie dały się słyszeć głosy. Konstabl, niczym przewodnik, informował, kto mówi i skąd.

Zaczął Guido od zawiadomienia Creasy'ego, że znajduje się na pokładzie jachtu „Tempest” i płynie w stronę „Czarnego Łabędzia”. Creasy natomiast obwieścił, że grupa opuszcza właśnie kryjówkę, udając się do Sai Kung. Wszystkie rozmowy odbywały się w dość hermetycznym żargonie środowiskowym. Bez wyjaśnień konstabla, komisarz byłby nieco zagubiony.

O szóstej rano drugi głośnik przekazał przebieg rozmowy Glorii Manners z pośrednikiem triady. Pani Manners oświadczyła, że zgadza się na dokonanie inwestycji i że już w tej chwili pieniądze są przekazywane do Hongkongu, a potwierdzenie dokonania transakcji nastąpi z pewnością przed południem. Z kolei rozmówca postawił warunek, by cała suma została wypłacona w złotych suwerenach, i wskazał bank Hang Seng jako najlepszą instytucję finansową, która może dokonać zamiany dolarów na złoto. Rozmówca oświadczył, że zadzwoni ponownie za dwie godziny, aby ustalić szczegóły wymiany suwerenów na pannę Lucy Kwok. Dziesięć minut potem Eric informował Creasy'ego, że wraz z Do Huangiem czatują przy wyjeździe z Sai Kung. Dziesięć sekund później Jens Jensen przypominał wszystkim, że brzask nastąpi za dwadzieścia siedem minut.

Komisarz oderwał wzrok od głośników i spojrzął na inspektora Lau.

— Pańscy przyjaciele są dobrze zorganizowani, ale ja w dalszym ciągu stawię na Tommy'ego Mo — powiedział.

— Ile pan stawia, *sir*?

— Wie pan dobrze, inspektorze, że w Hongkongu hazard jest zakazany... Kolacja w restauracji „Sung Wah”.

— Przyjmuję, *sir*.

Guido i Tony byli gotowi. Stali teraz naprzeciwko siebie identycznie odziani w czarne obcisłe kombinezony, w pełni uzbrojeni, z uczernionymi owalami twarzy, które częściowo były ukryte w czarnych kominiarkach. Mieli już za sobą wzajemną kontrolę, której celem było zabezpieczenie się przed przykrymi niespodziankami. Jeden drugiemu sprawdził pistolety maszynowe, zapasowe magazynki. Ta sama procedura dotyczyła broni, którą mieli w kaburach, oraz granatów przyczepionych na piersiach do specjalnych taśm, biegnących przez plecy od głównego pasa z tyłu do sprzączki z przodu. Wszystkiemu przyglądał się z zaciekawieniem Damon Broad, który nigdy nie widział podobnej procedury i doszedł do wniosku, że jest tak logiczna, iż powinna być stosowana wszędzie i zawsze, a nie tylko w specjalnych jednostkach desantowych czy szturmowych.

Nieco wcześniej Tony Cope wyjawiał swój plan dostania się na pokład „Czarnego Łabędzia”. Była to metoda, którą specjalne jednostki morskie zapożyczyły od dawnych piratów, a także piratów jeszcze teraz działających w cieśninie Malakka, gdzie są utrapieniem żeglugi. Piraci nocą podpływali z tyłu do ofiary bardzo szybkimi łodziami. Mieli długie bambusowe drągi z hakami obszytymi miękką materią. Zaczepiali hakami o galeryjkę na rufie i przechodzili po bambusach na pokład.

— Chociaż nie mamy bambusów — powiedział Tony — dysponujemy dwoma długimi bosakami, które uda się przystosować do naszego celu. Zbliżyliśmy się na dwieście metrów do „Czarnego Łabędzia”. Oczywiście na wyciszonych silnikach, a potem na wiosłach podpłyniemy pod samą rufę. Jeśli dwaj pilnujący siedzą nadal na dachu sterówki, to nas nie zobaczą.

Wiał lekki północny wiatr. Kiedy Tony i Guido dostaną się na pokład „Łabędzia”, Damon odprowadzi jacht trochę na północ, wyłączy silniki i zdryfuje ku dżonce. Na pierwszy odgłos strzelaniny otworzy ogień z karabinu maszynowego, omiatając pokłady i rufę, wtedy bowiem Guido i Tony będą już pod pokładem po zlikwidowaniu obu strażników. Pod pokładem nie powinno być większych trudności z rozprawieniem się z pozostałymi członkami triady. Plan wydawał się rozsądny i prosty. Guido nie miał żadnych zastrzeżeń. Po zakończeniu sprawdzania sprzętu wsiedli do pontonu.

Dopłynięcie do „Czarnego Łabędzia” zajęło im piętnaście minut. Tony Cope posługiwał się kompasem o fosforyzującej strzałce. Guido siedział na dziobie, obserwując wyłaniające się z mroku podobne do stalagmitów skaliste wysepki. Nagle zauważył wśród nich inny kształt — sylwetkę „Czarnego Łabędzia”. Wyłączył silnik, obaj skulili się w pontonie. Nie musieli nawet korzystać z wiosł. Prąd w niespełna dziesięć minut zniósł ich pod rufę dżonki.

Tony wstał i długim bosakiem z owiniętym w szmaty hakiem zaczepił balustradę na rufie. Guido ruszył pierwszy. Przeszedł po drągu na drugi jego koniec, uchwycił pręt balustrady i wychylił głowę. Doszedł go szmer rozmowy wartowników na daszku sterówki. Dostrzegł też ich sylwetki w odległości jakichś ośmiu metrów. Bezszelstnie wczołgał się na pokład. Po chwili wyczuł obecność Tony’ego tuż obok siebie. Dotknął jego ramienia i palcem wskazał otwarte drzwi. Podniósł się i bez najmniejszego szmeru przemknął na gumowych podszwach do sterówki. Tam dopiero głęboko odetchnął. Spojrzał w dół schodków prowadzących do salonu. Wokół stołu siedziało czterech mężczyzn. Grali w madżonga i pili. Byli bardzo rozbawieni. Na stole stała prawie już opróżniona butelka Johnny Walkera z czarną etykietą. Guido odbezpieczył pistolet maszynowy, po czym rozpoczął bezszelstną wędrówkę po schodach. Był na najniższym stopniu, kiedy jeden z mężczyzn podniósł głowę.

I to był ostatni migawkowy obraz w jego życiu. Guido dwusekundową serią przejechał po krawędzi stołu. Dwóch mężczyzn padło od razu, dwaj zerwali się wrzeszcząc w agonii. Zmieniając magazynek Guido usłyszał serię nad głową. Tony likwidował strażników. Guido przestawił broń na pojedynczy ogień i dwoma pociskami dobił obu rannych. Usłyszał czyjś krzyk po lewej. Otworzyły się drzwi i wyskoczył zza nich mężczyzna z pistoletem. Guido rozwalił go trzypociskową serią. Przeskoczył trupa i wpadł do kabiny. W mgnieniu oka objął całą scenę: Lucy przywiązana do łoża i zwlekający się z niej nagi mężczyzna. Mężczyzna stoczył się na ziemię i podniósł do góry obie ręce.

Guido opróżnił resztę magazynka.

65

Śmieciarka przeciskała się przez wąski i ostry zakręt. Kierowca, widząc przeszkodę, natychmiast zahamował. Na drodze leżało niewielkie drzewo.

— Usuń je — powiedział kierowca do swojego towarzysza. Pomocnik miał kaca po wypiciu zbyt dużej ilości ryżowego wina.

Szpetnie zaklął, ale otworzył drzwiczki kabiny i wyskoczył na ziemię. Zbliżał się już do drzewka, kiedy kierowca usłyszał z prawej strony stukanie w szybę. Obrócił głowę i zobaczył czarny otwór lufy wymierzonej prosto między oczy. Za pistoletem widniała uczerniona twarz w kominiarce. To nie Chińczyk, pomyślał kierowca, to *gueilo*.

Po dwudziestu sekundach kierowca i jego pomocnik leżeli już związani w rowie, z rękami i nogami skutymi kajdankami, a śmieciarka oddalała się przewidzianą trasą.

* * *

Głośnik w gabinecie inspektora Lau znów ożył. Do Huang rozmawiał z MacDonaldem. Krótko, niemalże kodem. Konstabl Wang wyjaśniał komisarzowi i inspektorowi, do kogo należą głosy.

— Mamy pojazd.

— Czas?

— Dziesięć do dwunastu minut.

— Z tej strony gotowi.

A potem głos Guido: — Płyniemy z powrotem.

* * *

Słońce wzeszło. Moździerz *L16* kalibru 81 mm był ustawiony w kępie krzaków po stronie wschodniej, sto metrów od muru okalającego willę. Przy moździerzu siedzieli w kucki Eric Laparte i Maxie, trzymając w dłoniach granaty o masie 4,2 kg. Powyżej, na pagórku, Tom Sawyer obserwował przez lornetkę cały teren wokół willi. Panował absolutny spokój. Przed wejściem do willi drzemali dwaj strażnicy znużeni nocą.

Tom odjął od oczu lornetkę i spojrzął w prawo na drogę, którą zbliżała się śmieciarka. Odczepił od pasa telefon komórkowy, wystukał numer i powiedział trzy słowa: — Około dwóch minut.

Słowa te rozległy się równocześnie w głośniku w gabinecie inspektora Lau, w apartamencie prezydenckim hotelu „Peninsula”, w uszach Creasy’ego oraz w mikrosluchawkach reszty ekipy.

Do Huang stanął przed bramą i nacisnął klakson, dając wyraz zniecierpliwieniu.

Tom widział, jak obaj strażnicy wstają i idą w kierunku bramy. Po minucie śmieciarka wjechała na teren willi i skierowała się drogą na zaplecze. Tom powiedział do telefonu: — Moździerz... mniej więcej sześćdziesiąt sekund. — Widział, jak wóz zatrzymuje się przed budynkiem służby. Usłyszał klakson, po którym wyszło dwu ludzi, dźwigających wory śmieci. Uniosła się tylna kłapa zmechanizowanej śmieciarki. Spod kłapy wyskoczył Creasy, a w tym samym czasie Do Huang opuścił kabinę kierowcy.

Zaczęła się wojna.

Do Huang zastrzelił obu mężczyzn ze śmieciami i błyskawicznie skrył się za wozem, obserwując wyjście z budynku gospodarczego. Creasy już biegł w stronę willi. Dwaj jeszcze zaspani strażnicy chwycili pistolety maszynowe i rzucili się w kierunku śmieciarki. Creasy w biegu podniósł pistolet i opróżnił magazynek w ich kierunku. Obaj padli.

Eric odczekał, aż Do Huang oderwie się od śmieciarki i skryje za rogiem willi. Wówczas powiedział do telefonu:

— Moździerz!

Dwie sekundy później Maxie wpuścił pierwszy granat w lufę moździerza. Tom usłyszał detonację i mógł obserwować rezultat.

— Skrócić o dziesięć metrów! — zadysponował. Eric nastawił podziałkę i poszybował kolejny granat, a zaraz po nim następne. W powietrzu znajdowało się sześć granatów, gdy z budynku wybiegli ludzie Tommy’ego Mo. Pociski spadały między nich w trzy-sekundowych odstępach. Wszyscy zginęli. Tom opuścił lornetkę, chwycił z ziemi pistolet i pobiegł ścieżką w dół wzgórza. Zatrzymał się

przy Franku, na którego ramieniu spoczywał już granatnik *RPG-7*. Frank naciśnął spust. Wydawało się, że granat wyjątkowo wolno nabiera prędkości, jednakże już po paru sekundach rozległ się huk i runął spory odcinek muru. Chyba po sekundzie drugi podobny huk obwieścił rezultat wystrzelenia drugiego granatu przez Maxie MacDonalda po przeciwnej stronie. Tom puścił się pędem ku wyrwie w murze. Kątem oka zobaczył mijającego go Sowę, więc przyśpieszył, by nie pozostać w tyle.

Creasy był już przed głównym wejściem. Dobiegały go krzyki od wewnątrz. Nie próbował otworzyć drzwi, tylko opróżnił cały magazynek w zamek. Tuż za nim stał Do Huang z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

Creasy włożył do gniazda nowy magazynek, jednym susem przesadził próg drzwi, które same się odchyliły na pół roztrzaskane i ujrzał w korytarzu dwie niewyraźne sylwetki. Opróżnił w ich kierunku następny magazynek. Natychmiast na nowo załadował broń. Na wprost, za korytarzem i obszernym holem, dostrzegł spory pokój pełen rzeźbionych mebli i dalej drugi korytarz. Zerknął za siebie. Do Huang szedł tyłem, osłaniając go przed niespodziankami.

— Zostań tu, Do Huang, ale ostrożnie ze spustem. W tych drzwiach mogą pojawić się teraz nasi.

Skulił się i wbiegł w korytarz. Słyszał było strzelaninę. Gdzieś na zewnątrz, ale z obu stron budynku, co oznaczało, że oba zespoły są już wewnątrz i oczyszczają teren. Creasy zapoznał się uprzednio z fotografiami Tommy'ego Mo i jego najbliższych kompanów. Przez następne trzy minuty polował na nich po sypialniach i zakamarkach. Jedni ginęli w łóżkach, inni podczas ucieczki, a jeszcze inni z podniesionymi rękami. Creasy nie okazywał litości. Zatrzymał się na końcu korytarza za ciężkimi mahoniowymi drzwiami. Usłyszał za sobą biegnące kroki i głos Do Huanga, który zawiadamiał, że Maxie pilnuje wejściowych drzwi.

Za mahoniowymi drzwiami ktoś wrzeszczał po chińsku.

— To na pewno on — odezwał się Do Huang.

— Odsuń się — polecił Creasy. — Rozwał zamek, a ja wejdę do środka. Osłaniaj mnie. — Cofnęli się kilka metrów, Do Huang skierował pistolet na zamek i puścił serię. Drzwi częściowo się rozwarły. Creasy rzucił się pędem, odtrącił drzwi, które z łoskotem uderzyły o ścianę, i padł, natychmiast przetaczając się na bok. W rogu stał Tommy Mo, półnagi, w białych kalesonach, w obu dłoniach trzymał kurczowo pistolet. Zdążył tylko raz wystrzelić.

Między budynkami trwała zażarta walka.

Eric Laparte padł martwy, prawie przecięty kulami na pół, gdy usiłował sforsować drzwi budynku gospodarczego. Tom Sawyer oberwał w lewy obojczyk, ale wsparty o mur za rogiem willi raził śmiertelnym ogniem żołnierzy triady, którzy próbowali wyjść na podwórze. Za drugim rogiem stał Frank, rzucając granaty.

Zaczęli się wycofywać. Maxie dopadł Toma Sawyera.

— Możesz iść? — spytał go.

— Moge — odparł Tom.

Pognali w stronę wyrwy w murze. Od frontu biegli do tej samej wyrwy Creasy i Do Huang. Sowa pochylił się nad Lapartem. Nie było wątpliwości, że nie żyje, wyprostował się więc i zaczął też biec. Wycofujący się na zmianę, posyłali krótkie serie w kierunku budynku gospodarczego, aby nikomu nie zachciało się wytknąć z niego nosa. Sowa zatrzymał się przy wyrwie i jako ostatni cisnął jeszcze dwa granaty.

Atak na willę przeżyło około dwudziestu ludzi Tommy'ego Mo. Zorganizowali się i rozpoczęli pościg. Schodząc ścieżką ku morzu widzieli swoich przeciwników i zobaczyli też jacht oczekujący blisko brzegu. Zaczęli szybciej zbiegać. Nagle na wzgórzu po prawej zaczął szczekać karabin maszynowy, a z morza zaterkotał jego wielkokalibrowy starszy brat.

Ci z żołnierzy triady, którzy przeżyli, zapomnieli o wszelkich przysięgach i poukrywali się w krzakach między skałami. Widzieli, jak od brzegu odbijają dwa czarne pontony, zmierzając w stronę jachtu. Potem zagrały silniki i „Tempest” popłynął na południowy wschód, pozostawiając spieniony rozchodzący się na boki kilwater.

Wysłuchali właśnie ostatniej rozmowy Creasy'ego z Jensem Jensenem. „Tempest” przekroczył linię dwunastomilowego pasa wód terytorialnych, kierując się na Manilę.

— Mieli ofiary — powiedział komisarz.

— Zakładali je — odparł inspektor Lau. — Na taką operację jeden zabity i dwóch rannych to bardzo mało.

Komisarz uciszył go, wskazując głośnik. Creasy mówił dalej: — Nie ulega wątpliwości, że sprawiedliwość dosięgła głównego winnego i wielu jego najbliższych współpracowników. Czy pani Manners i Rene słyszą?

— Słyszą — padła podwójna odpowiedź.

— Doskonale. Uważajcie teraz. Przewidziany czas naszego przybycia do Manili: godzina dwunasta w południe. Potrzebne są trzy karetki i lekarze. Zarezerwujcie też trzy separatki w amerykańskim szpitalu. Dobrze by było, gdyby na podorędziu znajdował się jakiś przedstawiciel amerykańskiej ambasady w celu przyspieszenia formalności. Niech pani zadzwoni do Jima Graingera, pani Manners. On to z pewnością załatwi.

— Wszystko słyszałam, wszystko załatwię. Nie martwcie się Manilą. Będę tam na was czekała.

— Przed dziesięcioma minutami dzwoniłem do Manili i załatwiłem nam rezerwację w hotelu „Manila” — włączył się Jens. — Podaję telefon. Cztery osiem dwa siedem trzy osiem. Będziemy tam dziś od trzeciej po południu. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, łącz się z nami.

— Doskonale.

Głośnik zamarł. Inspektor Lau zamierzał coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w skupieniu, a następnie oddał słuchawkę komisarzowi policji.

— Centrum operacyjne.

— Najwyższy czas — mruknął komisarz i przez trzy minuty słuchał. — Niech komisariat w Sai Kund przefaksuje w ciągu godziny wstępny raport. A raport pełny ma się znaleźć na moim biurku wczesnym popołudniem. Wyślijcie pełną ekipę z technikami dochodzeniowymi. — Po tym wtręcie słuchał dalej. — Może ma-

cie rację. Poczekamy na pełny raport. — Odłożył słuchawkę. — Policja wodna zauważyła pióropusz dymu w pobliżu Nine Pins. Popłynęli tam i znaleźli dużą wypaloną dżonkę. Na wodzie pływały dwa ciała z ranami postrzałowymi. Wydobyli je. Na dżonce są inne zwłoki, ale nie wiadomo ile, kadłub się jeszcze dopala, ponadto wszystko grozi zatonięciem. Usiłują odholować dżonkę na brzeg. Natomiast komisariat w Sai Kung zawiadomił o strzelaninie w willi należącej do 14K. Pierwsze radiowe meldunki właśnie napływają. Podobno masa trupów. Pańscy przyjaciele moździerzem i granatnikami rozwalili mur.

— A Tommy Mo? — spytał inspektor.

Na ustach komisarza pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Inspektor i konstabl byli pewni, że się nie omylili. To był naprawdę uśmiech.

— Tommy Mo jest bardzo, ale to bardzo martwy. I chyba cały jego sztab oraz co najmniej dwudziestu żołnierzy. Policja jeszcze nie skończyła przeszukiwania terenu. Helikopter, który przed piętnastoma minutami przelatywał nad Sai Kung, przesał meldunek, że na samym brzegu też jest sporo zwłok.

Komisarz wstał i przeciągnął się. Przyjrzał się bacznie swoim podwładnym.

— Obaj sprawiliście się doskonale. Bez wątpienia 14K rozpadnie się teraz na wiele osobnych członków, z którymi łatwiej damy sobie radę.

Inspektor i konstabl także wstali.

— I jak pan zamierza to załatwić? — zapytał Lau.

— Co załatwić?

— Wytlumaczyć gubernatorowi, co wydarzyło się dziś rano w Sai Kung i koło Nine Pins?

Komisarz odparł z bardzo poważną miną: — W moim raporcie dla gubernatora napiszę, że były to może gwałtowniejsze niż zwykle, ale typowe przejawy wojny między gangami. A ten jeden *gueilo*, którego znaleziono wśród zabitych, no cóż... — zamyślił się.

— Ten *gueilo* komplikuje sprawę — zauważył konstabl.

— Właściwie to jaki *gueilo*? — spytał komisarz. — Zadzwonimy w parę miejsc i nie będzie żadnego *gueilo*. Zostaną sami członkowie triad. — I wyszedł z gabinetu sprężystym krokiem.

67

„Tempest” płynął na maksymalnych obrotach, prowadzony sprawną ręką Tony’ego. Na szczęście wiatr o sile jednego Bouforta wiał z północnego zachodu i jacht lekko tylko się kołysał na małej fali. Można było włączyć autopilota, co też Tony Cope zrobił, koncentrując uwagę na monitorze radarowym. Przez ostatnie piętnaście minut obserwował ruchome plamki zmierzające w kierunku Nine Pins, ale wysepki pozostały już daleko za nimi. Tak, te plamki, to policyjne łodzie zmierzające ku spalonej dżonce. Damon Broad znajdował się pod pokładem. Za cztery godziny obejmie wachtę. Z dołu przyszedł Creasy.

— Wszystko w porządku? — spytał Tony.

— Tak. Miałem szczęście. Straciłem tylko parę centymetrów w pasie. Poza tym jedno draśnięcie.

— A pozostali?

— Maxie wyjął Tomowi pocisk z obojczyka. Wszystko będzie w porządku. Dobrze, że mamy pełny zestaw pierwszej pomocy, a nie tylko zwykłą apteczkę.

— Wiedziałem, że może być potrzebny — pochwalił się Tony. — A jak nasza dama?

— W szoku. Nie dopuszcza mnie do siebie. Jest z nią Guido. Dał jej środki uspokajające. Może zaśnie. I będzie ją faszerował tymi proszkami, póki nie dotrzemy do Manili.

— A w Manili co?

— Wtedy przyjmie ją pani Manners. Jestem przekonany, że wynajmie najlepszych psychologów i w ogóle zaopiekuje się nią.

— Ta pani Manners wygląda na wspaniałą niewiastę.

Creasy długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Teraz już chyba tak. Rzadko można zaobserwować taką radykalną przemianę w człowieku. Tak, pani Manners całkowicie się zmieniła. — Zerknął na Tony’ego. — A przy okazji: otrzymujesz premię.

— Premię?

— Miałeś kontrakt na przyprowadzenie krypy do Hongkongu i z powrotem, po zabranii nas z brzegu, ale nie było mowy o ataku na dżonkę z ośmioma uzbrojonymi bandytami.

- No to ile?
- Tyle samo co pozostali. . . Pięćset tysięcy franków szwajcarskich.
Przez dwie minuty słychać było tylko pracę silników.
- Po połowie z Damonem — odezwał się Tony.
- Byłem pewny, że to powiesz. — Creasy zerknął na Toma.
- Obaj spłacimy dług hipoteczny ciąży na naszych domach. — Tony uśmiechnął się do siebie.
- No, właśnie, na tym polega życie. Spłaca się długi.

EPILOG

— Wyjechał pogłuszyć — powiedział Guido.

Jim Grainger i Juliet patrzyli nie rozumiejąc. Guido wyjaśnił: — To takie australijskie powiedzenie zapożyczone od Aborygenów. Kiedy ktoś jest zanadto wyczerpany życiem, znika w głuszy, gdzie samotnie wędruje przez wiele dni albo i miesięcy.

— I on tak po prostu bez niczego wyjechał? — spytała Juliet.

Guido potwierdził skinieniem głowy. Właśnie przyleciał do Denver z Manili.

— Prosił mnie, abym tu przyjechał i z panią porozmawiał. Wytłumaczył. To nie jest coś, co można załatwić przez telefon albo napisać w liście. Nie wiedziałby, jak to wyrazić.

— A pan wie?

— Oczywiście. Znam Creasy'ego od dwudziestu pięciu lat. Wiem dokładnie, co mam powiedzieć, chociaż Creasy nigdy mi o tym nie mówił. Otóż kiedy przylecieliśmy do Manili i zostały załatwione wszystkie formalności, Creasy spakował torbę i poprosił, żebym go odwiózł na lotnisko. W hali lotniska stanął przed tablicą odlotów, uściskał mi rękę i właśnie wtedy kazał tu przylecieć i wyjaśnić pani co i jak. I zaraz potem odszedł kupić bilet. Nie wiem dokąd.

— Czy już robił takie rzeczy w przeszłości? — spytał Jim Grainger.

— Tak. — Guido uśmiechnął się. — Normalnie on wszystko w sobie tłamsi. A kiedy bywał ranny, to nie chciał widzieć nikogo z przyjaciół. Nie chciał, by patrzyli na jego ból. Wolał wtedy być wśród obcych ludzi. Może trochę za dużo pije, jak jest sam? Może chce zajrzeć do swojej duszy? Może gania za kobietami? Nie wiem. Tego nikt nie wie.

— Jest ranny?

— Nie. Tylko draśnięcie.

— A może rany nie dotyczyły ciała? — Juliet nie dokończyła, jednakże Guido zrozumiał.

— Tak, stracił syna, którego bardzo kochał. A może też stracił kobietę, którą mógłby pokochać.

— W jakim ona jest stanie? — spytał Grainger.

— Złym. Fizycznie wszystko w porządku. Ale psychicznie niedobrze. Gło-

ria Manners została w Manili i opiekuje się nią. Wezwała najlepszych specjalistów. Psychologowie nie są jednak pewni rezultatów terapii. Może z tego wyjdzie. A jeśli wyjdzie, to może Creasy i ona spotkają się. Nie wiadomo. Trzeba czekać. Trzeba czekać na jej powrót do świata ludzi zdrowych psychicznie i powrót Creasy'ego ze świata głuszy.

— Myśli pan, że Creasy wróci? — spytała Juliet.

— Na pewno — odparł Guido.

— Kiedy?

— W którąś noc przy pełni księżyca.

KONIEC